

Bogusław Linda
NIC NIE MUSZĘ

ŻYCIE JEST POZA FILMEM

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299

ISSN 1509 3115



38 >

WISŁA

maj - grudzień 2022



FESTIWAL FILMÓW POLSKICH

Albania, Armenia, Azerbejdżan, Bośnia i Hercegowina, Bułgaria
Chorwacja, Gruzja, Kazachstan, Kirgistan, Korea Południowa
Macedonia, Mołdawia, Rumunia, Serbia, Słowacja, Słowenia
Tadżykistan, Turcja, Uzbekistan, Wietnam

www.festiwalwislal.pl

Finansowanie RP:



Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego



POLSKI
INSTYTUT
SZTUKI
FILMOWEJ

Organizatorzy:

WSPIERAM!
FUNDACJA



Tylko telewizji żal

Wypadł z posady prezesa TVP na wirażu historii. Nie tej wielkiej historii, w której swoje karty zapisali zmarli ostatnio królowa Elżbieta II i Michaił Gorbaczow. Głowa Jacka Kurskiego, choć dla PiS bardzo cenna, bo równie bezwzględny, a przy tym skutecznego propagandysty ze świecą szukać, to tylko mała część historii kraju średniej wielkości. Za to z ambicjami napompowanymi jak balon. Taki też jest paroletni epizod rządów Kurskiego. Co po nim zostanie? Za rok, dwa? Zmarnowany czas. I odarci z godności pracownicy bądź równie jak on zdemoralizowani ludzie. Pogrzebana idea mediów publicznych, które bardzo trudno będzie odbudować.

Skąd ta zmiana? Tropy mogą prowadzić w stronę prezydenta Dudy, który jako jedyny mógłby zablokować pomysły takiego majstrowania przy ordynacji wyborczej, żeby PiS mogło za wszelką cenę utrzymać się przy władzy. Dla Dudy butny prezes TVP odwołany w tak upokarzający sposób to miły widok. Przecież nie tak dawno żądał odwołania Kurskiego, a skończyło się tak, że został przez niego bezlitośnie ograny. Dla polityków wyrównywanie rachunków, czyli porachunki, to jeden z najsilniejszych afrodyzjaków.

Kurski przez całe życie gra na siebie, a w telewizji dostał tak wielką władzę, że mógł sobie zbudować silną

pozycję. Na miarę ambicji, które sięgają najwyższych stanowisk w państwie. Mówi się, że robił telewizję dla jednego widza. Ale to duże uproszczenie. TVP wygrywa z konkurencją. Ma więcej od niej widzów. A każdy widz ma pilota i wybiera, co chce. Odpowiedź na pytanie, dlaczego wybiera właśnie tę telewizję, to punkt wyjścia do rozmowy o prawdziwej telewizji publicznej. Takiej, jaką mają Anglicy czy nawet Niemcy.

Dla Kaczyńskiego najważniejsza jest władza. Kurski bardzo mu w jego planach pomagał. Co więc się stało, że prezes PiS odstrzelił prezesa TVP, i to w tak paskudny sposób? Może przypomniało mu się, w jaki sposób Kurski go porzucił? I co wtedy o nim mówił? A mówił cennie i bardzo złośliwie. Kurski ma talent do wygrzebywania się z sytuacji beznadziejnych. Po przegranych wyborach do Parlamentu Europejskiego wydawało się, że czeka go polityczna emerytura. A zamiast tego Kaczyński wsadził go do windy, która powiozła go bardzo wysoko.

Co dalej z Kurskim? Rzecznik PiS zapowiedział, że czekają go nowe zadania. To akurat prawda. Nie zginie, kręgosłup ma tak giętki jak tancerka mongolska. Z pewnością znowu będzie o nim głośno. Połknie tę żabę i dostanie nowe zadanie.

BAKOWSKI



Bądź z nami
na Jesiennych Targach
Książki w Warszawie
15-18 września 2022 r.
(czwartek-niedziela)

PRZEGLĄD serdecznie zaprasza
na nasze **stoisko nr 17**
w Arkadach Kubickiego
na Zamku Królewskim

Czekamy z promocyjnymi cenami

Spotkaj się
z autorami
naszych książek

Do zobaczenia!
Wstęp wolny

Więcej informacji na s. 9

KRAJ

- 8 Kurski – pas czy PiS?**
Przypadki byłego prezesa TVP
- 12 Płynię węgla, płynię**
Czy dopłynię przed zimą
- 16 Góral stał się memem**
– rozmowa z Aleksandrem Gurgulem
- 20 Zamknięci z automatu**
Nadużywanie aresztu tymczasowego

SYLWETKI

- 24 Królowa**
Scheda po monarchini
- 27 Obrótowa**
Nowa premierka Wielkiej Brytanii

OPINIE

- 30 Adam Leszczyński**
„Historia i teraźniejszość” bez przyszłości
- 34 Jarosław Dobrzański**
Gorbaczow – sukces i porażka

MEDIA

- 38 Po co lewicy wolność słowa?**
Elity nie zawsze wiedzą lepiej

HISTORIA

- 40 To był rząd jednności narodowej**
Gabinet Tadeusza Mazowieckiego
- 44 Dla Niemców 1 września nic nie znaczy**
II wojna okiem współczesnych

KULTURA

- 46 Życie jest poza filmem**
– rozmowa z Bogusławem Lindą
- 49 Kulturalia**
- 66 Mieczysław Porębski. Portret mistrza**

ZAGRANICA

- 50 Przełomowe pomysły i kłopotliwa cisza**
Projekty rosyjskiej zbrojeńki
- 54 Iluzja pokoju**
Zapomniane wojny

ZDROWIE

- 56 Testowanie to podstawa**
– rozmowa z prof. Krzysztofem Tomasiewiczem

PSYCHOLOGIA

- 58 Psychologiczna rola jedzenia**
Emocje na talerzu

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3 Jerzy Domański**
Tylko telewizji żal
- 15 Andrzej Romanowski**
Nie poszedłem w Tatry
- 23 Roman Kurkiewicz**
Jedynym poglądem – władza
- 33 Tomasz Jastrun**
Zatęchła szafa
- 53 Wojciech Kuczok**
Kociarz pod prysznicem

16

KRAJ



GÓRAL STAŁ SIĘ MEMEM

– rozmowa z Aleksandrem Gurgulem



24

SYLWETKI

KRÓLOWA

Scheda po monarchini



58

PSYCHOLOGIA

PSYCHOLOGICZNA ROLA JEDZENIA

Emocje na talerzu

Projekt okładki: Ed Mund

FOT. PAWEŁ RELIKOWSKI/POLSKA PRESS/EAST NEWS





f Zastępuje na pomnik?

Pamiętam wizytę Michaiła Gorbaczowa w Polsce w 1988 r., wszyscy oglądaliśmy w telewizji. I Andrzeja Rosiewicza, który witał gościa fajną, dowcipną i przyjazną piosenką wykonaną w języku rosyjskim.

Gorbaczow budził sympatię, bardzo się różnił od poprzedników, był bliżej zwykłych ludzi. Chciał zmienić Rosję. Wszyscy ważni przywódcy ówczesnego świata byli mu przychylni. Niestety, nie udało mu się.

Moim zdaniem należy mu się uznanie i szacunek, ale żeby zaraz pomniki i ulice jego imienia? U nas? Bez przesady. Może w Rosji, kiedyś...

Janina Frykacz

✉ 30 lat od morderstwa Jaroszewiczów

1 września br. minęła 30. rocznica brutalnego zamordowania premiera Piotra Jaroszewicza i jego żony Alicji Solskiej. Polski Ruch Lewicowy (w organizacji) pamięta o tej smutnej dla polskiej demokracji rocznicy i tego dnia oddał hołd przy grobie premiera Jaroszewicza na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach. Od tej dramatycznej śmierci mijają trzy dziesięciolecia, a sprawców morderstwa i ich mocodawców nie wykryto i nie ukarano!

Polski Ruch Lewicowy wyraża słowa dezaprobaty wobec opieszałości i braku wyjaśnienia wszystkich okoliczności mordu, nieukarania sprawców ani mocodawców tej ohydnej zbrodni. Wzywamy polskich parlamentarzystów i żądamy powołania nadzwyczajnej sejmowej komisji śledczej w sprawie wyjaśnienia wszystkich okoliczności śmierci brutalnie zamordowanego premiera polskiego rządu i jego małżonki oraz ujawnienia sprawców i mocodawców tej zbrodni!

Koordynator krajowy Polskiego Ruchu Lewicowego
Zbigniew Sowa

f Ukraińska podręcznikowa doktryna szoku

Ukraina – kraj rozkradany przez swoich i obcych, z wojną na karku, z „pomocą” MFW i USA, którą to „pomoc” będą Ukraińcy spłacać do końca świata. Ich kapitalizm jest taki sam jak nasz – dziki, pazerny, odbierający pracującym prawa, ustanawiający Himalaje bogactwa i depresje nędzy. To nie spokojny i dbający o obywateli kapitalizm skandynawski. Wydaje mi się, że gdyby nie tworzenie przez USA „kordonu sanitarnego” wokół Rosji, tej wojny by nie było. Podzielam konkluzję felietonu Romana Kurkiewicza z przytoczonym zdaniem prof. Karola Modzelewskiego – nie za wszystkim warto oddawać życie, jeśli w ogóle trzeba nim szafować.

Ewa Wesółowska

Kombatanci mogą nie być tak potulni i nie będą się godzić na każdą zmianę po skończonej wojnie. Także sporo broni własnej i zdobyczej nie wróci do magazynów. Raczej nie będzie spokojnie.

Piotr Salwowski

f Komu i dlaczego grozi prof. Wakat

Ideał zostanie osiągnięty, kiedy jeden nauczyciel będzie uczył wszystkich przedmiotów – łącznie z religią i WF – w jednej klasie. To będzie polski wkład w światowe szkolnictwo.

Rafał Simiński



ZDJĘCIE TYGODNIA



Commonwealth
żegna swoją królową.
Adelaide, Australia
Południowa,
9 września 2022 r.

W Polsce mamy ok. **800 tzw. bomb ekologicznych**, gdzie nielegalnie składowanych jest ok. 4 mln ton odpadów, w tym 800 tys. ton odpadów niebezpiecznych, stwarzających zagrożenie dla zdrowia i życia ludzi. Największa na świecie bomba ekologiczna jest w **Bydgoszczy**, na terenach po dawnych zakładach chemicznych Zachem.

Prezydent Duda, choć zatrudnia rekordową liczbę urzędników, nie ma nic sensownego do zaproponowania większości Polaków. Jego przemówienia są puste w treści, za to gdy mówi o historii, pełne kłamstw. Polakom radzi, by zaciśnięli zęby, ale **dla 310 urzędników** pałacu ma **1,4 mln zł premii**. Za co?

Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej odpowiedział na pytania **Sądu Rejonowego dla Warszawy-Śródmieścia** i potwierdził, że w sprawach kredytobiorców. Uprościł prowadzenie procesów frankowiczów z bankami. Zakazał poprawiania umów i określił korzystne zasady przedawnienia dla roszczeń.

Warszawa podejmie starania o **zwrot 140 nieruchomości** oddanych kupcom roszczeń w ciągu ostatnich 10 lat. Taką możliwość stworzył precedensowy wyrok Naczelnego Sądu Administracyjnego, który uznał, że kupcy roszczeń nie powinni być brani pod uwagę przy zwrotach gruntów znacjonalizowanych dekretem Bieruta.

W Polsce jest już zatrudnionych ponad **milion cudzoziemców**, z czego 358 tys. to obywatele Ukrainy, którzy podjęli pracę po 24 lutego.

7 września wczesnym popołudniem panele solarne

w Polsce wyprodukowały 6711 MWh energii, czyli 33% zapotrzebowania w tamtym momencie. Niestety, tempo zakładania instalacji fotowoltaicznych spadło z powodu problemów z magazynowaniem energii pozyskiwanej dzięki OZE.

Na koniec pierwszego półrocza wartość depozytów złotych Polaków ułożonych w bankach osiągnęła wartość **910 mld zł**. O 25% wzrosły depozyty walutowe i sięgnęły 160 mld zł (**„Rzeczpospolita”**).

Jaka jest najlepsza praca w Polsce? **Trybunał Konstytucyjny** za rządów Julii Przyłębskiej. Za 30 tys. zł miesięcznie nie trzeba się przemęczać. Gdy w 2015 r., jeszcze przed Przyłębską, TK wydał 59 wyroków, to w 2021 r. tylko 18. **W 2016 r. na wyrok czekano średnio 90 tygodni, a w 2021 r. aż 146.** W sprawie odebranych emerytur funkcjonariuszy czekają na decyzję od czterech i pół roku (**„Polityka Insight”**).

Jarosław Zieliński, poseł PiS, od listopada 2019 r. nie jest wiceministrem w MSWiA, ale ciągle ma do dyspozycji limuzynę rządową z ochroną. Chyba nie zagrażają mu ci policjanci, którzy wycinali konfetti na jego powitanie?

W Polsce żyje prawie **3 tys. muflonów**, dzikich górskich owiec, które trafiły do naszego kraju po II wojnie światowej. Niestety, koła łowieckie sprowadziły je na ziny Wielkopolski. I teraz 650 muflonów niszczy pola uprawne rolników. A Ministerstwo Klimatu i Środowiska nie chce tych zwierząt wpisać na listę objętą odszkodowaniami. Rolnicy są bezradni.

PRZEBŁYSKI

Nawozy imienia wicepremiera Kowalczyka

Kłamstwo to ich drugie imię. Premiera Morawieckiego trudno przebić. Chyba że zrobi to kolejny Pinokio. Wicepremier, minister rolnictwa Henryk Kowalczyk. Dla opozycji to góra złota, bo skutecznie demoluje poparcie wsi dla PiS. Gdy ceny nawozów poszybowały w kosmos, Kowalczyk na wiosnę obiecał dopłaty do nawozów. Rolnicy mieli je dostać do końca sierpnia. Jest połowa września, a gdzie dopłaty? W głowie Kowalczyka. Konta rolników są puste. Co w tej sytuacji robi Kowalczyk? Ponieważ jesienią nawozy będą jeszcze droższe, obiecuje kolejne dopłaty. Bezwstydny i bezczelny urzędnik. W podejściu do problemów rolników dorównuje mu tylko dojący wieś francuski BNP Paribas. Reklamujący się na bogato jako bank zmieniającego się świata. Może pójść tym tropem i zmienić Kowalczyka? I bank?



Pedofil, ale arystokrata

Arystokraci przypominają o sobie. Piszą listy w obronie pedofila. I to wtedy, gdy przyzwyczajony człowiek protestuje. Ksiądz Mirosław N., pedofil, został skazany za molestowanie 14-latką na obozie rekolekcyjnym w Mikaszówce pod Augustowem. Ksiądz ma odsiedzieć trzy lata w więzieniu i zapłacić 50 tys. zł za doświadczenia. Jedną z wielu podobnych, ponurych spraw. Jest przestępstwo i jest kara. Ale jest też coś takiego jak solidarność starych rodów. W obronie księdza, który wywodzi się z rodziny szlacheckiej herbu Sas, do sądu zaczęli pisać listy Jan Radziwiłł, Tytus Stanisław Czartoryski, senator Jan Maria Jackowski, Izabella Dembińska, Paweł Tarnowski i wielu innych. Ksiądz co prawda jest pedofilem, ale czy arystokrata może siedzieć w więzieniu? To się nie mieści w arystokratycznych główkach.

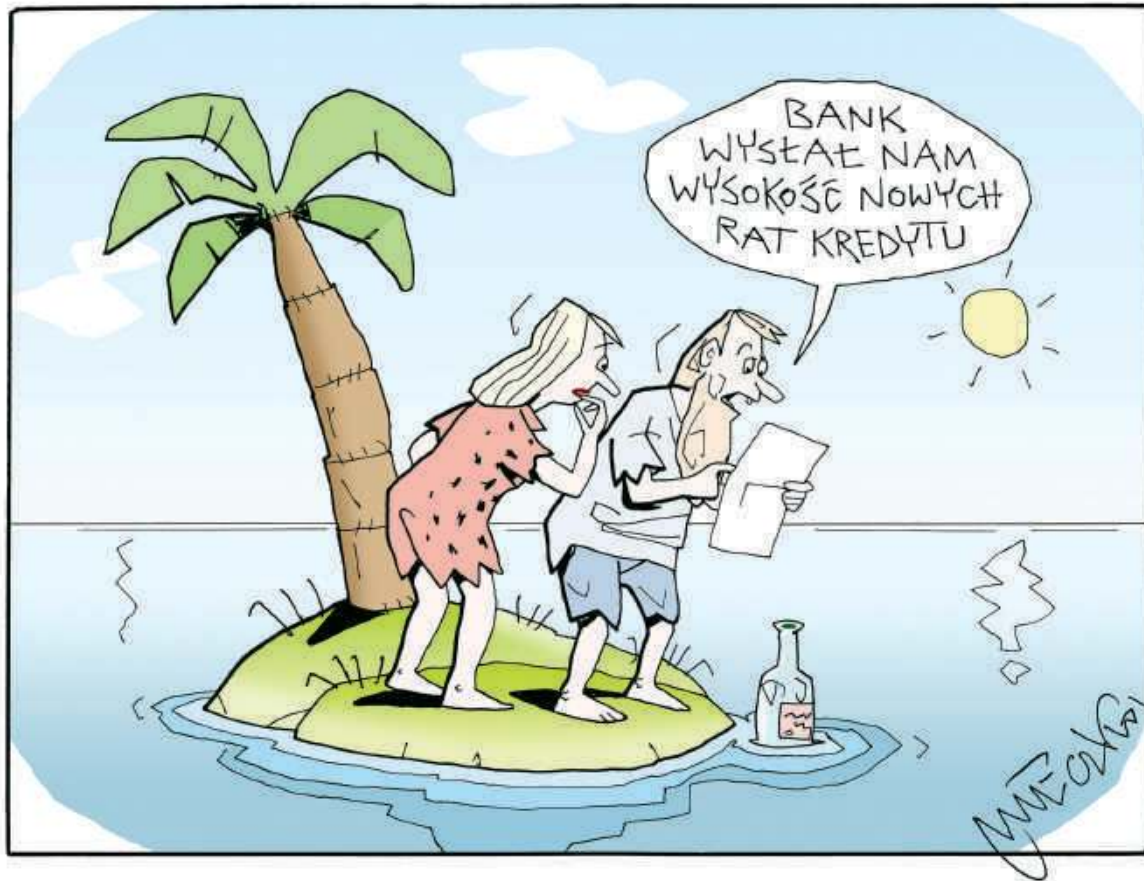
Nigdy, przenigdy

Bez pardonu potraktował tygodnik „Nie” prezydenta Dudę, który nerwowo i niemądrze zareagował na słowa Jerzego Owsiaka. Nie spodobało mu się, że Owsiak skrytykował go za nazwanie „durniami i zdrajcami” ludzi wspierających uchodźców na granicy z Białorusią. Odwinął mu się dziecinnie. Skąd u Dudy ten kompleks PRL? „Ten pan ma ogromne doświadczenie jeszcze z czasów PRL”. Przecież tatuś Dudy miał w PRL o wiele większy dorobek niż Owsiak. „Nie” podsumowało Dudę: „Taki czelczyzna jak Duda nigdy, przenigdy nie jest w stanie obrazić takiego gościa jak Owsiak”.

Niedouczony springerowiec

Od sekretarza redakcji w Springerowskim „Fakcie” właściciel oczekuje tylko jednego: piśmko ma przynosić zyski i napychać koncernowi kabzę. Ale mimo tak prostych oczekiwań sekretarz Romuald Kiedrzyński mógłby mieć też trochę wiedzy. Walenie cepem nawet w „Fakcie” nie wystarczy. Ujadając na Gorbaczowa, Kiedrzyński wybił się na czoło bredzistów. Choć w tym przypadku urodzaj był w mediach spory. Dla pana K. „Gorbaczow był zbrodniarzem gotowym utopić we krwi wiele miast”. „Przegrał wszystko”, pisze Kiedrzyński. A to Niemcy muszą się dziwić! Bo u nich Gorbaczow to gość powszechnie szanowany i fetowany. Poczytałby Kiedrzyński jakieś bratnie Springerowskie gazety, toby go olśniło. Może.





PYTANIE TYGODNIA

Czy Polska powinna zażądać od Niemiec oczyszczenia Bałtyku z niebezpiecznych chemikaliów?

OLGA SARNA,
działaczka na rzecz Bałtyku,
Fundacja MARE

Łatwo wywoływać kogoś innego do zajęcia się określonym problemem, w tym przypadku obejmującym m.in. zatopioną broń chemiczną i niebezpieczne wraki, zresztą nie tylko z czasów wojny. Prawdą jest jednak, że mówimy o zagrożeniu ekologicznym, którym ktoś musi się zająć. Inne kraje regionu bałtyckiego, takie jak Finlandia, nie oglądają się na pozostałych i podejmują odpowiednie kroki na własną rękę, zwłaszcza jeśli chodzi o usuwanie z wraków paliwa i zapobieganie jego wyciekowi. Są to programy finansowane przez rządy i realizowane na wodach terytorialnych poszczególnych państw, traktowane przez nie jako działanie w interesie własnych obywateli. W mojej opinii wysiłki takie powinny jak najszybciej podjąć wszystkie kraje, a więc i Niemcy, a także Unia jako całość.

WALDEMAR WITKOWSKI,
przewodniczący Unii Pracy

Tak, bo ten, kto czyni szkodę, musi ją naprawić. Wymiana wód jest w Bałtyku tak mała, że każde rozszczelnienie zbiorników z niebezpiecznymi substancjami może zaszkodzić całemu ekosystemowi. Byłoby naturalne, gdyby każdy, kto się przyczynił do danego zagrożenia dla środowiska czy dla spokojnego żeglowania, był odpowiedzialny za jego usunięcie; dotyczy to także państwa niemieckiego.

PROF. PIOTR SKUBAŁA,
biolog, etyk środowiskowy,
Uniwersytet Śląski

Nie chcę, żebyśmy od kogokolwiek czegoś żądali w kwestii do Bałtyku. Jest on naszym wspólnym problemem. Chemikalia pozostające w nim od dekad są plamą na honorze nas wszystkich. Usunięciu zanieczyszczeń musi towarzyszyć koniec traktowania Bałtyku jako ścieku, co robi każde państwo regionu, a my mamy tu wyjątkowo dużo na sumieniu.

No i walka z kryzysem klimatycznym, który bardzo silnie wpływa na życie w morzach. Jeśli wszyscy tak do tego podejść, to może nam się uda. Żądania dotyczące spraw sprzed dziesięcioleci nie służą niczemu dobremu, a już na pewno nie współpracy.

Czytelnicy PRZEGLĄDU
MICHAŁ CZARNOWSKI

Co do tego mają Niemcy? O neutralizacji zagrożenia związanego z bronią chemiczną poprzez jej zatopienie zdecydowano na konferencji poczdamskiej. Wszystkie kraje nadbałtyckie powinny żądać oczyszczenia morza od krajów, które podpisały się pod tym „genialnym” planem: od Wielkiej Brytanii, USA i Rosji.

EWA WESOŁOWSKA

Po Niemcach jest jeszcze sporo brudów wojennych i to oni powinni je usuwać. A reszta zostanie, bo obecnie są złe czasy dla ekologii. Bałtyk staje się Morzem Martwym bez soli i bez ryb.

Kurski – pas czy PiS?

Jacek Kurski zerwał z wszelkimi pozorami obiektywizmu. Wszystko było dla niego elementem partyjnej gry



Robert Walenciak

To było jak pstryknięcie palcami. 5 września obradowała (zdalnie) Rada Mediów Narodowych. W porządku obrad nie było ani pół zdania o głosowaniu w sprawie zmian w zarządzie TVP. W posiedzeniu uczestniczył prezes TVP Jacek Kurski, ale po jakimś czasie przeprosił zgromadzonych, tłumacząc się wyjazdem służbowym. OK. Chwilę po jego zniknięciu z ekranu przewodniczący Rady Mediów Narodowych Krzysztof Czabański zgłosił wniosek o odwołanie prezesa telewizji i powołanie na jego miejsce zastępcy Kurskiego, Mateusza Matyszkowicza. Pisowscy członkowie rady byli za. Było parę minut po godz. 12.

Koniec. 10 minut wystarczyło. Był prezes, nie ma prezesa.

Nie wiemy, czy Jacek Kurski, opuszczając posiedzenie RMN, wiedział, że za chwilę zostanie odwołany. Wiemy tylko, że o godz. 14 zatweetował: „Wiem, że przede mną kolejne wyzwania. Telewizja, której oddałem 7 ostatnich lat, jest

dziś u szczytu potęgi, wspaniała jak nigdy”.

Czy wspaniała jak nigdy? Czy też „obrzydliwa, odrażająca jak nigdy”? A może obie opinie są prawdziwe? Że TVP była potężna (choć to „jak nigdy” jest grubą przesadą) i obrzydliwa jednocześnie?

•

Najpierw porozmawiajmy o potęgzie. Tak, Jacek Kurski uczynił z TVP medium ważne, istotny punkt odniesienia i dla polityków, i dla świata mediów.

TVP Info przeszła w tryb propagandy wojennej. Że my jesteśmy dobro, a nasi przeciwnicy to absolutne zło. Wszystkie chwytły dozwolone.

Telewizja Brauna, też przecież polityka, tylko że PO, pogrążona była w konfliktach wewnętrznych, bez pieniędzy, bez inwencji, a jeśli wspierała Platformę, to bez szczególnych talentów. Kurski, gdy objął Woronicza, paroma ruchami zmienił plan gry. Przede wszystkim dał telewizji

pieniądze. Jeżeli ktoś śledził choć pobieżnie historię TVP, na pewno zapamiętał, że zawsze brakowało jej pieniędzy, że zwalniano ludzi, a produkcję wyprowadzano na zewnątrz. I że nigdy nie było wiadomo, ile skapnie z abonamentu. Jacek Kurski ten stan zakończył. Większość rządowa regularnie przegłosowała w Sejmie pieniądze dla TVP. Miliard, dwa miliardy... Stosownie do potrzeb.

Mając środki, można się boksować z konkurencją. Nie, nie na serwisy wiadomości, o tym będzie później, ale na programy, które ludzie chcą oglądać. Jakże?

Oto jeden z ostatnich tweetów Kurskiego: „B. udany start jesiennych premier i nowości TVP. Voice of Poland 2,05 mln (dwie długości przed TVN i Polsatem). Szansa nS (z Sarą James) 1,16 mln. Tak to leciało 1,14 mln. Wojenne dziewczyny 1,85 mln. Wszystkie pozycje liderami pasm. Dziękujemy!”.

Oczywiście to nie są programy dla intelektualistów, trafiają raczej w nieskomplikowany gust. Tylko że w tej grze nie o programy z najwyższej półki chodzi, ale o to, by przyciągnąć widzów. A pod tym względem TVP przoduje. Dużo sportu

(mecze piłkarskiej reprezentacji były rekordy oglądalności), dużo rozrywek, seriale. W zestawieniach dziesięciu najliczniej oglądanych programów z reguły TVP obsadza dziesięć, czasami dziewięć miejsc.

Z tego punktu widzenia Jacek Kurski lepiej potrafił zabiegać ▶

Zapraszamy



Po raz pierwszy **PRZEGLĄD** na **Jesiennych Targach Książki w Warszawie**

15-18 września 2022 r., **stoisko nr 17**
Arkady Kubickiego i Ogrody Zamku Królewskiego

Czekamy z promocyjnymi cenami

Spotkaj się z autorami naszych książek:

czwartek, 15 września

- godz. 16.00-17.00 – **Ewa Nowakowska**, „Cień szansy”

piątek, 16 września

- godz. 16.00-17.00 – **Robert Walenciak**, „Modzelewski. Buntownik”

sobota, 17 września

- godz. 12.00-13.00 – **Tomasz Turowski**, „Oko smoka”
- godz. 14.00-15.00 – **Robert Walenciak**, „Gambit Jaruzelskiego”
- godz. 16.00-17.00 – **Piotr Ciszewski**, „Dąbrowszczacy”

niedziela, 18 września

- godz. 12.00-13.00 – **Jerzy Domański**, tygodnik „Przegląd”
- godz. 14.00-15.00 – **Paweł Dybicz**, „Zakłamana historia powstania” t. I-V



Bądź z nami!

Wstęp na targi jest bezpłatny



o masowego widza niż konkurencja. Nie czułem obciachu. Ludzie lubią Zenka Martyniuka? Proszę bardzo, oto on! Wspominają piosenki z czasów Polski Ludowej? Nie wstydzimy się Polski Ludowej! Oto Maryla Rodowicz! Oto Edward Hulewicz!

I teraz pytanie za sto punktów – kto pożegnał Hulewicza? Kto napisał cokolwiek po jego śmierci?

Oto więc tweet Jacka Kurskiego: „Ze smutkiem przyjąłem informację o śmierci Edwarda Hulewicza, gwiazdy PL piosenki lat 60. i 70., który renesans twórczości przeżywał za sprawą Sanatorium Miłości i czołówki Bo życie jedno mam. Składam kondolencje bliskim. R.I.P. Nie zapomnimy o p. Edwardzie przy 70-leciu TVP”.

Spójrzmy na inne dane. Jak podaje portal Wirtualne Media, „pierwsze miejsce wśród najpopularniejszych stacji telewizyjnych w sierpniu 2022 r. zajęła TVP 1. Średni dobowy udział kanału wyniósł 7,84%”. Drugi w tej kategorii był Polsat (7,14%), trzecia TVP 2 (6,64%), czwarta TVN (6,23%). Rok wcześniej w sierpniu kolejność wyglądała tak: Polsat, TVP 1, TVN, TVP 2.

Ukradziono nam, Polakom, media publiczne. Czyli takie, które nie szczują, lecz tłumaczą, prezentują debatę, a nie nagonkę. Które jednoczą, a nie dzielą.

Zwróćmy uwagę, że łączny udział czterech największych stacji zmniejszył się z 31,04% w sierpniu 2021 r. do 27,85% w sierpniu 2022 r. I tylko przypomnijmy, dla pewnego porządku – w roku 2015 „wielka czwórka” zbierała 43,25% widowni.

Tendencja jest więc jednoznaczna – spada oglądalność wielkich stacji, widzowie wybierają kanały tematyczne lub internet. Efektem tego jest m.in. sukces TVN 24 (5,86%) i TVP Info (4,89% udziału, ale jednocześnie największy, 20-procentowy wzrost widowni w ostatnim roku).

Tak wygląda pole gry. Z tego punktu widzenia Jacek Kurski rzeczywiście

Oto czołówka w konkursie na pasek roku, ogłoszona przez fanpage „Oglądam »Wiadomości«, bo nie stać mnie na dopalacze”:

- Rosnące zarobki Polaków irytują Niemców (zwycięzca)
- Tusk chciałby wrócić, ale nie umie
- Opozycja chciała popsuć Polakom święta
- Plan opozycji: zabrać pieniądze Polakom
- Lewacki faszyzm niszczy Polskę
- Niemcy są zaniepokojeni polską konkurencją

był skutecznym prezesem. Miał to wyczucie.

A wcale nie był skazany na takie wyniki. Zwróćmy uwagę, że TVP to niejedyny medium publiczne, jest jeszcze Polskie Radio. Ale kto dziś przejmuję się Polskim Radiem, Jędrą, Trójką, skoro nikt już tego nie słucha? Kogo obchodzi, co tam gadają? Kto wie, kto tym kieruje?

Teraz możemy porozmawiać o obrzydliwości TVP. Bo oprócz futbolu i Maryli Rodowicz Jacek Kurski zaserwował nam w TVP prymitywną pisowską propagandę.

Oczywiście każdy, kto ma kontakt z mediami, wie, że za poprzedników Kurskiego telewizja publiczna to nie było BBC. Wiadomo, jednych promowała, drugich gnębiła, była

Nie wiem, co będzie pamiętane z TVP za lat kilkanaście, ale na pewno do historii mediów przejdą słynne paski, poza tym Danuta Holecka wdzięcząca się do Kaczyńskiego, no i ciągłe pokazywanie Tuska, gdy mówi „für Deutschland”. I wylewająca się z ekranu „gigantyczna fala nienawiści”, co celnie zauważył Maciej Stuhr.

„Jest pan złem. (...) Zamienił Pan adres Woronicza 17 w miejsce wstydu i hańby, choć raczej... beki, żenady i globalnego pośmiewiska... – pisał Kurskiemu Stuhr. – Dołożył Pan cegiełkę... nie, nie cegiełkę, tylko żelbetonowy blok do nagrobka polskiej – pardon – narodowej kultury. To, co serwujecie widzom na antenach, to archaiczna telewizja trzeciego świata. Niech mi Pan wymieni 10, co ja mówię! 5 nazwisk artystów o światowej lub choćby ogólnopolskiej renomie, które chciałyby znaleźć się w Waszej ofercie”.

Tak właśnie ukradziono nam, Polakom, media publiczne. Czyli takie, które nie szczują, lecz tłumaczą, prezentują debatę, a nie nagonkę. Które jednoczą, a nie dzielą – na LGBT, na lewactwo, na zdrajców, reprezentantów niemieckiego interesu itd. Które mają ofertę dla wszystkich – i dla fanów Zenka, i dla tych bardziej wymagających. I które rywalizują z mediami komercyjnymi nie kolejną szmirą, ale programami wyższej jakości. Żeby równać w górę, a nie w dół.

Cóż, można mieć takie marzenia. Ale w realu na mediach publicznych popełniona została zbrodnia. I nie spodziewajmy się za to kary.

Jacek Kurski jako prezes TVP stał się wielką gwiazdą PiS. Nie tylko zresztą tam. Sam musiałem kiedyś wysłuchać, jak radował się jeden z polityków (nie PiS): „Na pewnej imprezie trafiłem na Jacka Kurskiego. Zagadaliśmy trochę. On o coś zapytał, a ja wypaliłem: dlaczego nie zapraszacie mnie do telewizji? Już o nas nie pamiętacie? I proszę, trzy dni temu byłem, na jutro mnie

zapraszają. Z tym Kurskim warto dobrze żyć...".

Tak oto telewizja dała mu potężną pozycję, był niczym magnat z powieści Sienkiewicza – wszyscy mu się kłaniali i zabiegali o życzliwość. Niebezinteresownie. Bo mógł zadzwonić i kogoś zapraszano do programu lub nie. Ba! A skąd się wzięły informacje, że Kurski boksuje się z Morawieckim i Dudą, a promuje

swoje zwycięstwa w ostatnich kampaniach zawdzięczając telewizji publicznej. Czyli jemu.

Fani prawicy i oglądacze TVP te niuanse wyłapywali. A przede wszystkim wyłapywali to, że w czasach Kaczyńskiego, gdy rządzenie polega na permanentnym wywoływaniu konfliktów i szukaniu wroga, TVP jest idealnym tej polityki narzędziem. Mówił to zresztą niedawno

Zgadzam się z tą opinią. Owszem, niektórzy mówią, że TVP Info oglądają już tylko absolutni fani PiS, najtwardszy elektorat Kaczyńskiego, więc tak naprawdę nie jest ważne, co tam się mówi. Przyjmuję tę opinię do wiadomości, ale uważam, że jest zupełnie inaczej. Że dzisiejsza polityka polega na mobilizowaniu elektoratów, na suflowaniu im tego, co jest dobre, a co złe. Telewizja Kurskiego w dziele mobilizowania „swoich” okazała się niezwykle sprawna. I jeżeli Jacek Kurski powtarza, że to jemu PiS zawdzięcza władzę, nie będzie z tą tezą zawzięcie polemizować.

Co zatem? Kaczyński byłby tak głupi, żeby się pozbyć swojego najlepszego bulteriera? Nie sądzę, by się go pozbył. Raczej jest to przegrupowanie. I za chwilę znów zobaczymy Kurskiego w akcji. I to takiej, przy której „für Deutschland” okaże się niewinnym podszczyptywaniem. Te typy tak mają.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

Do historii mediów przejdą słynne paski, Danuta Holecza wdzięcząca się do Kaczyńskiego, no i ciągłe pokazywanie Tuska, gdy mówi „für Deutschland”.

Solidarną Polskę? Albo że chciałby być premierem?

A dlaczego by nie? Sienkiewiczowski Radziwiłł mógł marzyć o koronie, dlaczego Kurski nie mógłby marzyć o wielkich stanowiskach? Dlaczego miałby czuć się gorszy od Morawieckiego, Błaszczaka, Dudy, Ziobry? Zwłaszcza gdy mówił (a inni to chętnie powtarzali), że PiS i Duda

Paweł Lisicki, redaktor naczelny „Do Rzeczy”: „Realna władza jest w telewizji. To jest ten główny instrument propagandowy. Według różnych badań albo mogło wyjść, że dzięki TVP PiS wygrywał wybory, albo wręcz przeciwnie. Szczepie mówiąc, sądzę, że ta pierwsza narracja jest bliższa prawdy, a Jacek Kurski miał bardzo duże zasługi polityczne dla PiS”.



**JURASSIC WORLD
DOMINION**

**PREMIERA
na 4K ULTRA HD,
BLU-RAY i DVD**

Film do kupienia na  swiatksiazki.pl oraz w KSIĘGARNIE  Świat Książki

Płynie węgiel, płynie

Czy państwowym spółkom uda się przed zimą dostarczyć opał Polakom?

Marek Czarkowski

W 2015 r., w czasie kampanii wyborczej, Andrzej Duda zapewniał w Jastrzębiu-Zdroju, że Polska ma zapasy węgla na 200 lat. Trzy lata później mówił w Katowicach, że jest on „strategicznym surowcem naszego kraju, trudno, żebyśmy z niego całkowicie zrezygnowali”. Nazywał go „największym skarbem Polski” i solennie obiecywał, że nie pozwoli, aby ktokolwiek zamordował polskie górnictwo. Po siedmiu latach rządów Prawa i Sprawiedliwości zatrudnienie w sektorze wydobywczym... rekordowo spadło – do 74,7 tys. osób. A wydobywanie węgla sięgnęło dna – 54 mln ton.

Nie tylko zatem z powodu wojny w Ukrainie składy węgla w całym kraju świeciły latem pustkami. Dziś cena tony ekogroszku dochodzi do 3,9 tys. zł. Na jednym z portali aukcyjnych pojawił się nawet gumowy ekogroszek w promocyjnej cenie 3 tys. zł za tonę. Sprzedawcy przysięgają, że pali się świetnie. I mają rację! Bo są to zmielone stare opony. Że do tego dojdzie, ostrzegaliśmy na łamach PRZEGLĄDU jakiś czas temu.

Rząd planuje zniesienie ograniczeń związanych z ochroną środowiska odnoszących się do pieców węglowych. Co oznacza, że tej zimy na wsiach i w małych miasteczkach będzie się paliło czym popadnie – chrustem, liśćmi, oponami, plastikowymi butelkami, zużytym olejem silnikowym, starymi meblami, deskami i być może, wzorem afrykańskich plemion, suszonymi krowim łajnem. Nic się nie zmarnuje.

To wina rządu Mateusza Morawieckiego oraz postów, zarówno Zjednoczonej Prawicy, jak i opozycji, którzy wiosną bezmyślnie uchwalili natychmiastowe wprowadzenie embarga na rosyjski węgiel. Szybko się okazało, że do końca roku może

zabraknąć od 6 mln do nawet 12 mln ton tego surowca.

Mogliśmy uniknąć kryzysu i zaoszczędzić dziesiątki miliardów złotych, gdyby ktoś pomyślał. Komisja Europejska nie wymagała tak radykalnych decyzji. Pozostałe kraje unijne wprowadziły embargo na węgiel dopiero w sierpniu. A w Polsce, która podobno węglem stoi, już w maju węgla zabrakło. Latem jego ceny rosły z dnia na dzień, przed kopalniami ludzie wystawali w kolejkach, by kupić choć kilka ton po okazyjnej cenie.

Morawiecki, przerażony wizją wściekłych rodaków marznących zimą w nieogrzewanych mieszkaniach, bohaterstwo wziął na siebie do rozwiązania problemu, który sam stworzył. Najpierw polecił, by dwie państwowe spółki – PGE Paliwa oraz Węglolokoks – kupiły opał choćby w Burkina Faso. I dostarczyły go do kraju przed sezonem grzewczym. Na początku marca oświadczył, że rozmawiał z premierem Australii o zakupach węgla,

węgla będzie kosztowała ponad 3 tys. zł, a prywatni właściciele składów musieliby dopłacać do interesu. Rząd wycofał się z tej propozycji i obmyślił słynny dodatek węglowy w wysokości 3 tys. zł do każdego pieca.

Skąd płyną statki z węglem?

W roku ubiegłym sprowadziliśmy do Polski 12,55 mln ton węgla kamiennego. Najwięcej z Rosji – ponad 7 mln ton. W pierwszym półroczu br. głównymi kierunkami były:

- Australia – 1,4 mln ton,
- Rosja, do wprowadzenia embarga – 1,3 mln ton,
- Kolumbia – 727 tys. ton,
- Kazachstan – 337 tys. ton,
- USA – 284 tys. ton,
- RPA – 274 tys. ton,
- Mozambik – 152 tys. ton,
- Norwegia – 144 tys. ton,
- Indonezja – 120 tys. ton,
- Czechy – 109 tys. ton,
- Kanada – 87 tys. ton.

Po siedmiu latach rządów PiS zatrudnienie w sektorze wydobywczym rekordowo spadło – do 74,7 tys. osób. A wydobywanie węgla sięgnęło dna – 54 mln ton.

głównie na potrzeby ciepłownictwa. I z typową dla siebie dziarskością zapewniał, że jesteśmy gotowi na wprowadzenie embarga na rosyjski surowiec.

Pierwotnie rządowy plan opierał się na rekompensacie, w maksymalnej wysokości 1073,13 zł do każdej tony, wypłacanej właścicielom składów. Morawiecki apelował, byśmy nie ulegali panice, poczekali, aż węgiel z antypodów pojawi się w kraju, i kupili go za rozsądną cenę ok. 1 tys. zł. Ci, którzy go posłuchali, dziś plują sobie w brodę.

Niemal natychmiast okazało się, że ten plan rządu jest nierealny. Eksperci wyliczyli, że tona importowanego

By uzupełnić lukę, która powstała po wprowadzeniu embarga na rosyjski węgiel, należało sprowadzić dodatkowo co najmniej 6-7 mln ton. Stąd pytanie: ile potrzeba statków, aby taki ładunek przetransportować do Polski?

W kwietniu 2020 r. do portu w Gdańsku zawinął masowiec „Agia Trias” o nośności 185,8 tys. ton, wyładowany kolumbijskim węglem. Była to największa jednostka, jaka zawinęła do polskiego portu. Do przetransportowania brakujących milionów ton potrzeba od 32 do 37 takich masowców. A ponieważ tak dużych statków nie ma zbyt wiele, do tej operacji trzeba by zaangażować



Przeładunek węgla w porcie w Gdańsku, 26 sierpnia 2022 r.

nawet 100 jednostek o mniejszej nośności. Co oznacza poważne wyzwanie logistyczne.

Na początku czerwca minister klimatu Anna Moskwa zapewniła na Twitterze, że Spółka PGE Paliwa czeka na osiem statków z ponad 700 tys. ton kolumbijskiego węgla. Dodała, że dodatkowe ilości surowca importować będziemy z Kolumbii, USA, Australii, RPA i Indonezji.

Z Kolumbii do Polski płynie się miesiąc. Te masowce z pewnością dotarły już do naszych portów, lecz nie poprawiło to fatalnej sytuacji na rynku. Miesiąc temu znalazłem w internecie ogłoszenie: „Kolumbijski ekogroszek – cena 3,2 tys. zł za tonę”. Dziś wydaje się to atrakcyjną ceną, bo ekogroszek oferowany jest nawet po 3,9 tys. zł.

Ten zapewne pochodził z największej kopalni odkrywkowej w Ameryce Południowej – El Cerrejón, która zajmuje 69 tys. ha w dorzeczu rzeki Ranchería. Ponieważ wydobycie węgla kamiennego tą metodą jest znacznie tańsze od wydobycia metodą głębinową, jaką znamy z polskich kopalń, mogłoby się wydawać, że kolumbijski węgiel będzie konkurencyjny cenowo. Niestety, transport morski kosztuje, nie mówiąc o pośrednikach, którzy także muszą zarobić.

Australia – od której kupujemy najwięcej węgla – ma czwarte pod względem wielkości zasoby na świecie. 80% czarnego złota wydobywa się tam metodą odkrywkową. By ładunek ten trafił do Polski, w pierwszym półroczu br. potrzebowaliśmy 14 masowców o nośności 100 tys. ton albo ponad 20 mniejszych jednostek. Węgiel to wielki biznes, który przynosi Australii rocznie ponad 40 mld dol. zysku. Głównymi odbiorcami są Japonia, Korea Południowa, Indie, Tajwan oraz kraje Unii Europejskiej. Największe kopalnie znajdują się w Nowej Południowej Walii oraz Queenslandzie. Tylko w kopalni Goonyella Riverside wydobywa się rocznie 18,9 mln ton węgla koksującego.

Dla porównania w kopalni Bogdanka w 2021 r. wydobyto 10 mln ton. W tym samym roku z położonej w Nowej Południowej Walii kopalni Moolarben pozyskano 18,4 mln ton.

Australia eksportuje 78% wydobyczonego węgla przez 10 terminali przeładunkowych zlokalizowanych w Queenslandzie oraz Nowej Południowej Walii. Głównym portem jest Newcastle. Masowiec wyładowany australijskim węglem płynie do Polski siedem-osiem tygodni.

Opał zakupiony w Republice Południowej Afryki dotrze do Gdańska

najwyżej po trzech tygodniach, lecz tam kupujemy go mało. By sprowadzić go do Polski, wystarczy kilka statków o nośności 100 tys. ton.

Transport morski, w przeciwieństwie do lądowego, powoduje, że węgiel dociera do portów w części jako miął. Kołysanie statku na morzu sprawia, że jego ładownie zamieniają się w wielkie kruszarki, które skutecznie rozdrabniają nawet duże kawały na czarny proszek.

Nie wszystko, co czarne, nadaje się do pieca

Na świecie większość indonezyjskiego, australijskiego czy południowoafrykańskiego węgla spalana jest w elektrowniach. Ich nowoczesne kotły są przystosowane do miału węglowego i surowca gorszej jakości. Polskie gospodarstwa domowe, małe ciepłownie i zakłady przez lata korzystały z wysokiej jakości rosyjskiego węgla. Prywatni właściciele składów ostrzegają, że jeśli węgiel sprowadzony z antypodów okaże się gorszy, mogą się pojawić problemy ze zbytem. Bo kto weźmie odpowiedzialność za złą jakość opału, który może uszkodzić nowoczesne piece?

W 2014 r. Ukraińcy przekonali się, co znaczy brak dostępu do ▶

► odpowiedniego paliwa. Gdy separatyści zajęli tereny, na których znajdowały się kopalnie wydobywające najlepszy węgiel – antracyt, okazało się, że nie ma czym palić w elektrowniach węglowych, bo paleniska kotłów zostały zaprojektowane pod konkretny gatunek.

Przyszło sprowadzać drogą morską surowiec z RPA i – jak do niedawna twierdziła ukraińska prokuratura – znacznie tańszy antracyt z zajętego przez separatystów Donbasu. Proceder był niezgodny z prawem, lecz niezwykle dochodowy. Miały się nim zajmować spółki należące do ówczesnego prezydenta Ukrainy Petra Poroszenki oraz związanej z Kremlm miliarda Wiktora Medwedczuka. Polskie media wielokrotnie opisywały, jak powiązane z ukraińskimi i rosyjskimi biznesmenami spółki handlowały w naszym kraju antracytem z Doniecka i Ługańska.

Wydobycie tony dobrej jakości węgla w syberyjskiej kopalni dwa lata temu kosztowało ok. 7 dol. Dziś pewnie niewiele więcej. Transport kolejowy na terenie Federacji Rosyjskiej nie był drogi. Syberyjski węgiel miał jeszcze jedną zaletę – po odsianiu do sprzedaży odbiorcom indywidualnym

szek, orzech lub kostka nadawało się 40-50% ładunku. W przypadku węgla sprowadzanego z Australii lub Indonezji można uzyskać zdaniem sprzedawców 15-20% surowca nadającego się na opał dla takich klientów. Przy czym jest on znacznie droższy od rodzimego węgla, który obecnie sprzedaje Polska Grupa Górnicza. W sierpniu za bramą kopalni można było go kupić za 1-1,2 tys. zł za tonę. Dziś cena oscyluje wokół 1,5 tys. zł. Węgiel

Z Kolumbii do Polski płynie się miesiąc. Węgiel pochodzi z największej kopalni odkrywkowej w Ameryce Południowej, El Cerrejón.

importowany z Kolumbii sprzedawano po ponad 3 tys. zł. Wiadomo, że ten z Australii czy Indonezji nie będzie wiele tańszy. Ubocznym efektem tak szokującej różnicy cen jest zamykanie składów węgla należących do prywatnych spółek, a otwieranie ich przez państwowe spółki.

Premier na spotkaniach opowiada, że opał zakontraktowany przez PGE Paliwa i Węgllokoks będzie partiami trafiał do kraju do kwietnia przyszłego roku. PiS wie, że jeśli tej zimy Polacy będą marzli w domach, przyszłoroczne wybory są przegrane. 3 tys. zł dopłaty niewiele da, jeśli za tonę kolumbijskiego ekogroszku przyjdzie płacić 4 tys. zł.

Jak obniżyć cenę i zapewnić sobie wdzięczność i uznanie rodaków? Wystarczy zastąpić w elektrowniach tańszy, wydobywany w naszych kopalniach węgiel tym droższym, importowanym z Australii i Indonezji. A krajowy skierować do sieci składów należących do spółki PGE Paliwa.

Dziś kopalnie wchodzące w skład Polskiej Grupy Górniczej i Jastrzębskiej Spółki Węglowej sprzedają węgiel po 1,5 tys. zł za tonę. Jeśli nawet cena wzrosłaby do 2 tys., uwzględniając dodatek 3 tys. zł, trzy tony węgla można by kupić po 1 tys. zł. Ludzie byłiby szczęśliwi. Tylko jak zareagują na taki plan elektrownie, które musiałyby zapłacić więcej za węgiel importowany z Australii i innych egzotycznych krajów? Z pewnością zarządy nie byłyby zadowolone, lecz stratami można się podzielić ze spółkami PGE Paliwa i Węgllokoks.

Wiele będzie zależało od logistyki. Czy nasi portowcy będą w stanie szybko rozładować przytływające statki? A Polskie Koleje Państwowe sprawnie rozwieźć węgiel po kraju? Nawet premier Morawiecki przyznaje, że logistyka jest wąskim gardłem. Co oznacza, że możemy się spodziewać najgorszego.

Jedynie górnicy mają dziś dobre samopoczucie. Przy wysokich cenach węgla wszystkie kopalnie w Polsce są

rentowne. Ich załogi latem wywalczyły sute podwyżki. Nie musiały strajkować, palić opon przed urzędami wojewódzkimi ani naparzać się z policją. Wystarczyła groźba i rząd w osobie ministra aktywów państwowych Jacka Sasina ustąpił.

Jeśli zima będzie ostra, górnicy będą brać poprosi o więcej, bo w obliczu tym razem rosyjskiego embarga na dostawy gazu do Europy znacznie energetyki węglowej na naszym kontynencie niepomiernie wzrosło. Niemcy podjęli decyzję o utrzymaniu kilku swoich elektrowni jądrowych i o cichej reaktywacji trzech siłowni opalanych węglem. A Polska jest największym producentem węgla kamiennego. W skali Europy wydobywamy 90% tego surowca. Z powodu wojny Ukraina, która ma większe od nas zasoby, się nie liczy.

Na placach przy polskich elektrowniach leży dziś niewiele ponad 1 mln ton węgla, co przed zimą jest rekordowo małym zapasem. Dla porównania – na przełomie lat 2020-2021 było to 8 mln ton. Nie wspominając o węglu, który leżał na placach przykopalnianych.

Im dłużej będzie trwała wojna z naszą wschodnią granicą, tym mniej prawdopodobne wydaje się szybkie odejście państw europejskich od tradycyjnej energetyki węglowej. Nawet jeśli będzie to oznaczało konieczność sprowadzania surowca statkami z drugiego końca świata. I rezygnację z ambitnych planów ograniczenia emisji dwutlenku węgla do atmosfery.

Marek Czarkowski

m.czarkowski@tygodnikprzeгляд.pl



Refleksje pesymisty



Andrzej Romanowski

Nie poszedłem w Tatry

Przekomarzałem się kiedyś z nieżyjącym już dziś Michałem Jagiełłą, mówiąc, że Tatry poznałem wcześniej od niego. Rzeczywiście Michał, starszy o dziesięć lat, przyjechał w Tatry jako nastolatek, podczas gdy ja znalazłem się tam w wieku lat niespełna czterech. Tyle że potem zatrzymałem się w rozwoju, a Michał przemierzył całe Tatry, wspinał się po nich i zjeżdżał na nartach, został nawet naczelnikiem Grupy Tatrzańskiej GOPR. A przy tym poznał Alpy, Kaukaz, Pamir i Hindukusz – w żadnej mierze nie mogłem z nim się równać. Mój bilans był bowiem skromny: w Tatrach, zarówno polskich, jak i słowackich, przeszedłem wszystkie trasy znakowane. Ale to znaczy, że dotąd nie znam Tatr.

Nie miałem jednak szans ich poznać. W Tatry chodziłem samotnie, najwyżej z jedną, zawsze bliską mi osobą, tymczasem w głąb Tatr słowackich mogłem ruszyć tylko z przewodnikiem. W Tatry z osobą obcą?! To było tak nie do wyobrażenia, że nigdy nie poszedłem na Gerlach, Łomnicę czy Lodowy Szczyt, na Żelazne Wrota czy Wysoką, do Doliny Złomisk czy Doliny Ciężkiej. Nie uprawiałem też wspinaczki, bo wystarczała mi drabinka nad Kozią Przełęczą bądź balansowanie nad przepaścią pod skalistym szczytem Banówki. Samotność była najważniejsza. Przestrzeń, Światło i Cisza sławione przez Kazimierza Tetmajera.

To moje dzieciństwo tak mnie rozpieściło. Nie wiem, jak było w tym czasie w Czechosłowacji, ale w Tatry polskie chodziło się wszędzie i żaden przewodnik nie był potrzebny. Na Kominiarski Wierch wdrapywałem się czterema różnymi drogami, z których tylko jedna, z Iwaniackiej Przełęczy, była znakowana (dziś jest już zamknięta). Wantule i Wielka Świstówka stały się moim azylem, bo zawsze były puste. Jeden raz przeszedłem wiszące doliny, Litworową i Mułową, raz też byłem w dolince Między Scianami, za to na Łysanki wchodziłem wielokrotnie (raz w nieustającym ulewnym deszczu). Znaleźć się samemu w obliczu gór nie było zatem trudno. A przy tym w polskich Tatrach (w przeciwieństwie do Tatr słowackich) trwał wciąż tutejszy lud. Drogę do Wielkiej Świstówki pokazała mi, zadowolona w swoich górach, moja gaździna z Kościeliska. U wejścia na Małą Łąkę stał zadymiony szałas, z ogniskiem i szczekającym owczarkiem. Na Przysłopie Miętusim istniało, przerobione z szałasów, schronisko Bronisławy Staszek-Polankowej. Przy podejściu na Małołączniak słyszało się dzwonki owiec i śpiewy juhasa, bo choć wypas w Tatrach był zabroniony, zezwalano nań na wybranych obszarach. „Kres kultury chłopskiej”, przypomina w ostatniej książce Wiesław Myśliwski, a dla

mnie, który na wakacjach oglądał stroje, śpiewy i tańce góralskie i który po każdym powrocie z Poronina mówił gwarą, to, co dziś się stało z Tatrami, jest jak śmierć kogoś najbliższego.

„Tatry są takie malusie”, powtarzał Wojciech Gąsienica-Byrcyn. Jak bardzo malusie – widać na grani Czerwonych Wierchów, bo w dole nie ma już rozrzuconych góralskich domków Karpelówki, Wojdytówki i Butorowa, lecz rozpościera się potężne miasto: rozrosłe nad miarę Zakopane. Gdy rok temu zabrałem wnuka na Halę Gąsienicową, już nawet nie oczekiwałem, że będę mógł mu powiedzieć: „Teraz nic nie mówmy, słuchajmy, co ma do powiedzenia las”, lecz mimo wszystko nie sądziłem, że tatrzański las nie będzie miał kompletnie nic do powiedzenia, bo mówić będziemy wyłącznie my – idący pod górę, zziębnięci, spoceni ludzie.

Dla mnie, który po każdym powrocie z Poronina mówił gwarą, to, co dziś się stało z Tatrami, jest jak śmierć kogoś najbliższego.

Nie znaczy to, by kiedyś było lepiej. Było inaczej. Kopące i warkoczące autobusy marki Jelcz nie kończyły tury na Palenicy Białczańskiej, lecz zatrzymywały się dopiero na polanie Włosienica, tuż przed Morskim Okiem. Giewont atakowały ludzkie tabuny (nazywaliśmy je „stonkami”) wcale nie mniejsze niż obecnie. W Dolinie Strąskiej czy Kościeliskiej gromady ludzi nie tylko krzyczały, lecz i słuchały przenośnego radia Szarotka. Dziś o radiu nie ma mowy, co wszakże nie znaczy, by nie chodzili po Tatrach ludzie ze słuchawkami w uszach, ale to już ich problem. Kulturuje się przy tym (w dzieciństwie mi nieznany) sympatyczny zwyczaj pozdrawiania się na szlaku. Choć bywa to też męczące, bo ludzi w Tatrach jest rok w rok coraz więcej.

Co zatem mi przeszkadza? To, że nie ma dokąd uciec. Zamknięcie dróg nieznakowanych było koniecznością, uchroniło góry od zdeptania, ocaliło roślinność i zwierzyinę, ale na szlakach turystycznych stał się Tatrzański Park Narodowy niemalże już parkiem wielkomiejskim. Pozostają Tatry słowackie – tylko tam można czasem być jeszcze samemu z przyrodą. A Tatry polskie? Czy to dziwne, że w tym roku już do nich nie poszedłem?

a.romanowski@tygodnikprzeglad.pl

Góral stał się memem

Nie ma co ukrywać, że górale są mistrzami wyciągania pieniędzy od turystów. Na tym polu osiągnęli ogromny sukces

Rozmawia Mateusz Demski

Nie wiem, jak ty, ale ja nie przypominam sobie Zakopanego bez wszechobecnej tandety i kiczu. Moje pierwsze wspomnienie to budy z pamiątkami i kolejki do McDonalda na Krupówkach.

– A widzisz, to jesteś trochę młodszy, bo ja jeszcze pamiętam Krupówki bez McDonalda. Pod Wielką Krokwią nie było paździerzowych bud, z których sprzedaje się byle chłm, albo było ich bardzo niewiele. Pamiętam Gubałówkę bez szajsu i chaosu, który zasłania Tatrę. Bez cymberegajów i smrodu przypalonych gofrów czy oscypków. Jak byłem dzieckiem, inaczej to wyglądało, choć ten sentymentalizm pewnie może śmieszyć, bo mam dopiero 35 lat.

Lubisz tam jeździć?

– Kocham Tatry. Przeżywałem miłość do tych gór – jako dzieciak chodziłem z rodzicami, potem wciągnąłem w taternictwo przyjaciół i młodszego brata, Franka. Im jestem starszy, tym mniej sprawia mi to przyjemności. Na szlakach są tłumy. Ludzie drą się na siebie potwornie. Najlepiej wyjść o godz. 5 rano albo iść tak wysoko, żeby mieć kawałek tatrzańskiego nieba dla siebie. Ale nawet jak pójdziesz wysoko, to tam też robią się kolejki. Kiedyś były tylko na Giewoncie, teraz są pod Rysami i na Orlej Perci. W schroniskach widziałem już rezerwacje stolików, sprzedaje się w nich nawet prosięco na kieliszki. W 2021 r. padł rekord odwiedzin Tatrzańskiego Parku Narodowego – prawie 4,8 mln turystów. Jeszcze 10 czy 15 lat temu 2-3 mln robiło wrażenie.

A Zakopane?

– Nie podoba mi się. A w zimie, z tym smogiem, to już w ogóle jest nie do zniesienia. Zmiany

zachodzące w samej urbanistyce i architekturze też są straszne. Kiedyś dominowały w krajobrazie chaty góralskie, przedwojenne pensjonaty, wille w stylu witkiewiczowskim. Dziś płoną, walą się z zaniedbania, a na ich miejsce leje się beton i powstają hotelowo-apartamentowe molochy. Chodzenie po Zakopanem nie sprawia mi przyjemności. Przez ostatnie lata jeździłem tam, bo musiałem. Redakcja „Gazety Wyborczej” wysyłała mnie z Krakowa, żeby szukać tematów reporterskich. Pracowałem nad sprawą pamiątkarstwa, koni z trasy do Morskiego Oka, kilku spółek deweloperskich, które mocno wdarły się w krajobraz z pomocą lokalnych architektów. Potem mieliśmy rok, kiedy doszło do kilku drastycznych wypadków na Podhalu. Jeden to sprawa, którą otwieram książkę – śmierć babci i wnuczka, których przysgniotła dwutonowa brama w Białce Tatrzańskiej. Postawiona bez pozwolenia. Potem na nagłówkach gazet była sprawa trzech kobiet, matki i córek, na które spadł dach „wypożyczalni nart”, a de facto przyczepę obitej blachą i deskami, w Bukowinie. W międzyczasie płonęły zabytkowe budynki w Zakopanem, w których umierały osoby w kryzysie bezdomności.

Dużo tego.

– Poczułem, że przekroczyliśmy masę krytyczną złych wieści z Podhala. I trzeba ten moment w historii regionu ująć w większej publikacji. Najbardziej mierzilo mnie, że ofiary były przez lata tylko liczbami w policyjnej statystyce albo

w dziennikarskich depeszach, które sam przecież pisałem. Chciałem pokazać, jaki dramat za tym stoi. Rodziny przyjechały na urlop. Były pierwszy, drugi dzień na feriach. Ludzie stracili najbliższych przez panującą na Podhalu bylejąkość, chaos przestrzenny, „spychologię” odpowiedzialności. Jak słyszę ten żenujący żart, że na Podhalu prawo budowlane się nie przyjęło, to kończę dyskusję. Widziałem zdjęcia z kostnicy i przestało mnie to bawić. To mógł być każdy/każda z nas. Wystarczyło znaleźć się „w nieodpowiednim miejscu w nieodpowiednim czasie”. **Zastanawiam się, kiedy to się zaczęło: ta masowa turystyka, ta patodeweloperka, te samowole budowlane. Tytus Chłubiński, Witkacy czy może później?**

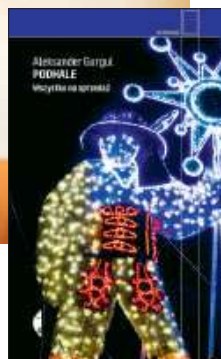
– Już po wojnie powstawały wielkie hotele. Budowało je państwo, na pewno zmienił się wtedy charakter całego miasta, ale to ciągle mogło być magiczne miejsce przy dobrym planowaniu i z pomocą urbanistów, którzy mieliby głowę na karku. Zakopane jako tygiel artystyczny i kulturowy. Poza tym kiedyś w willach i pensjonatach mieszkali miejscowe rodziny, które prowadziły pokoje na wynajem dla letników. Wiele z tych budynków, razem z góralami, zostało wymiecionych. Na ich miejscu wyrosły apartohotele lub condohotele. W weekendy pomieszkują tam turyści, którzy nie mają żadnego stosunku emocjonalnego do regionu. Mówiła mi o tym m.in. Zuza Dębiec, artystka, która przez lata mieszkała w willi Chochlik, zaprojektowanej

Aleksander Gurgul – absolwent dziennikarstwa, amerykanistyki i latynoamerykanistyki na Uniwersytecie Jagiellońskim. Od 2014 r. związany z „Gazetą Wyborczą”, gdzie od 2021 r. kieruje zespołem „Klimat i środowisko”. Publikował również w „Tygodniku Powszechnym”, „Magazynie Miasta” i „Autoportrecie”.



ALEKSANDER GURGUL

– autor książki „Podhale. Wszystko na sprzedaż”



przez Stanisława Witkiewicza i Teodora Axentowicza. Ona sama wyjechała z Zakopanego do Holandii, ale jej znajomi podają jedzenie, leją piwo, sprzedają pamiątki. Lokalna społeczność została sprowadzona do roli obsługi ruchu turystycznego. Przez tę galopującą gentryfikację Zakopane stało się makietą miasta, którą okresowo wypełniają turyści. **Dużo piszesz o deweloperach – myślisz, że oni napsuli na Podhalu największej krwi?**

– Tu nakłada się kilka wątków. Nie chodzi tylko o spółki deweloperskie. Dużym graczem, zwłaszcza w Zakopanem, jeżeli chodzi o ruch turystyczny, jest Kościół; zakony mają swoje ośrodki ewangelizacyjno-wypoczynkowe, a w nich pokoje do wynajęcia. Ale tych graczy, którzy chcą uszczknąć coś z tortu masowej turystyki przynoszącej krocie, jest mnóstwo. Nie da się wskazać jednego winnego, bo to cała mozaika – masz deweloperów i architektów, którzy chcą wycisnąć tzw. maksa z PUM, czyli powierzchni użytkowo-mieszkalnej. Do tego masz Kościół i polityków. Wreszcie masz nas, turystów, wydających pieniądze na szajs, który

nie ma nic wspólnego z Podhalem. Każdy dokarmia tego potwora.

Górale chyba dawno temu się poddali – stali się takim „ludem dekoracyjnym”. Ich kultura i tożsamość zostały rozmienione na drobne, są towarem.

– Na wiele różnych sposobów. Najbardziej prząsnym i karykaturalnym tego przejawem jest fakt, że wizerunek górala służy dziś głównie do reklamowania taniego piwa pod tę jakość. Domyślasz się, o którym mówię – góral z reklamy jest jurnym harnasiem, który rozłupuje świerk jednym uderzeniem siekiery, wilki mu się kłaniają w lesie, a on ratuje turystów z górskiej opresji. Znam też taki browar w Zakopanem, który wypuścił linię piw i na jednej z etykiet góral ujeżdża ryczącego niedźwiedzia. Serio. To już nawet nie jest kicz, tylko coś głębszego. Niestety, taki obraz się sprzedaje, a potem czar pryska, jak przyjeżdżasz i widzisz, że ten szlachetny harnaś to tysięcący facet, który smaga batem przeciążonego konia. Mit góralczyzny bardzo się rozjeżdża z rzeczywistością. Przykro mówić, ale góral stał się memem.

Jak papież, również silnie związany z regionem.

– Jeśli mam powiedzieć, kto jest w historii Polski największym marketingowcem i piarowcem góralszczyzny, obok Chałubińskiego i Witkiewicza, to mówię: Jan Paweł II. Zresztą pod jego wpływem niektórzy górale zaczęli wierzyć, że są narodem wybranym. Kulminacją był rok 1997 z mszą na Wielkiej Krokwi, gdzie papież kazał góralom bronić krzyża na Giewoncie. Niektórzy traktują to dosłownie, co bywa karykaturalne, jeżeli ktoś coś zawiesi na tym krzyżu. Hiperreligijność góralska objawia się czasem w przedziwny sposób i w wyjątkowych okolicznościach.

Na przykład?

– Dla mnie najbardziej fascynująca jest historia kapliczki na Gubałówce. To była sakralna samowola budowlana – jedna z pierwszych w tej części Zakopanego. Dziś jest jedną z setek samowoli na tym szczycie, otoczyły ją budy z paździerza i plastiku. Powstała w ramach wotum dziękczynnego za przetrwanie wojny, postawili ją Władysław i Marianna Bachleda-Księżdzlarz. Ich córka mówiła mi, że do ojca przyszedł w nocy Chrystus i przypomniał mu o obietnicy zbudowania kapliczki. Jako reporter jesteś bezradny, kiedy słyszysz takie rzeczy. Szukasz potwierdzenia w dokumentach i tam jak wół stoi, że to była samowola i obietnica za przetrwanie wojny. O Chrystusie w listach do władz komunistycznych się nie wspomina.

Ale ta historia fascynuje mnie także, bo dzieje się w kilku wymiarach. Drugi wymiar tej sakralnej samowoli to zwykły góralski pragmatyzm: zbudowali kapliczkę, bo – jak sami pisali do władz – chcieli mieć bliżej do kościoła. W aktach bezpieki czytałem, że górale postanowili zbudować na Gubałówce kolejne obiekty, w tym rurociąg i szkołę podstawową, a w kosztorysach tych „inwestycji” już wliczyli kary za samowolną budowę. Trzeci to walka z komunistami. Jak kazali góralom rozebrać kapliczkę, to ci schowali ją w jedną noc do stodoły i do dziś pokutuje na Podhalu przekonanie, że byli w związku z tym represjonowani na tle religijnym. ▶

► Wśród sytuacji związanych z tą hiperreligijnością, które opisywałem w gazecie i książce, był jeszcze osobliwy pomysł rzucony kiedyś przez radnego gminy Kościelisko. Narcyz Sadłoń wymyślił, żeby wybudować posąg Jana Pawła II na Butorowym Wierchu. Figura miała być rozmia-
rów Jezusa z Rio albo nawet Statuy Wolności.

To już dość kuriozalne.

– Można się śmiać, ale są też sprawy zatrważające. Na Podhalu jest olbrzymi problem z alkoholem. Piciem niektórzy górale maskują depresję, a to z kolei prawdopodobnie wpływa na liczbę samobójstw w powiecie. Mówię o tym dlatego, że bardzo często osoby, które chcą skończyć z piciem wódki czy samogonu, zamiast szukać pomocy u psychoterapeutów, idą zaślubować abstynencję w kościele na Górcie. Przychodzi kilka tysięcy ludzi w roku. Wolą ślubować przed Bogiem, z lekarzy się śmieją.

Nie ślubują za to niebiańskich kobiet.

Piszesz także o ofiarach przemocy domowej.

– Przy czym skala tego zjawiska na Podhalu jest ciągle nieznaną, potencjalnie mocno zaniżoną w oficjalnych statystykach. To hermetyczna społeczność, która nie wynosi niczego na zewnątrz. Trudno było dotrzeć do kobiet, które tego doświadczyły. Kiedy zaczęły się otwierać, mówiły, że jest ich więcej, tylko reszta boi się prosić o pomoc. Latami żyją pod jednym dachem z oprawcami. Zofia opowiadała mi o swojej sąsiadce, nazywa ją ciotką, która na noc zamyka się przed mężem w osobnym pokoju. Boi się wyjść z sypialni, dlatego zabiera ze sobą wiadro – na wypadek, gdyby zachciało się jej iść do toalety. A historie o tym, że ktoś gonił kogoś z siekierą czy tłuczkiem, odnoszę wrażenie, są na porządku dziennym.

Zakopane nie przyjęło uchwały antyprzemocowej.

– To jedyna gmina, która jej nie przyjęła, co zresztą pochwalili abp Marek Jędraszewski i premierka Beata Szydło. Inne gminy wprawdzie mają uchwałę i zespoły interdyscyplinarne, ale to nie zawsze funkcjonuje tak, jak powinno. Poznałem kobietę z Bukowiny Tatrzańskiej, która zadzwoniła na policję, jak facet



nad nią się znęcał. Przyjechali do niej do domu. Szybko się okazało, że policjanci znają się z oprawcą. Ludzie razem chodzą do kościoła, na uroczystości gminne. Koło się zamyka.

A wracając do patodeweloperki – co na to wszystko górale?

– Lokalsi twierdzą zgodnie: „Na Podhalu nie ma już świętości”. Kiedyś była nią ojcowizna, czyli ziemia przekazywana z ojca na syna, która zostawała w rodzinie. Dzisiaj niewiele trzeba, żeby przekonać górala do jej sprzedaży. Usłyszałem o tym i pomyślałem o podtytule książki: „Wszystko na sprzedaż”. Potem opisywałem historię konia, który padł na trasie do Morskiego Oka. Czytałem notatki policyjne: górale rozprawiali o tym, co można zrobić, żeby spieniężyć tego biednego zwierzęcia, ile dostaną za niego w rzeźni. Wtedy faktycznie uznałem, że wszystko jest na sprzedaż na Podhalu.

Ktoś próbuje powstrzymać tę dziką zabudowę?

– Znam takich, którzy wygrywali z deweloperami w sądach. Na razie to pojedyncze przypadki. Kłopot w tym, że ludzie po prostu na tym się nie znają. W Krakowie jako dziennikarz chodziłem na dziesiątki konsultacji społecznych w sprawie planów zagospodarowania i wiem, jak to wygląda. Planiści operują trudnym językiem. Pół godziny i ludzie odpadają. Nie wiedzą, o czym

jest mowa – w Krakowie, gdzie jest wielu ludzi wykształconych i zaangażowanych obywatelsko, kwitnie miejski aktywizm. Wyobrażam sobie, że w Zakopanem na takie konsultacje chodziła garstka, w tym pełnomocnicy spółek deweloperskich, którzy zarabiają kolosalne kwoty, by przepchnąć „maksę”. Potem budowy apartamentowców ruszyły kaskadowo. Dopiero wtedy ludzie się obudzili, zobaczyli, na jak wiele pozwoliły deweloperom plany zagospodarowania uchwalone przez radę miasta.

Piszesz, że na Podhalu beton leje się szeroką strugą.

– Najpierw były pożary starych willi, przedwojennych pensjonatów i górskich chat. Często pereł architektury, w których ogień pojawiał się z niewyjaśnionych przyczyn. Dziwnym zbiegiem okoliczności działki, na których stały zabytki, nieraz należały do deweloperów. Zgliszczą były sprzątane, po roku wjeżdżały koparki i wyrastał stalowo-betonowo-szklany apartamentowiec, który nie pasuje do sąsiednich, historycznych obiektów. Do rangi symbolu urosła willa Ros-Ami przy Tuwima. Ludzie płaczą za tym miejscem – mają wspomnienia z nim związane. Kiedyś mieszkały tam ich rodziny, przyjaciele. Willa płonęła więcej niż jeden raz, potem działkę „posprzątano”. Na razie leży odłogiem.

Myślisz, że da się to jeszcze zatrzymać?

– Nie jestem optymistą. Kłopot w tym, że zazwyczaj deweloper ma pieniądze i armię prawników. Nawet jak zablokujesz jeden projekt, który jest na „maksę”, czyli zakłada wyciśnięcie z ziemi wszystkiego, co jest do wyciągnięcia, to architekt może obciąć 5-10% z tego „maksę” i zmienić projekt. Powstanie kolos minus kilka procent, czyli ze zmianą praktycznie kosmetyczną. Z kolei, gdybyś chciał punktowo zmienić plan zagospodarowania (pomijam czas na powtórne konsultacje, przekonanie radnych, by mieli odwagę, i samo głosowanie w radzie miasta, bo to zajmuje lata), deweloper może przyjść do urzędu miasta i powiedzieć: „Zmieniliście reguły w trakcie gry, jak kupowałem działkę, to mogłem wybudować więcej, teraz płacie odszkodowanie”.

No dobrze, ale ktoś musiał dać na to przyzwolenie. Jak oceniasz władze Zakopanego?

– Trudno mi oceniać, bo nie udało mi się porozmawiać z burmistrzem Zakopanego. Nie zdobył się na odwagę, żeby się spotkać. Zapewniłem, że dostosuję kalendarz do niego i będziemy trzymać dystans, a wywiad odbędzie się w maseczkach. Nie zgodził się. Zbierając materiały, rozmawiałem natomiast z Januszem Majchrem, emerytowanym burmistrzem. Szczyci się tym, że pokrył miasto planami zagospodarowania, myśląc pewnie jego o rozwoju i przewietrzeniu. Nie można mu tego odebrać, pytanie tylko, czy nie otworzył tej furty za szeroko, pozwalając deweloperom na zbyt wiele.

Ile bilbordów stoi na zakopiance?

– Tego nikt nie wie. Nie znam żadnej inwentaryzacji.

Pytam, bo bardzo lubię rozdział w książce, w którym jedziesz samochodem i czytasz na głos każdą reklamę w zasięgu wzroku. Niezły bigos z tego się robi.

– To jest potok. Jedziesz w Tatry i widzisz po drodze reklamy maszyn do strzyżenia, korekty biustu, usług stomatologicznych i setki innych. Niektóre to potężne ściany zasłaniające widok na Tatry. Nie mogę się doczekać, kiedy Zakopane

wprowadzi swoją uchwałę krajobrazową. Trwają konsultacje, ale ciągle ktoś składa uwagi, a głosowanie w radzie miasta jest odwlekane w czasie. Na końcu będą głosować radni, którzy też pewnie mają kumpli i szwagrow, co zarabiają na tych bilbordach. Są grupy nacisku, które mogą wywalić uchwałę do góry nogami.

Biznes musi się kręcić.

– Nie ma co ukrywać, że górale są mistrzami wyciągania pieniędzy od turystów. Na tym polu osiągnęli ogromny sukces. Jest chciwość deweloperów, ale i chciwość miejscowych, o czym 100 lat temu pisał Witkiewicz. To stało się przekleństwem regionu. Po drugiej stronie tego ambarasu jesteśmy my. Jedziemy tam i nie myślimy, czy coś kosztuje 50, czy 100 zł. Bez sensu rozsypujemy pieniądze. Najgorszy szajs z podłych smażalni potrafimy wepchnąć sobie do gardła. Bierzymy okropne bezguście i tandetę ze straganów.

To jest kwestia edukacji turystycznej, przed nami ogromna praca. Musimy zacząć myśleć o tym, gdzie postawić szlaban, a innym razem, jak podnieść poprzeczkę góralom. Jeżeli rezerwujemy nocleg, to nie w betonowo-stalowym pałacu, ale w małym pensjonacie, który prowadzi rodzina od przedwojnia. To samo z pamiątkami – trzeba szukać

produktów lokalnych artystów. Kilka lat temu Muzeum Tatrzańskie ogłosiło konkurs na pamiątkę. Wygrały „Domy duchy” – genialny projekt, który daje dużo do myślenia. To trzy świece dekoracyjne w kształcie starych, zabytkowych obiektów, których w mieście już nie ma. Nawiasem mówiąc, jestem jednym z niewielu dziennikarzy, którzy mieli dostęp do pełnej listy prac.

Największe kuriozum?

– Pomijam jakieś sztampowe podkładki pod myszki albo futerały na telefon, moim ulubionym stał się ciupasol – skrzyżowanie ciupagi i parasola. To już zawsze pozostanie w mojej głowie. Trochę jak te budy na Gubałówce. Nikt nie może się ich doliczyć.

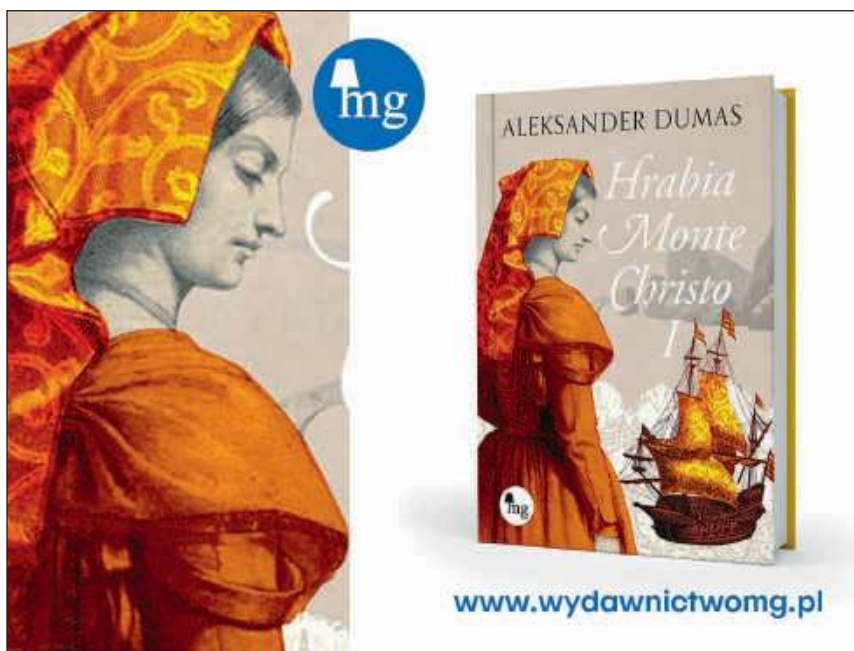
Będziesz w stanie tam wrócić?

– Tylko w góry. Jest cała masa pięknych miejsc poza Zakopanem, gdzie ciągle jeszcze można rozkoszować się wędrówką. Biorę czasem wolne w tygodniu, żeby nie zderzać się z tłumami na szlakach. Mam ulubioną trasę w Tatrach – tam i z powrotem trzeba iść ok. 12 godzin, ale znajduję wtedy trochę ciszy i spokoju.

Podzielisz się?

– Nie będę zdradzał, bo zaraz wszyscy tam się zlecą.

Mateusz Demski



Jakub Dymek

Zamknięci z automatu

Jak Polska nadużywa aresztu tymczasowego

Jeżeli jest jedna rzecz, która wyróżnia systemy autorytarne, to jest nią uznaniowe i arbitralne pozbawianie obywateli wolności – niemal każdy się zgodzi, że właśnie po tym najłatwiej je poznać. Uznaniowe i arbitralne znaczy tyle, że przedstawiciel władzy, czy będzie to dyktator, czy minister sprawiedliwości, prokurator albo sędzia, może działać obok prawa i standardów, nie bojąc się konsekwencji swoich działań. Robi to, co robi, bo tak chce, bo jest przekonany, że może, lub stawia polityczną czy zawodową korzyść nad wszystko inne. Nie zawsze zresztą muszą to być wyłącznie przypadki autorytaryzmu w jego najbardziej skrajnej postaci. Ale dla niewinnie oskarżonego i osadzonego w areszcie bez wyroku nie ma znaczenia, czy chodzi o surowość religijnego fundamentalizmu jakiejś arabskiej satrapii, skorumpowany wymiar sprawiedliwości w postsowieckiej republice, czy leniwego lub bezdusznego sędziego w kraju Unii Europejskiej. Skutki w postaci utraty szans na pracę, rozłąki i rozpadu rodziny, niemożności spłaty długów, nieodwracalnych czasem szkód dla zdrowia i psychiki – są takie same.

W Polsce (ani w Grecji czy w USA) nie ma Gułagu, obozów odosobnienia ani tajnych kazamat służb bezpieczeństwa. A jednak w państwach Zachodu dalej nadużywa się tymczasowego aresztowania, czasami na podstawie przesłanek tak błahych, że to aż niewiarygodne, łamiąc ludziom życie. Pojęcie areszt tymczasowy jest też mylące, bo owa tymczasowość w rzeczywistości może oznaczać całe lata – dwa, trzy, a nawet pięć. Bywa, że areszt, zamiast przyspieszyć proces, przynosi odwrotny skutek i obok odsiadki podejrzanego czeka dodatkowa kara w postaci np. kolejnych 10 lat rozpraw i przesłuchań.

Nowe opracowania pokazują, że problem być może się zaostrza, choć przecież w czasach masowego cyfrowego nadzoru społeczeństw, Pegasusa, dozoru elektronicznego i rozpraw online, sięganie po średniowieczne metody odosobnienia



jest już nie tylko coraz mniej akceptowalne, ale zwyczajnie się nie opłaca. A koszty utrzymania podobnie nieefektywnych i czasami nieludzkich środków (w tym niestety społeczeństwa Zachodu nie różnią się od autokracji) płacą wszyscy.

W teorii kwestia tymczasowego aresztowania jest w Polsce dobrze uregulowana – nie można człowieka

a znane przypadki nadużyć mrożą krew w żyłach.

Po pierwsze, aresztować

W tym roku mija 10 lat, od kiedy nadużywanie tymczasowych aresztowań stało się w Polsce głośnym tematem i pojawił się impuls do zmiany. Mało kto o tym pamięta, ale

Pojęcie areszt tymczasowy jest o tyle mylące, że owa tymczasowość może oznaczać całe lata.

zamknąć, jeśli się nie ukrywa przed wymiarem sprawiedliwości, nie stwarza zagrożenia dla innych i nie ma wysokiego prawdopodobieństwa, że podejrzany będzie mataczył albo ucieknie z kraju. Co więcej, nie można w zgodzie z polskim prawem przedłużać tymczasowego aresztowania w nieskończoność. Podejrzany lub oskarżona powinni mieć dostęp do obrony i możliwość odwołania się. W praktyce jest inaczej,

stynne hasło: „Donald, matole, twój rząd obalą kibole”, miało początek w represjach wobec środowiska kibicowskiego. Ówczesne władze miały uzasadnione podejrzenia, że futbolowi fanatycy, przestępczość zorganizowana i skrajni nacjonaści – nierzadko wprost odwołujący się do nazizmu – to czasami pokrywające się zbiory. Jednak obok działań wymierzonych w faktycznych neonazistów czy bandytów zdarzały się

aresztowania na podstawie wątpliwych donosów i czasem wieloletnie przetrzymywanie ludzi w aresztach. Najgłośniejsza była sprawa kibica Legii Macieja Dobrowolskiego, którego zamknięto za rzekomy współudział w przemyśle marihuany – choć spędził w areszcie 40 miesięcy, a nigdy nie postawiono mu zarzutów, otrzymał śmiesznie niskie odszkodowanie. Sprawa ciągnęła się latami,

mężczyzna o tym samym nazwisku. Wyrok uniewinniający usłyszał w lipcu br., po niemal czterech latach od pierwszego aresztowania. To z kolei znów idzie na konto prokuratora Ziobry.

Dlaczego piszę w tym kontekście o partiach politycznych? Bo sprawę aresztowej samowolki wzięło prawie dekadę temu na sztandary Prawo i Sprawiedliwość. Od lokalnych

wyliczeń nowego raportu Warsaw Enterprise Institute w 2021 r. sądy uznały ledwie 2,4% zażaleń. Mówiąc wprost, ze statystyk wynika, że zastosowanie wobec podejrzanego aresztu jest nieomal przesądzone, jeśli tylko prokuratura o aresztawniku – bo niezmiennie od lat sądy zgadzają się na areszt w ok. 90% przypadków i (co pokazują te najnowsze dane) potrafią w ciągu roku odrzucić niemal 98% zażaleń.

Nietrudno więc sobie uzmysłowić, jak groźby aresztu może użyć (i nadużyć) każdy prokurator. Skoro ma 90-procentową pewność, że sąd przychyli się do wniosku – byle spełniał formalne wymogi – może zagrozić zamknięciem każdemu, na długo zanim

Najgłośniejsza była sprawa kibica Legii, któremu, choć spędził w areszcie 40 miesięcy, nigdy nie postawiono zarzutów, a otrzymał śmiesznie niskie odszkodowanie.

a nawet korzystne dla Dobrowolskiego wyroki Europejskiego Trybunału Praw Człowieka nie pomogły załagodzić krzywdzie.

Podobnie gorszących zdarzeń było jednak w XXI w. w Polsce więcej i wiele z nich opisywał PRZEGŁĄD. Jeden z przykładów to historia kobiety, którą w zaawansowanej ciąży, skutą kajdankami, nocą przewieziono do aresztu, uniemożliwiono jej kontakt z rodziną, pełnomocnikiem, a potem z nowo narodzonym dzieckiem. „O przesłuchaniu tymczasowo aresztowanej S. zdecydowano w ostatnim tygodniu przed porodem i nie odstąpiono od jego przeprowadzenia w szpitalu pomimo porodu w toku”, pisał wtedy rzecznik praw obywatelskich. To była pierwsza kadencja PiS. Niektóre sprawy były tragiczne, inne absurdalne. W 2018 r. Polska przegrała (nie po raz pierwszy) przed Europejskim Trybunałem Praw Człowieka sprawę o nieuzasadnione aresztowanie – chodziło o człowieka, który spędził w areszcie więcej czasu, niż wynosił najsurowszy wymiar kary za przestępstwo, jakiego miał się dopuścić. Mężczyzna (winny zarzucanych mu czynów) przesiedział w areszcie cztery lata i trzy miesiące, choć maksymalna grożąca mu kara wynosiła cztery lata. To z kolei sprawa z czasów szczytowej Platformy Tuska. Jeszcze gorszy był los inżyniera z Ksawerowa, który odsiedział 14 miesięcy w areszcie, a potem został skazany (!) za przestępstwo, które popełnił najprawdopodobniej inny

radnych po najwyższych rangą członków partii ludzie PiS wstawiali się wtedy za kibicami i bronili ich przed tym, co uważali za celowe represje wymierzone w ideologiczne wrogi władzy środowisko. Dobrowolski co prawda przesiedział w areszcie ponad trzy lata, ale po kolejnych wyrokach przed europejskimi sądami polski wymiar sprawiedliwości zaczął konsekwentnie ograniczać nadużywanie tymczasowego aresztowania. Presja z Europy, mozolne wysiłki zmierzające do ograniczenia liczby tymczasowo aresztowanych i relatywnie wysoki stopień uznawalności zażaleń sprawiły, że powoli, ale z każdym rokiem statystyki zmieniały się na lepsze. Aż przyszedł rok 2016.

Szeryfowie i reformiści

Bez względu na to, co politycy PiS mówili o niesłusznie aresztowanych kibicach i samowolce prawniczej „specjalnej kasty”, gdy doszli do władzy, pozytywny trend w stosowaniu tymczasowych aresztowań się odwrócił. W latach 2009-2015 liczba osadzonych w aresztach tymczasowych spadła o połowę: z niemal 25 tys. postanowień o zastosowaniu aresztu w 2009 r. do 12 tys. w 2015. Od tamtego czasu jednak liczba aresztowanych rośnie (nawet na tle mniejszej przestępczości i mniejszej liczby osadzonych ogółem), a znacząco spada liczba skutecznie rozpoznanych przez sądy zażaleń. Według

postępowanie zacznie się na dobre, o wyroku nie wspominając. A jak zwracała uwagę w raporcie z 2019 r. Fundacja Court Watch Polska, „większość wniosków jest uzasadniona pozornie. Spełnia wymogi formalne, ale nie zawiera analizy faktycznych podstaw zastosowania tymczasowego aresztowania ani okoliczności decydujących o tym, czy pozbawienie oskarżonego wolności już na tym etapie postępowania karnego jest niezbędne”. Fundacja podkreślała lakoniczność tych wniosków – prokuratorzy poświęcali kilka linijek tekstu, od czterech do siedmiu, np. uzasadnieniu przynależności podejrzanego do zorganizowanej grupy przestępczej. Na podstawie tak pobieżnego i płytkiego uzasadnienia sądy podejmowały decyzje, które skutkowały czasami wieloletnim aresztowaniem. Choć z nielicznych pozytywnych zmian w ostatnich latach należy odnotować, że średnia długość aresztu zmalała. Aczkolwiek dla aresztowanego to chyba niewielka pociecha, że „średnio” posiedzi nie np. 14 i pół miesiąca, ale rok.

Gdy jednak mówimy o krzywdzie i wielkich społecznych kosztach nadużywania tymczasowych aresztowań, to nie przenosi. Jak przypominał za Court Watch Polska portal Ngo.pl, „w latach 2015-2020 odszkodowanie za niesłuszne zatrzymanie lub tymczasowe aresztowanie otrzymały 553 osoby, a zadośćuczynienie 1199 osób. W sumie pochłonęły one ▶

► 78 978 437 zł z budżetu państwa”. To naprawdę dużo w skali całego budżetu na więziennictwo i ogrom pieniędzy w kontekście tego, jakie pożytki przyniosłyby podobne wydatki na poprawę np. warunków przetrzymywania osadzonych. Lub gdyby zainwestować je w rzetelny (i odciążający sędziów) proces kontroli wniosków o aresztowanie. Bo ludzie siedzą w aresztach nie rzadko za niewinność nie wyłącznie

Watch Polska od czasu objęcia przez Zbigniewa Ziobrę urzędu ministra sprawiedliwości zmarnowaliśmy na niepotrzebne pozbawienie ludzi wolności blisko 1 mld zł.

Osierocony temat

Sprawa tymczasowych aresztowań i niepotrzebnego okrucieństwa wymiaru sprawiedliwości jest jednak polityczną sierotą. Można

sprawiedliwości i wszystkich innych jego „klientów”.

W ostatnich latach lewica, szczególnie w najmłodszym pokoleniu, uznała, że przestrzenią wymierzania sprawiedliwości jest internet, a nie sala sądowa. Z wypiekami na twarzy śledzi więc (i współtworzy) kolejne serie oskarżeń i kontr-oskarżeń, pomówień i „dram”, jak to się dziś nazywa. A zainteresowana jest działaniem wymiaru sprawiedliwości żywiołowo i szczerze wtedy, gdy mowa o dyskryminacji mniejszości i szczególnych przypadkach brutalności policji wobec protestujących kobiet bądź tęczącej młodzieży. Gdy zaś problemy z wymiarem sprawiedliwości dotyczą spraw spoza lewicowej agendy, zainteresowanie reformą systemową słabnie. Choć oczywiście są od tego podejścia wyjątki. Jednak widać przepaść między rozumieniem sprawiedliwości przez lewicę

W latach 2015-2020 odszkodowanie za niesłuszne zatrzymanie lub tymczasowe aresztowanie otrzymały 553 osoby, a zadośćuczynienie 1199 osób.

z powodu złej woli czy sadyzmu polskiego wymiaru sprawiedliwości, ale także dlatego, że przepracowany sędzia mechanicznie przyklepuje równie mechanicznie napisany wniosek prokuratora, byleby zatutnić tę formalność.

Odszkodowania to niejedyny systemowy koszt absurdu nadużywania aresztu tymczasowego. Według szacunków Polska marnuje na areszt tymczasowy dziesiątki milionów złotych miesięcznie. Wszystkie inne rekomendowane przez polskie i europejskie organizacje środki zapobiegawcze – m.in. dozór elektroniczny, odebranie paszportu, poręczenie majątkowe – są dla budżetu państwa tańsze. Słowem, jeśli nie ma uzasadnionego ryzyka, że podejrzany zbiegnie z kraju albo będzie mataczył, trzymanie takiej osoby w areszcie jest nie tylko przesadnie represyjną, ale i po prostu głupio rozrzućną polityką. Zdaniem Court

odnieść wrażenie, że w Polsce dalej obowiązuje domniemanie winy, a nie niewinności – a ochrona osadzonych lub niesłusznie oskarżonych nie cieszy się wielką popularnością

Od czasu objęcia przez Zbigniewa Ziobrę urzędu ministra sprawiedliwości zmarnowaliśmy na niepotrzebne pozbawienie ludzi wolności blisko 1 mld zł.

w żadnym politycznym środowisku. PiS i przede wszystkim Solidarna Polska wróciły do twardej polityki karnej i inspirowanego amerykańskim prawniczym populizmem podejścia typu *law and order*. Czyli najpierw zaostrzać prawo, potem surowo karać, a dopiero później zastanawiać się, czy słusznie i skutecznie.

Liberałowie w Polsce – ci spod znaku Zjednoczonej Opozycji – mają inny problem. Owszem, bronią zaciekle praworządności i niezależności wymiaru sprawiedliwości, ale często na poziomie sloganów i abstrakcyjnego legalizmu. W typowym dla zachodniego liberalizmu merytokratycznym duchu wywodzą, że praworządność jest wówczas, gdy respektowane są wszystkie kodeksy, regulaminy, obyczaje i formuły. Co gorsza, z punktu widzenia zwykłego obserwatora – czyli większości z nas, Polaków – obrona praworządności w wykonaniu opozycji staje się obroną sędziów i prawniczych autorytetów, a nie ofiar sądowych nadużyć czy rażących pomyłek wymiaru

w Polsce i w krajach anglosaskich lub nawet we Włoszech czy w Hiszpanii, gdzie od pokoleń działacze lewicowi wiązali niesprawiedliwość i nierówności w dostępie do uczciwego sądu z kwestiami klasowymi, wykluczeniem i rasizmem. Dlatego w USA też trudno znaleźć skutecznego polityka Partii Demokratycznej, który na jakimś etapie kariery nie otarł się o problemy reformy wymiaru sprawiedliwości, więziennictwa i nadużyć policji.

Ten brak zainteresowania jest dziwny. To przecież sprawa, po którą wystarczy się schylić, i jeden z niewielu obszarów do budowy szerszej progresywno-liberalnej koalicji. Bo przecież nic tak nie uderza we wszystkie prawa i wartości wspólne dla liberałów, lewicy i uczciwych konserwatystów jak bezprawne pozbawienie wolności – jedno z najbardziej przemilczanych naruszeń praw człowieka w dzisiejszej Polsce.

Jakub Dymek

j.dymek@tygodnikprzeglad.pl





Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Jedynym poglądem – władza

Niczego jej nie zawdzięczam. Niczego się od niej nie dowiedziałem. Niczego nie nauczyłem. Miała życie bardziej odległe od mojego, naszego niż miliardy innych ludzi. Nie żywiłem do niej żadnych uczuć, kiedy żyła. Tym bardziej nie żywię, kiedy będąc bardzo starą kobietą, zmarła. Nie wiem, jakie potrzeby zaspokaja tym wszystkim, którzy teraz odczuwają przemożną konieczność wyrażenia żalu. Nie rozumiem, dlaczego jej imię (nie padnie w tym tekście) znają niemal „wszyscy”. Od frazy „skończyła się pewna epoka” można się porzygać. Epoka w naszych epokowych czasach kończyła się kilka razy: w maju 1945 r. w Berlinie, latem 1945 r. w Hiroszimie i Nagasaki, może wraz ze śmiercią Stalina i kiedy Gagarin przez godzinę wypatrywał nieistniejącego boga na niebie wokół Ziemi, kiedy Armstrong zeskokczył na księżycowy kurz, kiedy Nixona zmiotła afera Watergate, kiedy Chomeini przejął władzę w Iranie, kiedy ze strajków w 1980 r. powstała Solidarność, kiedy runął mur w Berlinie, kiedy przestał istnieć ZSRR i upadł apartheid w RPA. Ale to taki

Polityk bez poglądów. Pusty ideowo, wyprany z poglądu na świat, z przekonań. To Jarosław Kaczyński.

nasz cywilizacyjny HiT, niewiele lepszy od tego pisowskiego. Dla większości (w Polsce przynajmniej, w naszym środku i pępku świata) było to coś zupełnie innego: prąd we wsi, pierwszy traktor, telewizor, praca inna niż ta, co przez stulecia – na polu. Pralka elektryczna zreformowała w swej istocie świat bardziej niż telefon, telewizor czy komputer. A wojny i tak miały się dobrze.

A ona „nie ujawniała swoich poglądów”, co poczytuje się za zastrógę. Była słowem z języka historii, i to tej historii z krwią na rękach, historii niesprawiedliwości, zabetonowanych nierówności, kuriozalnych przywilejów. Ta epoka skończyła się, kiedy wynalazek francuskiego lekarza Guillotina, wykonany przez niemieckiego producenta klawesynów Schmidta, błyskawicznym cięciem pozbawił króla Ludwika XVI głowy i życia. Wszystko, co potem, to przypisy do zakończonej historii.

Oczywiście wiedziałem, że ona jest, nawet jak wygląda, w niewielkiej kolekcji znaczków były jej podobizny – to chyba tylko wówczas, przez chwilę, budziła moje ciepłe skojarzenie z czymś odległym, nieznanym, wciąż – jak się wydawało – potężnym. Tak już nie było.

Przeskoczę na nasze prowincjonalne podwórko. Ten wątek „nieujawniania poglądów” przypominał mi, że

jakiś czas temu uświadomiłem sobie, że znam polskiego polityka, kluczowego rozdającego karty w ostatnich latach, który w moich oczach jest fenomenem z zupełnie zaskakującego powodu – nie tyle nieujawniania poglądów, ile w rzeczy samej ich nieposiadania. Polityk bez poglądów. Pusty ideowo, wyprany z poglądu na świat, z przekonań, ze spójnej myśli, wizji, pakietu czegoś, co nazywamy wartościami w życiu politycznym. To Jarosław Kaczyński. Jakże ma poglądy w jakiegokolwiek kwestii? Trzeba by najpierw zapytać, którą mamy godzinę, bo kilkadziesiąt minut, dni, tygodni czy tym bardziej lat wcześniej mówił co innego i do czegoś innego przekonywał. Umiejętność zmiany poglądów jest wielką umiejętnością, jest zwycięską walką z własnymi, przyswojonymi i ugruntowanymi sądami, taka zmiana wymaga odwagi, wysiłku intelektualnego.

Często w identyfikacji z poglądem podważonym zauważamy zaczyn odstępstwa i nadchodzącej zmiany, porzucenia ortodoksji i dogmatu. „Kiedy zmieniają się fakty, zmieniam zdanie”, mawiał John Maynard Keynes. I dopytywał: „A Pan?”. W przypadku Kaczyńskiego fakty nie odgrywają żadnej roli, chyba że to „fakty socjologiczne”. Kaczyński w każdej istotnej kwestii politycznej ostatnich trzydziestu kilku lat wygłaszał poglądy sprzeczne, znoszące się i wykluczające nawzajem. Jedynym kryterium doboru akuratannej tezy, frazy, emfazy, epitetu była jego potencjalna sprawczość polityczna. I tak z rozmowy o polityce robi się monolog o zdobyciu i utrzymaniu władzy. Co może temu się przysłużyć – zostanie wypowiedziane i użyte, nie omieszką się tego wymierzyć we wroga. Bo wróg jest pojęciem kluczowym, choć służebnym wobec czystego posiadania władzy. Rozsiewaną nienawiścią, wrogością łatwo się buduje poparcie, do niczego to nie zobowiązuje, za nic nie jest odpowiedzialne. Nie trzeba rozwiązywać realnych problemów, można dokładać i generować nowe – także nierozwiązywalne. Nie trzeba kompetencji, uczciwości ani odpowiedzialności – jedyną walutą jest wiernopoddanie. Ale tego świata, w którym taka patologiczna technika sprawowania władzy obowiązuje, też nie ma. Choć w czarnych myślach pojawia się groźba, że ona przyszłe czasy zapowiada. Wszystko jest manipulacją, kłamstwem, zaprzeczeniem. Ministrowie kłamstwa nazywają samych siebie Ministrami Prawdy. I w ogóle lubią nadludzkie porcje patosu i wielkich słów. To fanatyczna religia, w której bogiem jest zdobycie, posiadanie (a nie sprawowanie) i nieutrata samej, czystej władzy.

Ona tylko nie ujawniała poglądów. Ale je miała. Tu na odwrót. Jakie imperium, taki imperator. ■

Mateusz Mazzini

Królowa

Śmierć Elżbiety II oznacza zmierzch epoki przywódców, którzy byli synonimami własnych państw

Można opisać to w sposób najprostszy, za pomocą liczb. Powierzała władzę nad Wielką Brytanią piętnaściorgu premierom. Pierwszym był Winston Churchill, ostatnią – Liz Truss, która o śmierci monarchini dowiedziała się w drugim dniu premierowania (o nowej szefowej rządu więcej na s. 27). Można wymienić ekstrema, które towarzyszyły jej 70-letniemu panowaniu. W brytyjskiej rodzinie królewskiej była ostatnią, która nie chodziła do szkoły, całą edukację otrzymując w królewskich rezydencjach. Ale też pierwszą, której koronację na żywo transmitowała telewizja. Można wymienić każdy z ponad stu krajów, które odwiedziła za swojego panowania. Każdy skandal, który nadszarpnął reputację wszystkich w rodzinie, tylko nie jej. Każde państwo, które zrzuciło kolonialne jarzmo, odkruszając kolejny fragment skostniałego imperium. Życie Elżbiety II było, z punktu widzenia historii najnowszej, zjawiskiem tak unikatowym, że mnogość wydarzeń, których była świadkiem,

z urodzenia w rodzinie królewskiej oraz wewnętrznym pragnieniem służby narodowi. Można się spierać, czy rzeczywiście służyła mu dobrze i czy naród w ogóle tej służby chciał i potrzebował. To jednak temat na inne czasy. Bo fakt, że Elżbieta II całe swoje życie rozpatrywała w kategoriach życia swoich poddanych, jest właśnie tym – faktem.

Rzeczy, które powiedzieć o niej można z pewnością, było całkiem sporo. Począwszy od jej wizji panowania, dającej się zdefiniować bon motem: „Brytania to Elżbieta II, Elżbieta II to Brytania”. Nie należy tego jednak interpretować jako absolutyzmu, chciwego zamachu

bowiem życie sterylne, z chirurgiczną precyzją oddzielając to, co pokazywała światu i narodowi, od tego, co wydarzało się w jej codzienności. A ta nie należała do najbardziej ekscytujących. Poza miłością do koni i psów rasy Corgi w życiu prywatnym Elżbiety nie było wiele treści. Przynajmniej innej treści niż ta związana z tronem. Ona naprawdę oddychała monarchią.

Współczesne rządy, archaiczne metody

Jej panowanie przypadło na czas, w których właściwie z każdym dniem rola królowej stawiała się coraz bardziej dekoracyjna. Elżbieta II rządziła najdłużej w tysiącletniej historii brytyjskiego dworu i kto wie, czy nie były to też rządy najtrudniejsze. Na jej oczach i przy jej współudziale zaszło słońce nad brytyjskim imperium kolonialnym, nie tylko kontrolującym jedną trzecią globu, ale przede wszystkim będącym źródłem współczesnej tożsamości narodowej Brytyjczyków. Królestwo nawet w domu składało się przecież z aż czterech nacji, różniących się językami i historycznie częściej wojujących ze sobą niż pokojowo współistniejących.

Wspólny brytyjski nacjonalizm wymyślił dopiero premier Benjamin Disraeli w pierwszej połowie XIX w. Stworzył go jednak właśnie na bazie kolonializmu. Przekonał mieszkańców Wysp, że jeśli chcą się utożsamiać z tworem politycznym sprawującym władzę od Indii po Kanadę, muszą myśleć o sobie jako o Brytyjczykach. Chociażby z tego powodu rozpad imperium po II wojnie światowej u niejednego polityka czy arystokraty

Nigdy nie odstąpiła od swoich ideałów, nawet gdy te okazywały się skompromitowane.

pozwoiliaby na wypełnienie tekstów o wiele dłuższych niż ten. I chociażby z tego względu nie ma sensu oddawać się rozkoszom historycznych rekonstrukcji. Elżbieta II nie była tylko postacią z epoki minionej. Ona była tą epoką.

Przywilej i służba

Aby w pełni zrozumieć, co znaczyła dla Brytyjczyków, obywateli innych krajów Wspólnoty Narodów, a tak naprawdę dla całego świata, trzeba ją jako człowieka wpisać w kontekst instytucji, którą kierowała przez 70 lat. Od wstąpienia na tron 2 czerwca 1953 r. aż do śmierci była przede wszystkim królową Wielkiej Brytanii. Tą królową, the Queen. Jej życie naznaczone było dwiema wartościami: przywilejem wynikającym

na władzę. Zmarła królowa uważała za swój obowiązek pełne oddanie obowiązkowi wynikającemu z jej dziejowej roli. Tak układała swoje życie, by z każdym kolejnym gestem, decyzją czy zagranicznym wyjazdem być coraz bliżej literalnego pojęcia się z ideą monarchini. Przez ostatnie kilka dekad panowania dokonała wręcz pełnego scalenia. Wyrzekła się innego życia, królestwo było dla niej wszystkim. Ewoluowała w symbol, rezygnując z własnego człowieczeństwa.

Nie pozwalała sobie na publiczne chwile słabości, gniewu czy frustracji, nawet jeśli prywatnie je okazywała. To, co działo się za murami jej rezydencji, na zawsze pozostanie tajemnicą. Którą jednak, jak dziś się wydaje, niewielu chciało i wciąż chce poznać. Elżbieta II prowadziła



Królowa z członkami 1. Batalionu The Argyll and Sutherland Highlanders, 9 listopada 2004 r.

mógł budzić realne obawy o efekt domina i rozczłonkowanie samej Wielkiej Brytanii. Lecz nawet gdy kolonie jedna po drugiej przekształcały się w suwerenne państwa, a imperium ewoluowało od codziennego źródła dumy do wstydliwego reliktu przeszłości, Brytyjczycy nie przestawali być dumni z przynależności do wspólnoty narodowej. Co więcej, dumy im raczej przybywało. Ogromna w tym zasługa Elżbiety II, która nad potencjalną katastrofą dziejową zapanaowała, zmieniając ją w szansę na skok w nowoczesność.

Wielka Brytania, a wraz z nią spora część świata, stała się integralnym elementem współczesności również dlatego, że królowa rozumiała swoją rolę i to, w jaki sposób się ona zmienia. Imperium zastąpiła Wspólnota Narodów, zgodnie uznawaną przez ekspertów, publicystów i innych członków rodziny królewskiej za oczko w głowie Elżbiety II. Skupienie pod jednym, tym razem pokojowym sztandarem 54 państw, niegdyś związanych ze sobą wyłącznie przemocą Londynu, było jej największym osiągnięciem geopolitycznym, ale i pasją. Co znów potwierdza prawdziwość tezy o scaleniu się jej osobowości z ideą monarchinii zasiadającej na tronie.

Wbrew mnożącym się w tej chwili oskarżeniom o brak kontaktu z rzeczywistością Elżbieta II doskonale rozumiała specyfikę czasów, w których przyszło jej rządzić. Wiedziała, że musi być królową zawsze obecną, choć nienarzucającą nigdy swojej woli. Dowody na to dawała wielokrotnie, również wobec mieszkańców innych krajów. Kiedy w 1999 r. zyskiwał na sile australijski ruch republikański, a w Canberze coraz głośniejsze dyskusowano o wystąpieniu ze Wspólnoty

Elżbieta II z chirurgiczną precyzją oddzielała to, co pokazywała światu i narodowi, od tego, co wydarzało się w jej codzienności.

i pozbawieniu królowej tytułu głowy państwa na antypodach, Elżbieta II publicznie stwierdziła, że cokolwiek Australijczycy zadecydują, ona ich wolę uszanuje. Zdawała sobie sprawę, że jej rolą nadal jest rządzić, chociaż co właściwie znaczy rządzić – podlega zmianie.

Potrafiła współpracować z momentami autorytarną w swoich poczynaniach Margaret Thatcher i nieokrzesanym Borisem Johnsonem. Ale i z Tonym Blairem, którego żona była zdeklarowaną krytyczką utrzymania monarchii na Wyspach

i którego rząd oferował program tak postępowy, że właściwie zredefiniował kontrakt społeczny między obywatelami a władzą. Godziła się na decentralizację i poszerzenie zakresu prerogatyw parlamentów Szkocji, Walii i Irlandii Północnej. Jako pierwsza brytyjska głowa państwa pojechała do Rosji, a w czasie wizyty w Republice Irlandii usiadła do stołu z ówczesnymi politykami, dawnymi terrorystami z IRA, którzy kilkanaście lat wcześniej najprawdopodobniej życzyli jej śmierci. Nie zajęła stanowiska, gdy David Cameron ogłaszał referendum w sprawie wyjścia Wielkiej Brytanii z Unii Europejskiej. Pozwoliła narodowi decydować, bo jej rolą nie było już decydować za naród.

Pod tym względem była monarchinią bardzo uwspółcześioną, nawet jeśli pojęcie to zawiera sprzeczność. Elżbieta II chciała rządzić w sposób adekwatny do ducha czasów, ale robiła to za pomocą archaicznych instrumentów. Z tego punktu widzenia była więc ucieleśnieniem idei konserwatyzmu. Nie tego współczesnego, kojarzonego z impregnowaniem na zmiany i antynaukowością, lecz tego z czasów Edmunda Burke'a. Mottem brytyjskich konserwatystów było bowiem

*zawsze hasło **change to conserve**, zmieniać, by zachowywać. Elżbieta II jako brytyjska królowa zachowała w sposób nienaruszony to, co kochała najbardziej, właśnie poprzez ciągłą de facto zmianę.*

Jaka piękna katastrofa

Może z tego powodu pośrednio przyłożyła rękę do co najmniej kilku katastrof w rodzinie królewskiej, przynajmniej tych wizerunkowych. Nie potrafiła dać wsparcia emocjonalnego Dianie, przytłoczonej ▶

► majestatem monarchii i osamotnionej w małżeństwie z Karolem. Nie rozumiała rozterek syna, nie do końca pasującego do wyobrażenia o przyszłym królu, zakochanego w dzikiej przyrodzie i przede wszystkim w kobiecie innej niż żona. Słabość do drugiego syna, Andrzeja, manifestująca się już od jego nastoletniości, sprawiła, że pozostała ślepa na jego bliskie relacje z pedofilem celebrytą Jeffreyem Epsteinem, ale także na przestępstwa samego księcia. Napięte były jej relacje z młodszą siostrą Małgorzatą, kompletnie zmarginalizowaną w strukturach rodziny królewskiej. Lęki o przyszłość Karola i wyskoki Andrzeja sprawiły, że z boku zostali Edward i Anna, podobno chowająca urazę do dziś. Wreszcie małżeństwo księcia Harry'ego z amerykańską aktorką Meghan Markle i późniejsza rezygnacja ich obojga z uczestnictwa w życiu monarchii były dla niej początkowo zjawiskiem niezrozumiałym, a potem bardzo bolesnym. Żadna z tych emocjonalnych porażek nie powinna jednak dziwić. Mimo wszystko Elżbieta była tylko człowiekiem, jej uwaga i zdolność koncentracji na problemach były ograniczone. Zespawanie z tronem i monarchią odbyły się kosztem jej osobowości. Stracili na tym wszyscy jej najbliżsi, z jednym wyjątkiem.

Skupienie pod jednym sztandarem 54 państw, niegdyś związanych wyłącznie przemocą, było jej największym osiągnięciem geopolitycznym, ale i pasją.

Był nim książę Filip, obdarzony przez królową miłością dziś niemal niespotykaną. Pochowała męża w kwietniu 2021 r., po 73 latach wspólnego życia. Po śmierci Filipa wielokrotnie z pałacu Buckingham dochodziły informacje, że królowa, choć wciąż oddana narodowi, czuje się samotna, straciła przecież

partnera w długich, tak lubianych przez nią spacerach.

Być może wtedy ostatecznie zobaczyła, że słońce już zachodzi. Nad nią samą, nad tronem, nad Brytanią, jaką zna i kocha. Coraz słabsza fizycznie, rzadziej uczestnicząca w publicznych wydarzeniach, ostatnie miesiące spędziła w szkockiej rezydencji Balmoral. Miejsu, które choć odległe od Londynu, było w jej życiu zawsze obecne.



27 marca 2002 r. Elżbieta II przyjęta w pałacu Buckingham Jolantę i Aleksandra Kwaśniewskich.

Wraz z jej śmiercią kończy się czas przywódców, którzy byli synonimami swoich własnych państw. Nigdy nie odstąpiła od swoich ideałów, nawet gdy te okazywały się skompromitowane. Jak w przypadku ujawnienia kolonialnych zbrodni imperium, z ludobójstwem w Kenii

suwerennych, dużych i ważnych krajów, wciąż uznających ją za głowę państwa. Liberał i dwójka lewicowców, rządzących krajami z silnymi ruchami republikańskimi. Mimo to każdy z nich wyraził głęboki szacunek. Albanese określił ją mianem „stałego, podnoszącego na duchu elementu trudnej codzienności”. Ardern mówiła, że odczuwa smutek z powodu jej śmierci, zmieszany jednak z wielką wdzięcznością za służbę, również Nowozelandczykom. Trudeau, który poznał Elżbietę jako kilkuletni chłopiec, gdy premierem Kanady był jego ojciec, Pierre Trudeau, wyraźnie wzruszony mówił o niej jako o kobiecie „przenikliwej, współczującej, rozsądnej, zabawnej”. Na koniec nazwał ją „jedną z najlepszych osób, jakie w życiu poznał”. Tak nie żegna się monarchy, tak żegna się kawałek własnego życia.

Oczywiście część opinii publicznej z powodu śmierci monarchini wznosi okrzyki radości. Dla nich królowa była, owszem, symbolem, ale raczej znieprawdzonej idei. Dziedziczonego przywileju, nieograniczonej władzy, społecznej głuchoty i apologii zbrodni białego człowieka poza Europą. Redukowanie Elżbiety II do stetrycznej rasistki, która straciła kontakt z rzeczywistością, jest jednak przejawem ignorancji, złej woli albo obu tych rzeczy naraz. Myślenie o niej w ten sposób równe jest myśleniu o ostatnim stuleciu wyłącznie w kategoriach postkolonialnej przemocy i krzywd, za które nikt nie zadośćuczynił. Tamten świat był znacznie bardziej skomplikowany, ale przede wszystkim był światem dynamicznych zmian, sprzeczności, niemożliwych wyborów. Światem tragedii i nowych początków. I cokolwiek by o nim myśleć, wraz ze śmiercią Elżbiety II przynajmniej w części świat ten właśnie odchodzi.

Mateusz Mazzini
m.mazzini@tygodnikprzeglad.pl

Mateusz Mazzini

Przez ostatnie tygodnie w brytyjskich mediach społecznościowych popularność zyskiwała anegdota o niezwykle skutecznej młodej działaczce politycznej. Rzecz działa się podczas Freshers' Fair, jednego z najważniejszych elementów początku roku akademickiego na brytyjskich uczelniach. W czasie tych swoistych targów kół i stowarzyszeń studenckich pierwszorocznicy mają szansę zapoznać się z uczelnianą ofertą sportową, naukową i polityczną. Smutni i sfrustrowani przedstawiciele oksfordzkiej młodzieżówki Partii Pracy narzekali, że nikt nie odwiedza ich stoiska, z wściekłością patrząc na sąsiedni stolik Liberalnych Demokratów. Tam z kolei waliły tłumy, a przyciągała je przewodnicząca młodzieżówki, obiecując, że jeśli jej partia wygra wybory, doprowadzi do legalizacji marihuany na Wyspach.

Ową przewodniczącą była Liz Truss, od ubiegłego tygodnia nowa szefowa Partii Konserwatywnej i trzecia kobieta w historii na stanowisku premiera Wielkiej Brytanii. Choć dzisiaj wszyscy widzą w niej uwspółcześioną kopię Margaret Thatcher, zdecydowanie bardziej adekwatne byłoby zestawienie jej z Jamesem Stromem Thurmondem. Ten mało znany amerykański senator po raz pierwszy wybrany został do Kongresu w 1954 r. jako kandydat niezależny. Dwa lata później, już w trakcie kadencji, przeszedł do Partii Demokratycznej, z członkostwa w której zrezygnował jednak w 1963 r. Od tego momentu był republikaninem, którym pozostał do śmierci w 2003 r. Porównanie to może być na pierwszy rzut oka dziwne, lecz trafnie ukazuje naturę politycznego zwierzęcia, jakim jest Truss. Skuteczna, zdecydowana, niezła w pracy w trybie kampanijnym, ale przede wszystkim to polityczna oportunistka, doskonale umiejacą wyczuć, skąd w elektoracie wieje wiatr.

Wybrać jak najlepiej

Sprzeczności w jej życiorysie nie brakowało, radośnie zresztą zapełnił



Liz Truss potrafi nagle zmienić polityczny kurs.

Obrotowa

Politycznie Liz Truss była już wszędzie, ale dopiero teraz weszła na szczyt

się nimi internet w czasie ostatnich wakacji. Odkopano przemówienie z czasów studenckiego zaangażowania Truss w ruch liberalno-demokratyczny – niemal wykrzychaną płomienną krytykę monarchii. Niejeden komentator na Wyspach zastanawiał się, czy temat owego wystąpienia pojawi się, gdy Truss – twierdząca w nim, że w Wielkiej Brytanii wszystkie rodziny są równe, poza rodziną królewską, niepoddaną żadnemu nadzorowi – będzie całować w rękę królową Elżbietę II, odbierając nominację na szefową rządu.

Znacznie mniej komiczny jest wątek jej stosunku do Unii Europejskiej i miejsca Wielkiej Brytanii we Wspólnocie. Jeszcze w czasie kampanii referendalnej z 2016 r. Truss była gorącą orędowniczką pozostania Londynu w unijnych strukturach, by

potem ujawnić się jako twarda agitarka probrexitowa. Teraz przejmując władzę, jednocześnie w partii i w całym kraju, z programem gospodarczym niemal żywcem wyjętym z epoki, gdy pod sztandarem liberalizmu i demokratyzacji miała się kończyć historia.

Do torysów wstąpiła zaraz po skończeniu studiów. Znajomi z Oksfordu wspominają, że kierowała nią głównie ambicja. W połowie lat 90. Liberalni Demokraci nie mieli najmniejszych szans na przejęcie władzy w kraju. Truss przeszła więc do partii, w której mogła przynajmniej walczyć o taki cel. Andrew Mueller z magazynu „Monocle”, kreśląc sylwetkę Truss, zauważył, że nowa premier od zawsze była świadoma wagi politycznej marki, z którą zestawiała swoje nazwisko. Jeśli ta ▶

► marka traciła na wartości, jak obóz pozostania Wielkiej Brytanii w Unii, lub okazywała się niewystarczająco prestiżowa, jak Liberalni Demokraci, Truss po prostu ją zmieniała na inną.

Gdzie Donbas, gdzie Krym

Początkowo jednak u konserwatystów nie szło jej najlepiej. Po krótkiej karierze w roli asystentki i młodszej działaczki otrzymała od partii szansę ubiegania się o mandat w Izbie Gmin. Tyle że rzucono ją na pożarcie, bo kandydowała z Hemsworth,

ignorancji, stwierdzając, że Wielka Brytania nigdy nie uzna rosyjskiego zwierzchnictwa nad Rostowem i Worożem. Oba miasta leżą oczywiście na terytorium Federacji Rosyjskiej i Ławrow z Putinem mogą tam robić ze swoim wojskiem, co chcą, Truss południowo-wschodnią Rosję pomyliła z Donbasem i Krymem. Rosyjskie (i nie tylko) media natychmiast gałę podchwyciły, a sam Ławrow, znany z upokarzania zachodnich dyplomatów, publicznie stwierdził, że rozmowa z szefową brytyjskiego MSZ była dla niego „konwersacją z głuchym”.

Nowa pani premier zdaje się wierzyć w mit o odbudowie samodzielnej brytyjskiej potęgi.

okręgu na północy kraju, w którym monopol na wygrywanie miała Partia Pracy. Dostała straszne bęcki, ale jej wynik był i tak o 3,2 pkt proc. lepszy od uzyskanego poprzednio przez kandydata torysów. Pięć lat później spróbowała ponownie, znów na północy, w Calder Valley. I znów poniosła porażkę. Do Westminsteru dostała się dopiero w 2010 r., lecz od tej pory zaczął się równy i zdecydowany marsz w górę. Gdy już weszła do rządu w 2012 r., nie wyszła z niego aż do teraz, choć po drodze zaliczyła troje szefów. David Cameron powierzył jej ministerstwo środowiska, którym kierowała też w gabinecie Theresy May. Za czasów Borisa Johnsona zajmowała się handlem międzynarodowym, a od ubiegłego roku szefowała brytyjskiej dyplomacji. To jak dotąd jej najważniejsza rola w polityce. I dowód, że choć ambicji jej nie brakuje, to niewykluczone, że pierwsza liga jest dla niej kapeluszem o zbyt dużym rozmiarze.

W roli ministra spraw zagranicznych Truss zapisała się przede wszystkim zdecydowanie proukraińskim nastawieniem w wojnie. Intencje miała szlachetne, ale nie ustrzegła się wstydliwych wpadek. Jeszcze przed rosyjską inwazją spotkała się z Siergiejem Ławrowem, próbując go przekonać, by Rosja wycofała 100 tys. swoich żołnierzy spod ukraińskiej granicy. Przy okazji niestety dała dowód geograficznej

Po wybuchu konfliktu wcale nie było lepiej. Truss szybko zaangażowała się w pomoc dla Ukrainy, choć nie do końca wiedziała, jak to robić. Publicznie zachęcała brytyjskich ochotników do walki w ukraińskim legionie cudzoziemskim, za co spotkała ją krytyka ze strony angielskich generałów. Okazało się bowiem, że udziału Brytyjczyków w cudzych wojnach zakazuje tamtejsze prawo, Truss narażała się więc nawet na oskarżenia o zdradę stanu. Krytykowana jest, choć tylko częściowo słusznie, także za opieszałość Downing Street

Borisa Johnsona, Truss taktycznie nie brała udziału. W czasie feralnego dwudniowego spektaklu 6 i 7 lipca, zakończonego ponad 50 dymisjami członków rządu w niecałe 48 godzin, była w podróży do Dżakarty na szczyt ministrów spraw zagranicznych krajów G20. Kiedy z gabinetu Johnsona odchodzili inicjatorzy rebelii, w tym jej późniejszy kontrkandydat na stanowisko szefa partii Rishi Sunak, Truss leciała samolotem, przez co była nieuchwytna dla prasy, zastanawiającej się, czy i ona zdecyduje się odejść. Zaraz po lądowaniu w Indonezji, kiedy dowiedziała się o kryzysie, zdecydowała się wracać na Wyspy, a więc wpakowała się w kolejną wielogodzinną podróż poza radarem dziennikarzy. Zanim postawiła stopę w Londynie, było już po wszystkim. Swoją udział w wyścigu po władzę mogła ogłosić bez żadnej presji.

Pod górę

W tym miejscu opowieść o politycznych przygodach Liz Truss zmienia nieco ton. Oddać jej należy, że startowała jako przyszła ofiara Sunaka. To właśnie były kanclerz skarbu początkowo uchodził za bezsprzecznego faworyta. Miał większe niż starsza o pięć lat koleżanka doświadczenie na najwyższych szczeblach władzy, ale też uważany

Na razie Truss nie ujawniła żadnego z cudownych mechanizmów, którymi zamierza uzdrowić brytyjską gospodarkę.

w przyjmowaniu na Wyspach ukraińskich uchodźców. Do dziś Brytyjczycy wydali ponad 142 tys. wiz uchodźczych, ale skorzystało z nich jedynie 86 tys. osób, osiedlając się w kraju w ramach programu pomocowego. Tutaj MSZ Truss współpracowało jednak z MSW, które odpowiedzialne było za pomoc w znajdowaniu Ukraińcom sponsorów wiz i rodzin, z którymi mogliby zamieszkać na początku ich życia w Wielkiej Brytanii. Fiasko operacji to niezupełnie kamyczek do jej ogródka.

W czerwcowych przepychankach w Partii Konserwatywnej, które ostatecznie doprowadziły do dymisji

był za bardziej „wybieralnego”. A to miało kluczowe znaczenie w kontekście sposobu, w jaki Brytyjczycy decydowali o przyszłości swojego rządu. Warto podkreślić, że robiło to zaledwie 172 tys. osób, bo tyle formalnie zarejestrowanych członków ma Partia Konserwatywna. Oni jako jedyni mogli wyrazić swoje zdanie, co wynika z tradycji politycznej na Wyspach. Tam premierem jest zawsze lider partii, która wygrała wybory. A ponieważ Johnson zrezygnował z funkcji szefa rządu, nie rozwiązując parlamentu, przekazał następczyni również schedę na 10 Downing Street. W efekcie

o przywództwie w kraju, w którym uprawnionych do głosowania w wyborach powszechnych jest 46,5 mln osób, zdecydowało nieco ponad 20 tys. obywateli, bo taka była ostatecznie różnica głosów pomiędzy Truss i Sunakiem. Mało jak na państwo chlubiące się mianem ojczyzny współczesnej demokracji.

Na zwycięstwo byłej już szefowej MSZ sondaże wskazywały od kilku tygodni, z porażką pogodzony był także sam Sunak. Jednak ostateczne wyniki ukazały obraz partii we wnętrzu podzielonej, nieprzekonanej co do osoby Truss. Wygrała, zdobywając zaledwie 57% głosów. Mniej od Borisa Johnsona, a nawet od nieulubianej we własnym ugrupowaniu Thesy May. Od samego początku nowa premier ma więc pod górkę. Sukces okazał się niewyraźny, i to mimo kuszenia twardego konserwatywnego elektoratu ostrym skrzydłem na prawo. Komentatorzy nazywają Truss ambitną kontynuatorką polityki Margaret Thatcher. Ale od czasów rządów „Żelaznej Damy” minęły już trzy dekady, podczas których zmieniły się świat, Wielka Brytania, a nawet podstawy myśli ekonomicznej, próba powrotu do neoliberalizmu może zatem się przekształcić w śmieszno-straszną rekonstrukcję historyczną.

W dodatku zdaje się, że Truss właśnie to chce osiągnąć. Naśladuje Thatcher nie tylko w programie, ale nawet w stylizacjach. Pozuje tak samo do zdjęć, a na niektórych fotografiach, upozorowanych na prywatne, widać w tle portrety samej Thatcher. Oferta programowa nowej pani premier to przede wszystkim cięcia podatków. Z kryzysem energetycznym chce sobie radzić poprzez eliminację VAT na rachunkach za prąd. Jest zdecydowaną przeciwniczką redystrybucji – na antenie BBC pod koniec sierpnia przyznała wręcz, że frustruje ją stopień, w jakim ta kwestia zdominowała brytyjską politykę przez ostatnie dwie dekady. W czasie partyjnej kampanii wyborczej dobrze odczytała nastroje panujące wśród aktywny, zdenerwowanego rozrostem państwa z powodu pandemii koronawirusa. Truss oczywiście obiecała to biurokratyczne i budżetowe

rozpazanie ukrócić. Jej obsesją jest wzrost gospodarczy, który planuje doprowadzić do poziomu 2,5% rocznie (obecnie brytyjska gospodarka wciąż się kurczy). Przyczyn recesji szuka, trochę idąc w ślady Johnso-
na, poza granicami kraju. Dlatego zapowiada usunięcie wszelkich pozostałych na Wyspach regulacji unij-
nych do końca bieżącego roku.

Nie mówi jednak, o jakie dokładnie regulacje chodzi. Ani jak chce zrealizować zapowiadany wzrost

uzdrowić brytyjską gospodarkę. Czasu ma bardzo mało, bo zbliżająca się zima będzie na Wyspach trudna. Ubóstwo energetyczne grozi aż 10 mln gospodarstw domowych, a w to nie wlicza się osób, których zwyczajnie nie będzie stać na opłacenie rachunków. Do tego dochodzą stały od momentu brexitu brak siły roboczej oraz inflacja, która może dobić do 22% na początku 2023 r.

Poza granicami kraju Truss planuje iść jeszcze dalej niż wielbiona

Komentatorzy nazywają Liz Truss ambitną kontynuatorką polityki Margaret Thatcher.

krajowej produkcji energii. Ani jak opanować inflację. Zreformować tzw. protokół północnoirlandzki regulujący relacje gospodarcze na granicy między Irlandią i Irlandią Północną. Jak bowiem zauważyła na łamach „Washington Post” amerykańska publicystka gospodarcza Therese Raphael, większość jej kampanijnych obietnic nie opierała się na konkretach, lecz była listą życzeń. Dobrze skonstruowaną, bo ostatecznie dała jej zwycięstwo w walce o fotel premiera, ale do teraz Truss nie ujawniła żadnego z cudownych mechanizmów, którymi zamierza

przez nią Thatcher. „Żelazna Dama” żyła przynajmniej w stałym sojuszu ze Stanami Zjednoczonymi, nowa pani premier zdaje się wierzyć w mit o odbudowie samodzielnej brytyjskiej potęgi. Ale ponieważ realnie szans na to nie ma żadnych, pod jej wodzą kraj płynąć będzie raczej w stronę globalnej izolacji i niespełnionych, podlanych frustracją snów o potęgę. Chyba że Liz Truss nagle zmieni kurs. Jak wiemy, to akurat potrafi robić bardzo dobrze.

Mateusz Mazzini
m.mazzini@tygodnikprzeglad.pl



Wychudzona, stara Kromka zbiera 5800 zł do 16.09. by żyć!

Przesuń się! Wstań duma kobyło! Przyszedł
zdjęcia zrobić! Nie widzisz? Wstawaj, bo
zabije!

Kromka otwiera szeroko oczy. Oczy, w które ktoś wlał morze strachu i cierpienia. Strach, błąta gwałci ciszę w stodołę. A nam wyciska ciche łzy. Oczy starej Kromki robią się coraz większe z przerażenia. Jakby wiedziała, że nie wstanie. Bo już dziś tyle raz próbowała.

My zaś wiemy, że trzeba milczeć. Bo wyrzucą nas z podwórza. Bez Kromki. Ona stara Kromka, tu zostanie.

Ale bat trący skórę i powietrze m
ogromną siłę perswazji. Kromka zrywa si
i chwiejnym, powolnym krokiem drepcz
w naszym kierunku. Robiny kilka zdje
tyż leca nam już bez pamięci.

Bat to ból który Kromka zna. Tam skąd przyszła - bat był na śniadanie, obiad i kolację. Czasem zamiast. Obróńcy zwierząt nigdy tam nie dotarli. Tam skąd pochodzi nikt o żadnych obrońcach ani prawach zwierząt nie słyszał.

I nigdy nikt Kromkę nie bronił. Ani praw nie miała. Wszyscy ją brali, jak sprzęt. Rodzila żrebaki. W międzyczasie ciągnęła wóz. Jak było lato, wsadzali na nią dzieci. Pół wsi wykorzystywało Kromkę przez prawie 24 lata jej życia. Nikt nie poczuł jednak, aby dać jej emeryturę.

I skończyło się. Ostatni wóz dągnęła tydzień temu. Patrzymy z niedowierzaniem na jej wykręcone nogi, wystający kręgosłup i zębra. Próbowali ją zażrebić, ale poroniła kilka razy. Dzieci udekały z placem na widok wystających kości i popuchniętych oczu.

To starość przyszła. Miała jeszcze zaczekać, aż Kromkę ktoś uratuje i zabra szczęścia. Ale nie czekała. Przyszła i już, i zabrała Kromce młodość, siły i nadzieję.

I pewnego dnia wrzucili Kromkę na starego żuka. Wrzucili, bo nie miała siły wejść. I przywieźli tutaj, do skupu. Tu biorą wszystko.

Kromka o nic nie prosi. Zwłaszcza bezzilnie głowę, chwileje się na nogach i opiera o co może. Glaszczemy ją po ciepłych chrapach, po wystających kościach. Po obolałych, obitych oczach, które zbyt wiele widziały.

5800 zł. Tyle musimy zebrać, aby zabrać stąd starą Kromkę. Czasu nie ma wiele. Do 16 września. Potem Kromkę handlarz znowu wrzuci na samochód. I wyrzuci pod ubojuś.

Prosimy, zróbcie z nami wrześniowy cud dla staruszki Kromki. Zabierzmy ją, niech już nikt jej nigdzie nie wrzuca, nie popycha i nie bije. Zabierz ją z nami. Liczy się każde 5 zł.

Jeśli chcesz i możesz pomóc, prosimy dokonać darowizny z tytułem KROMKA na konto PKO BP 15 1020 5226 0000 6002 0220 0350.

Fundacja Centaurus
ul. Walbrzyska 6-8, 52-314 Wrocław, tel. 518 569 487, tel. 518 569 488

Akcja prowadzona w ramach Kampanii Kochaj Mądrze Regulamin: <http://centaurus.com.pl/rkkm>

„Historia i teraźniejszość” bez przyszłości

„HiT” to w zasadzie nie podręcznik, tylko esej konserwatysty zżymającego się na kierunek, który obrała cywilizacja Zachodu

Adam Leszczyński

O podręczniku do przedmiotu historia i teraźniejszość wypowiedzieli się już prawie wszyscy. Nawet aktorka Barbara Kurdej-Szatan („Obrzydliwe”), a także Donald Tusk („Moim zdaniem nie ma granic łajdactwa dla nich. Nie ma takiej linii, której nie przekroczą”, mówił to naturalnie ze łzami w oczach). Nie będę zatem streszczał książki prof. Wojciecha Roszkowskiego, tylko podsumuję, co dziś wie o niej opinia publiczna.

Po pierwsze: że w zasadzie nie jest podręcznikiem. To 500-stronicowy esej konserwatysty zżymającego się na kierunek, który obrała cywilizacja Zachodu. Naturalnie budzi on moralną i estetyczną odrazę autora, który nie potrafi tego odruchu ukryć, a pewnie i nie za bardzo chce go ukrywać. Książka nie ma typowej dla podręcznika struktury – zadań do wykonania, streszczonego w postaci krótkich haseł materiału do powtórzenia. Jeśli się pojawiają, to rzadko i ewidentnie wyglądają na dopisane później.

Po drugie: książka ukazała się nakładem wydawnictwa Biały Kruk, publikującego m.in. modlitewniki, ale także wielotomowe „Dzieje Polski” czołowego prawicowego intelektualisty, historyka, prof. Andrzeja Nowaka, który (naturalnie zbiegiem okoliczności) był też recenzentem wydawniczym książki Roszkowskiego. Drugim recenzentem wydawniczym był historyk z Torunia prof. Wojciech Polak, również znany z ultrakonserwatywnych poglądów. „Traktuje młodzież poważnie”, pisał w portalu braci Karnowskich o podręczniku. Recenzenci z ramienia

ministerstwa także byli bezpieczni: prof. Tadeusz Wolsza należy do Kolegium IPN, dr Rafał Drabik jest członkiem Rady Historycznej przy Związku Żołnierzy Narodowych Sił Zbrojnych. Wszystko więc zostało w wielkiej konserwatywnej rodzinie. Wiemy zarazem, że recenzent niebędący kolegą ideowym autora miał z książką problem. Dr hab. Grzegorz Ptaszek, recenzent językowy, uznał m.in., że podręcznik „zawiera wiele błędów językowych i nie stanowi wzoru poprawnej polszczyzny”, prezentuje przy tym „jednostronną wizję kultury i świata”.

W książce Roszkowskiego roi się od błędów i ideologicznych fantazji.

Minister edukacji i nauki Przemysław Czarnek jednoznacznie poparł Roszkowskiego. „Agresja i hejt ze strony potomków ubeków, resortowych dzieci”, skwitował po swoim krytykę podręcznika. Który, dodajmy, pasuje do podstawy programowej przedmiotu. Jest ona dokładnie taka sama: wysoce zideologizowana i obliczona na to, żeby wychowywać przyszłych wyborców prawicy.

Błędy i projekcje

Wiemy, że w książce Roszkowskiego roi się od błędów oraz ideologicznych fantazji. Prawda, że żaden podręcznik nie jest wolny ani od jednego, ani od drugiego. Każdy autor i każda autorka ma swoje poglądy. Każdemu błędy się zdarzają. Na Twitterze internauci prześcigali się w wychwytywaniu tych z „Historii i teraźniejszości”. A znaleźli dużo.

Złe mapy, błędy w faktach i datach, usterki i kurioza. Użytkownik „Pamięć / Remembrance” obliczył, że Roszkowski poleca licealistom 150 książek Białego Kruka, nazywając własnego wydawcę „ulubionym krakowskim wydawnictwem papieża”, naturalnie Jana Pawła II.

Całe passusy w podręczniku okazały się przepisane z poprzedniej książki Roszkowskiego, „Roztrząskane lustro”. To nie przypadek, obie te książki są napisane tak samo o tym samym, czyli o upadku Zachodu.

Czasami trudno ocenić, czy opinie autora są po prostu merytorycznym błędem, czy konserwatywną fantazją, w którym miejscu górze bierze ideologia, a w którym zwykła niewiedza. Jedno i drugie tworzy unikatową mieszankę, której

potencjał trzeba docenić. Dobrym przykładem jest fragment, w którym Roszkowski pisze o „produkcji dzieci” i zastanawia się, przez kogo będą kochane. Ten kuriozalny kawałek zdobył bodajże największy rozgłos: to o nim wypowiadali się m.in. Donald Tusk oraz Barbara Kurdej-Szatan, a także wielu innych krytyków i krytyczek. Tego fragmentu dotyczy proces o naruszenie dóbr osobistych, który z powództwa prywatnego planuje wytoczyć autorowi ojciec dziecka z in vitro.

Michnik jest Żydem, który chciał dogadać się z Rosjanami

W „Historii i teraźniejszości” znajdziemy fragmenty bardzo zabawne, ale też nieco straszne. Na przykład wśród opozycjonistów aktywnych w latach 60. i 70. w PRL autor wymienia Adama Michnika, o którym



Minister Czarnek jednoznacznie popiera prof. Roszkowskiego.

uczeń dowie się głównie, że jest „pochodzenia żydowskiego” (za to nie dowie się, dlaczego był ważną osobą). Oprócz Michnika wymienieni z imienia i nazwiska są Jakub Karpiński, Jacek Kuroń, Antoni Macierewicz, część składu KOR oraz bracia Kaczyńscy, przy czym na zdjęcie założył Lech Kaczyński.

Roszkowski manipuluje poglądami ówczesnej opozycji, twierdząc, że środowisko KOR dążyło tylko do „większych swobód” i chciało „dogadać się” ze Związkiem Radzieckim. Píše przy tym, że bracia Kaczyńscy – postacié wówczas bez żadnego

znaczenia – nie chcieli „żadnych doraźnych kompromisów, jeśli chodzi o suwerenność Ojczyzny”. Każdy, kto choć trochę zna realia lat 70., kiedy właściwie wszyscy, łącznie z analitykami zachodnimi, uważali ZSRR za niepokonany (i kiedy na terenie PRL stacjonowały tysiące radzieckich żołnierzy), zrozumie, na czym polega manipulacja. Uczeń może nie zrozumieć. Zapamięta tyle, że Michnik jest Żydem, który w latach 70. chciał się dogadać z Rosjanami kosztem polskiej niepodległości.

Takich insynuacji i przeinaczeń jest w tym podręczniku mnóstwo.

Z każdej strony wypływa także – co interesujące – pogarda oraz nienawiść do świata zachodniego i jego kultury. Te uczucia przybierają czasem formę groteskowych i kuriozalnych potępień różnych zjawisk, które Roszkowskiemu się nie podobają – np. muzyki popularnej oraz rewolucji seksualnej lat 60 i 70.

Konserwyzm integralny

O błędach można pisać długo, jakie jest jednak najważniejsze przesłanie książki Roszkowskiego?

Rdzeniem opisu świata w jego książce jest radykalny konserwyzm – a punktem wyjścia przekonanie, że zło w kulturze Zachodu zaczęło się z końcem średniowiecza, a w najlepszym wypadku razem z rewolucją francuską (która była już po prostu zwycięstwem szatana; Roszkowski tak nie pisze, robią to inni konserwatyści, ale niewiele mu do takiej opinii brakuje).

To także historia o trwającej stulecia degeneracji Zachodu i o jego upadku. Przyczyna zdaniem Roszkowskiego jest jasna: odejście od religii i autorytetu. To grzech pierworodny nowoczesności i z niego, jak z wielkiego pnia drzewa, wyrastają wszystkie wady Zachodu: marksizm, liberalizm, permissywne wychowanie dzieci, muzyka punkowa, rozwiązłość seksualna – wyliczanie można ciągnąć. Te wszystkie zjawiska postronnemu obserwatorowi mogą się wydawać mało związane ze sobą lub mogą być postrzegane jako element szerszego procesu sekularyzacji i uzyskiwania przez jednostkę ludzką autonomii – od presji Boga, kapłanów, tradycji i zwyczaju. Z punktu widzenia konserwatysty wszystkie składają się na moralną i cywilizacyjną katastrofę. Największym zaś lękiem polskiego konserwatysty – a więc i Roszkowskiego – jest to, że zmiany te przyjdą nad Wisłę.

Zatrzymajmy się jeszcze przy tym, jak Roszkowski rozumie historię i proces dziejowy. Jego podręcznik pokazuje to wyraźnie. Bezwarunkowo pozytywnie ocenia wyłącznie katolicyzm; mówi o Kościele dużo i przy różnych okazjach, nie zawsze potrzebnie. To Kościół katolicki jest ▶

► jedynym źródłem prawdziwych wartości i jedyną podporą moralności – tę zaś w ogóle trudno sobie wyobrazić bez Kościoła.

Im mniejsza jego rola w życiu publicznym, tym bliżej do upadku cywilizacji. To proste kryterium oceny każdego zjawiska społecznego. Kiedy Zachód się sekularyzował, przestawał być Zachodem. W XX w. stał się tylko wielkim muzeum na świeżym powietrzu, gigantyczną masą upadłościową starej cywilizacji. Przed polskimi konserwatystami

Groza. Po prostu groza. Duża część dyskursu konserwatywnego w Polsce – w tym sens książki Roszkowskiego – da się sprowadzić do takiego okrzyku: „Groza!”.

Jeszcze w latach 90. ubiegłego stulecia konserwatywni publicyści, z „Frondy” i nie tylko, pisali, że Polska zostanie w świecie Zachodu wyjątkiem, podobnym nieco do Stanów Zjednoczonych. Mieliśmy przejść modernizację, ale bez sekularyzacji – zostać nowocześni i zachodni, ale prawdziwie zachodni, zakorzenieni

Ta zła Unia

Roszkowski obwinia o to, co uważa za kryzys cywilizacji w Polsce, Unię Europejską i zgniłą zachodnią kulturę. To stały wątek w jego publikacjach, nie tylko w podręczniku, ale również w „Roztrząskanym lustrze”.

Winni są też pośrednicy, czyli zwłaszcza antypolska lokalna lewica. Nieprzypadkowo zatem inny ważny intelektualista związany z PiS, Zdzisław Krasnodębski, wygłosił 18 sierpnia w Telewizji Republika pogląd, że Zachód jest większym zagrożeniem dla niepodległości Polski niż Wschód. Parafrazując go, Rosja ma tylko czołgi i rakiety, a Zachód działa w sposób perfidny i bardziej przewrotnymi metodami niszczy rdzeń polskości – przywiązanie do konserwatywnych wartości. To Zachód niszczy konserwatywną obyczajowość, dzieli Polaków (!) – referuję tutaj myśl Krasnodębskiego – co w sumie jest bardziej niebezpieczne.

W tle tych fobii oczywiście bardzo wyraźnie widać lęk przed utratą władzy. Polski konserwatyzm albo będzie musiał się zmienić na wzór konserwatyzmu zachodniego, akceptując świat nowoczesny, w tym małżeństwa jedнопłciowe, aborcję oraz wiele innych rzeczy, które polskim konserwatystom się nie podobają – albo utraci władzę. Jak łatwo

Zagrzebanie się w okopach Świętej Trójcy nie jest strategią rokującą sukces. Trzeba wyjść z kontrofensywą – wtłaczać młodzieży do głów własne idee.

stoi zatem tytaniczne zadanie „rechrystianizacji” Europy (nie trzeba przypominać, kto do niego wzywał).

Kiedyś byliśmy przedmurzem broniącym cywilizacji od Wschodu. Teraz jesteśmy ostatnim bastionem prawdziwego Zachodu, obleganym ze Wschodu i z Zachodu – ze Wschodu przez agresywny azjatycki, rosyjski imperializm, a z Unii Europejskiej przez zgniłe demoliberalne miazmaty.

Polska chyli się ku upadkowi

Konserwatysty – wypada do nich zaliczyć też polityków PiS, ale nie jest to dokładnie to samo: można być konserwatystą i nie znosić PiS – z przerażeniem obserwują, że w Polsce bardzo szybko pojawiają się na dużą skalę te same zjawiska społeczne, które napełniają ich odrazą na dzisiejszym Zachodzie. Mamy młode pokolenie, które zdecydowanie rzadziej wierzy w Boga i jeszcze rzadziej praktykuje katolickie obrzędy. To pokolenie kompletnie ignoruje kościelną etykę seksualną, a jego przedstawiciele nie chcą być księżmi – przez ostatnie kilkanaście lat nastąpił drastyczny spadek powołań. Postawy młodych Polaków i Polek w wielu kwestiach światopoglądowych, np. dopuszczalności aborcji czy dopuszczalności związków jedнопłciowych, stają się coraz bardziej podobne do postaw ich zachodnich rówieśników.

w katolicyzmie, w odróżnieniu od Zachodu, który odciął się od swojego pierwotnego korzenia.

Dziś jednak okazuje się, że te nadzieje były płonne. Droga, którą przeszła Hiszpania czy Irlandia – od skrajnie konserwatywnego katolickiego kraju do jednego z najbardziej liberalnych w Europie – otwiera się także przed Polską. Odpowiedzią w środowiskach konserwatywnej prawicy jest fala moralnej paniki i histeryczny opór przed zmianami instytucjonalnymi, np. przyzwoleniem na związki jedнопłciowe.

Największym lękiem polskiego konserwatysty – a więc i Roszkowskiego – jest to, że zmiany z Zachodu przyjdą nad Wisłę.

Zagrzebanie się w okopach Świętej Trójcy nie jest jednak strategią rokującą sukces. I co bystrzej się autorzy to rozumieją. Trzeba wyjść z kontrofensywą – choćby wtłaczać młodzieży do głów własne idee. Wyjdzie to zapewne tak, jak komunistom udało się indoktrynacja marksizmem-leninizmem, a więc nie najlepiej. Wiadomo dla czego – próba płynięcia pod prąd zmiany społecznej to zawracanie Wisły kijem. Jak widać, każda władza musi jednak doświadczyć tego na własnej skórze (i częściowo, niestety, na naszej).

zrozumieć, dla polityków prawicy to przerażająca perspektywa. Nie chcą być postawieni przed tym wyborem. Przytulajmy więc naszych konserwatystów, za moment nie będzie ich u władzy, a podręcznik Roszkowskiego stanie się takim samym reliktem przeszłości, jakim dzisiaj jest „Krótki kurs historii WKP(b)”. Autor w głębi duszy wydaje się to wiedzieć. Być może dlatego napisał tak histeryczną, złą książkę.

Adam Leszczyński jest historykiem i publicystą, profesorem Uniwersytetu SWPS w Warszawie, dziennikarzem OKO.press

Oko w oko



Tomasz Jastrun

Zatęchła szafa

S potykam się z Niną i Grzesiem, moim przyjacielem z Izraela, emigranci '68 r. Grzegorz chodził do mojej klasy, odwiedzałem ich czasami w Izraelu, najpierw w kibucu, potem w Aszkelonie, gdzie teraz mieszkają. Nie widzieliśmy się ponad 10 lat, a wydaje mi się, że rozmawialiśmy wczoraj. Pojechaliśmy, pamiętam, na zupełnie pustą plażę i kąpałem się przy wysokiej fali, patrząc na białe kości pobliskiej Gazy. Ta bliskość Gazy powoduje, że w stronę Aszkelonu ciągle lecą rakiety, od niedawna przechwytywane przez Żelazną Kopułę. Dlatego każde mieszkanie w Aszkelonie ma jeden betonowy pokój, który służy jako schron. Ale oczywiście najciekawszy był wcześniej kibuc.

Oboje bardzo zmartwieni Izraelem, jak my Polską, właściwie ten sam dramat, tu i tam rządzi oszalała narodowa prawica. Tylko u nich jest gorzej, bo żyją na ostrzu noża, my mamy wojnę za granicą, a oni w swoich granicach. Tam populizm narasta i krzepnie, u nas ma się dobrze. Jak podobne mamy emocje! Tu i tam nie ma już szans na dialog, Nina mówi: „Mam poczucie, że »oni« są innym gatunkiem człowieka”. My przecież w Polsce też tak czujemy. Grzegorz uważa, że swoją rolę odegrały kolejne fale imigracji ludzi o żydowskich korzeniach z Rosji (20-30% to, jak mówią Żydzi, farbowani). Zabrali ze sobą z Rosji autorytarne, zamknięte myślenie i ślepy radykalizm. Radykalna polityka wobec Palestyńczyków i budowanie osiedli na okupowanych terytoriach zamykają drogę do pokoju, a jak długo można żyć w stanie wojny? Natomiast Basia, moja mądra kuzynka z Londynu, pisze: „Od brexitu zapadamy się w coraz większe polityczne bagno. Jaki upadek brytyjskiej polityki, jakie miernoty są politykami”. Tam też jest podział na liberałów i zakute łby. Tak samo jest w Stanach, we Francji, we Włoszech, w Czechach, ciężka choroba trawi demokratyczny świat, czyli trawi demokrację.

Nareszcie. Donald Tusk przestaje się migać i z przytupem ogłasza, że PO będzie za aborcją na życzenie. Wypytany przez młodych ludzi podczas wystąpienia w Olsztynie na Campusie Polska Przyszłości o jasną deklarację w sprawie aborcji szef PO stwierdził: „To decyzja kobiety, a nie księdza, prokuratora, policjanta czy działacza politycznego”. Postawił politykom Platformy ultimatum: albo jesteś za pełną wolnością kobiet i popierasz dopuszczalność aborcji do 12. tygodnia ciąży, albo nie znajdziesz się

na listach wyborczych do Sejmu. Ci, którzy z tym się nie pogodzą, będą musieli opuścić partię. I bardzo dobrze. Czy nie trzeba było tego zrobić wcześniej? Nie wiem. Wiem, że opinie Polaków na ten temat się liberalizują, już wyraźna większość jest za i to bardzo dobry ruch. I moralny. Bo wolność wyboru jest moralna.

Prezes załatwia dla Polski 6,2 bln zł odszkodowania od Niemców, za ich zbrodnie wojenne, za zrujnowanie kraju. Będzie to trudne, będzie to długo trwało, mówi, może on nawet tego nie doczeka, ale załatwi. Może „Obajtek wszystko może” pomoże. Ogłoszenie raportu odbywało się z biciem werbli, z trąb graniem w Zamku Królewskim. Powstał z tej okazji Instytut Strat Wojennych. Będzie miał roczny budżet 15 mln zł. Jedno pewne, jak pomnożyć przez lata, tyle będzie nas to

PiS realizuje powrót do endeckiego myślenia, już tylko antysemityzmu w tym nie ma.

kosztować. Niemcy po wojnie powinny odbudować Polskę, to jasne, ale z różnych powodów, też z powodu żelaznej kurtyny, nie odbudowały. I już jest za późno. Równie realne jest żądanie od Szwedów pieniędzy za potop. PiS świetnie o tym wie. To wielki krwawy ochłap wyborczy rzucony elektoratowi i wielki krzyk: „To się nam należy!”. Lud to kupi, lud lubi myśleć: „To się nam należy”. Ale wszyscy, którzy są choćby trochę racjonalni, pukają się w czoło. To ostateczne popsucie stosunków politycznych z Niemcami, w czasie gdy trwa wojna w Ukrainie. To pokazanie światu, że Polska jest krajem niepoważnym. To robienie wody z mózgu elektoratowi PiS. Ale jest w tym diabelski spryt prezesa, rany zadane nam przez Niemców zagoiły się, lecz blizny nadal bolą. A PiS realizuje powrót do endeckiego myślenia, już tylko antysemityzmu w tym nie ma, ale i Żydów nie ma. Stara szafa z zatęchłymi ubraniami. Młodzi mają się w nie odziać. Nie ma mowy!

Dołącz do naszej społeczności

Znajdź PRZEGŁĄD na Facebooku, Twitterze, Instagramie, YouTube i LinkedIn

Gorbaczow – sukces i porażka

**Zachód negocjował z Gorbaczowem nieszczerze.
Wprowadził go celowo w błąd i ograł**

Jarosław Dobrzański

W Polsce, gdzie ponad logikę skutków przedkłada się logikę intencji, nie tylko nie doceniano roli Gorbaczowa, ale jeszcze potępiano go z wyżyn fałszywego pryncypializmu, propagandowo obwiniano o popełnienie „zbrodni” i traktowano na równi z jego poprzednikami i następcami, poczynając od Lenina, przez Stalina, na Putinie kończąc. Reżimowa telewizja „publiczna” w swoim sztandarowym programie propagandowym w taki właśnie sposób podsumowała dokonania przestępcy Gorbaczowa przy okazji podawania wiadomości o jego śmierci. Wypomniano mu, że chciał wzmocnić ZSRR, a więc miał złe zamiary. A jakież znaczenie wobec zbrodni złych intencji może mieć drobiazg, że na skutek jego reform ZSRR upadł?

A przecież z punktu widzenia interesu Polski, zwłaszcza ówczesnej opozycji i obecnej klasy panującej, dokonania Gorbaczowa są nie do przecenienia. Bez niego nie byłoby szans na uwolnienie się od krępującej ideologii, na zakwestionowanie powojennych uwarunkowań geopolitycznych i na zrzucenie niechcianej kurateli Kremla. Panujący duopol solidarnościowy i jego przybudówka, koncesjonowana opozycja, nigdy tego jednak nie przyznają, bo umniejszałoby to ich mniemane zwycięstwo nad totalitaryzmem.

Więcej, dokonania Gorbaczowa, fatalne dla jego kraju, wywarły korzystne skutki dla ludzkości, którą (czasowo) uwolniły od dręczącego lęku przed niewyobrażalnymi globalnymi konsekwencjami nuklearnej konfrontacji supermocarstw. Polityka międzynarodowa Gorbaczowa przyniosła szczególnie duże korzyści Europie. Wzmocniła poczucie

tożsamości europejskiej, umożliwiła próbę realizacji utopii jedności i wspólnoty ponadpaństwowej. Dla Niemiec była to polityka wręcz zbawienna, bo nie tylko zaowocowała odzyskaniem suwerenności i zjednoczeniem kraju podzielonego za karę między dwa obozy, pozostające przez bez mała pół wieku w stanie zamrożonej wojny, ale także pozwo-

ze strony wszystkich rządów zaangażowanych w rozpoczęty w 1990 r. proces rekonfiguracji porządku politycznego w Europie, którego trzonem było zjednoczenie Niemiec, stanowcze zapewnienie, że jurysdykcja paktu polityczno-wojskowego NATO nie zostanie przesunięta w kierunku wschodnim. Chwytliwa formuła, którą posłużył się szef amerykańskiej dyplomacji, sekretarz stanu James Baker, brzmiała: „ani o jeden cal na wschód”. W ustach przywykłego do precyzji językowej doświadczonego prawnika, wyrobionego dyplomaty i byłego szefa resortu finansów w rządzie USA nie mogło to być przejęzyczenie ani brak dbałości o słowa. Był to celowy zabieg retoryczny, na który dała się złapać niedoświadczona ekipa Gorbaczowa.

Formuła Bakera przewija się w urzędowych memorandumach, prywatnych zapiskach i wspomnieniach polityków uczestniczących w kluczowych rozmowach. Lektura dokumentów zebranych i udostępnionych publicznie przez Archiwum Bezpieczeństwa Narodowego przy Uniwersytecie Jerzego Waszyngtona nie pozostawia najmniejszych wątpliwości co do tego, że: 1) kwestia nierozszerzania NATO miała kluczowe znaczenie w rozmowach na temat zjednoczenia Niemiec, 2) problem, co zrobić z NATO, pojawił się w debatach już na samym początku dynamicznych przemian w Europie zapoczątkowanych w 1989 r., 3) w dosłownym znaczeniu formuła Bakera oznaczała gwarancję powstrzymania się USA od ekspansji polityczno-militarnej na wschodnią część kontynentu.

W dokumentach zarejestrowane zostały słowa najważniejszych polityków. Prezydent USA George H.W. Bush zapewniał Gorbaczowa w trakcie ich osobistego spotkania, że USA „nie zamierzają wykorzystać sytuacji



liła nowej RFN zrzucić z siebie balast niechlubnej przeszłości pariasa Europy i wybić się na pozycję mocarstwa gospodarczego, państwa o uznanym autorytecie światowym. Nim do tego doszło, między ZSRR a Zachodem odbył się turniej dyplomatycznego pokera. Niektórzy gracze grali znaczącymi kartami.

Ani o centymetr na wschód

W świetle ujawnionych i odtajnionych rządowych dokumentów amerykańskich, niemieckich, brytyjskich, francuskich i oczywiście radzieckich nie ma żadnych wątpliwości co do tego, że przywódca ZSRR otrzymał

do osiągnięcia jednostronnej przewagi". W identyczny sposób uspokajali Rosjan inni przywódcy państwowi oraz ministrowie, których głosy były uwzględniane przy podejmowaniu ostatecznych decyzji, w tym – oprócz wymienionych już Bakera i Busha

się ówczesna Wall Street. Grupka zachodnich „inwestorów” dogadała się i za puste deklaracje „wykupiła” zjednoczone Niemcy ze strefy wpływów ZSRR. Perfekcyjna rozgrywka dyplomatyczna w mgnieniu oka zmieniła mozolnie przygotowywane przez

genseka przez Jurija Andropowa, któremu przedwczesna śmierć nie pozwoliła należycie przygotować protegowanego do nowej roli. Dlatego bezpośrednio po jego odejściu stanowisko to objął Konstantin Czerienko. A że ten opuścił je jeszcze szybciej niż poprzednik, zabrakło czasu, by biegłego głównie w potyczkach słownych Gorbaczowa wdrożyć w problematykę bezpieczeństwa państwa, spraw zagranicznych i ekonomii. Za sterami radzieckiego Titanica stanął niedoświadczony kapitan. Po przejściu władzy uruchomił czystkę w aparacie, pozbywając się ludzi, którzy nie podzielali jego reformatorskiego entuzjazmu lub mieli odmienną wizję dalszego rozwoju państwa. Oznaczało to odsunięcie wielu doświadczonych i oddanych państwu urzędników. Jedną ze zgubnych dla przyszłości ZSRR decyzji kadrowych Gorbaczowa było zastąpienie konserwatywnego Wiktora Czebrikowa na stanowisku szefa KGB nieudolnym, ale bliższym Gorbaczowowi Władimirem Kriuczkowem, który tak jak on wywołał się z kliku Andropowa.

Wśród doradców radzieckiej ekipy negocjującej z Amerykanami sprawę zjednoczenia Niemiec uchowali się jeszcze aparatczycy z dużym stażem i znajomością świata, ale nie mając wystarczającego przebiecia, nie wpływali na kształt ostatecznych decyzji.

Z punktu widzenia interesu Polski dokonania Gorbaczowa są nie do przecenienia.

– minister spraw zagranicznych RFN Hans-Dietrich Genscher, kanclerz Niemiec Helmut Kohl, prezydent Republiki Francuskiej François Mitterrand, premier Wielkiej Brytanii Margaret Thatcher i jej następca John Major oraz szef brytyjskiego MSZ Douglas Hurd, a także ówczesny szef NATO Manfred Wörner i pierwszy zastępca doradcy prezydenta USA ds. bezpieczeństwa narodowego Robert Gates.

Wypukleni czekiem bez pokrycia

W czym zatem tkwi problem? W tym, że wielokrotnie powtarzane słowa nie zostały przełożone na język traktatów i zapisane w formie wiążących umów. Dziś mogą być przedmiotem zainteresowania historyków dyplomacji, ale pozbawione są siły sprawczej w stosunkach międzynarodowych.

Z lektury archiwalnych dokumentów i opracowań naukowych wyciągnąć można jeszcze jeden wniosek. Zachód negocjował z Gorbaczowem nieszczercze. Wprowadził go celowo w błąd i ograł. Nikt nie wyraził tego bardziej dobitnie i zuchwale niż sam James Baker. Pod koniec serii spotkań dotyczących dealu z Gorbaczowem, odbytych w gronie najbliższych współpracowników, na marginesie jednego z wewnętrznych memorandumów Baker zanotował: „Nie widzieliście lewarowanego przejęcia, dopóki nie zobaczycie tego”. Dowód samozachwyty sprytnego gracza w obliczu zbliżającego się triumfu nad przeciwnikiem, który nawet nie przeczuwał, że został wystrychnięty na dudka. Frazeologia była typowa dla ery reaganomiki. Odnosiła się do praktyki wrogich przejęć i wykupów korporacyjnych, w których lubowała

aliantów zasady powojennego ładu i bezpieczeństwa okupione bezprecedensowym wysiłkiem militarnym.

Dyplomatyczny poker nowicjusza z szulerem

Złożona z niezających Zachodu nowicjuszy i naiwnych reformatorów ekipa Gorbaczowa miała naprzeciw siebie dowodzoną przez USA koalicję najbardziej wpływowych państw ówczesnego świata (RFN, Wielka Brytania, Francja), którą reprezentowali wytrawni zawodowcy politycy wspomagani przez zastępy doskonale wyedukowanych w elitarnych instytucjach specjalistów i urzędników wysokiego szczebla. Wspomniany wyżej Robert Gates legitymował się doktoratem na temat stosunków chińsko-radzieckich obronionym na prestiżowym Georgetown University i miał wówczas w dorobku zawodo-

Przywódcą ZSRR otrzymał ze strony zachodnich rządów jednoznaczne i stanowcze zapewnienie, że jurysdykcja NATO nie zostanie przesunięta na wschód.

wym ponad 25 lat pracy w agencjach wywiadowczych CIA i NSA, w których zajmował się problematyką obszaru radzieckiego. Na przełomie lat 80. i 90. pełnił w nich funkcje kierownicze. Później, na zakończenie kariery, został kolejno dyrektorem CIA i sekretarzem obrony.

Po przeciwnej stronie stanęła grupka tyleż przerażonych, co zafascynowanych Zachodem i przy tym ufnych żółtodziobów. Trzeba jednak przyznać, że była to porażka na własne życzenie. Gorbaczow został namaszczone na stanowisko

W archiwach zachowały się memoranda sporządzone przez ówczesnego szefa Wydziału Zagranicznego KC KPZR Walentina Falina, który stanowczo i trafnie ostrzegał Gorbaczowa przed zastawionymi na niego pułapkami. Jego uwagi nie zostały potraktowane z należytą powagą. Na jeszcze wyższym szczeblu najbardziej nieufny wobec Zachodu okazał się szef MSZ Eduard Szewardnadze, który starał się spowalniać proces negocjacji, ale nawet jego głos nie wystarczył, by powstrzymać prącego do „konsensusu” Gorbaczowa.

► Powodzeniu Rosjan nie sprzyjała również niekorzystna dla nich, a zaproponowana przez Zachód formuła rozmów, na którą przystał Gorbaczow. Zamiast odwołać się do precedensowej formuły z końca II wojny światowej (dyskusje odbywano i decyzje podejmowano w gronie czwórki aliantów) lub formuły z forum Rady Bezpieczeństwa ONZ (z zachowaniem prawa weta), w sprawie zjednoczenia Niemiec stworzono nowy format „4+2”, którym Zachód posługiwał się, jak mu pasowało. Spotkań

którego siłą są bezwzględność, brutalność i samowładza przywódców. Tymczasem w 1990 r. ZSRR był ledwie cieniem samego siebie i dawnej potęgi, której przerażająca siła przerodziła się w samodestrukcyjną słabość. Z trzech atrybutów panowania genseka – bezwzględności, brutalności i samowładzy – Gorbaczow zachował tylko ten ostatni – pełnię władzy, a i to na chwilę. Ta okoliczność okazała się gwoździem do jego politycznej trumny oraz trumny samego ZSRR, którego pogrzeb

kraju. Z upływem czasu niechęć rodaków do Gorbaczowa jeszcze się pogłębiała. Obecny sekretarz rosyjskiej Partii Komunistycznej, wracając w 2006 r. do sprawy nieudanego puczu z 1991 r., powiedział, że Gorbaczow należało wtedy aresztować za zdradę stanu (podobnie jak Jelcyna). Taki osąd nie dziwi w przypadku reprezentanta opcji zbliżonej do narodowego bolszewizmu. W dzisiejszej Rosji oskarżenia Gorbaczowa o zdradę to żadna nowość ani oryginalność. Można je usłyszeć w całym przekroju spektrum ideowego, od lewicy do prawicy, a także z ust tzw. zwykłych ludzi, których wielu wypowiadało się w tym duchu do kamer w ulicznych sondach po jego śmierci.

Pierwszym znaczącym politykiem, który nie gryźł się w język, był niegdyś współpracownik i oponent Gorbaczowa, zmarły rok temu Jegor Ligaczow. Wiosną 1992 r., na fali rozliczeń i szukania winowajców rozpadu ZSRR, nazwał on swojego byłego towarzysza tchórzem i zdrajcą. W ustach zdeklarowanego przeciwnika pierestrojki to zrozumiała opinia. Ale w 2011 r. mianem zdrajcy uhonorował byłego prezydenta – z okazji 80. urodzin Gorbaczowa – lewacki historyk Borys Kagarlicki. To przykład kurtuazji w wydaniu neotrockistowskim. Kagarlicki i neotrockiści uważają, że Gorbaczow nie mógł zapobiec rozpadowi ZSRR, ale jako kapitan okrętu tonącego „z przyczyn obiektywnych” powinien być razem z nim pójść na dno, a nie „wymknąć się z pola bitwy do domu na obiad”. Trocki był jednym z najinteligentniejszych analityków ZSRR, o Kagarlickim niestety nie można powiedzieć tego samego.

Wydaje się, że oceniając wpływ Gorbaczowa w szczytowym momencie reform na sytuację wewnętrzną ZSRR, a w konsekwencji na międzynarodową pozycję Kraju Rad, najbliższy prawdy był Islam Karimow, który w 1991 r. pełnił funkcję szefa Komunistycznej Partii Uzbekistanu. Miał wystarczająco dużo uczciwości i odwagi, by swoją oceną podzielić się z Gorbaczowem publicznie, i to zanim Gorbaczow spadł z piedestału. Zwracając się bezpośrednio do niego w trakcie

Wielokrotnie powtarzane słowa nie zostały przełożone na język traktatów i zapisane w formie wiążących umów międzynarodowych.

w pełnym składzie było mało, natomiast odbywano regularne i częste konsultacje w gronie liderów państw zachodnich, bez udziału ZSRR, po czym uruchamiano serię spotkań dwustronnych z Gorbaczowem, na których kolejni politycy zachodni (Bush, Kohl, Mitterrand, Thatcher, Major i ich ministrowie) umacniali stanowisko wypracowane wcześniej we własnym gronie, systematycznie zmniejszając i urabiając swojego rozmówcę. Biorąc pod uwagę zerowe znaczenie ówczesnej NRD, okazało się, że nie była to formuła uczciwych negocjacji, lecz raczej walka pięciu na jednego. Nic dziwnego, że zakończyła się katastrofalną porażką Gorbaczowa. Sprytniejszy od niego polityk za zgodę na zjednoczenie Niemiec uzyskałby co najmniej gwarancje zabezpieczające przed ekspansją NATO, być może też wycofanie NATO z całego obszaru połączonych Niemiec, a nawet jego likwidację (takie opcje leżały na stole negocjacyjnym). Tymczasem NATO nie tylko objęło kuratelą zjednoczone państwo niemieckie, ale z czasem przesunęło swoją jurysdykcję daleko na wschód, wkraczając aż na obszary byłego ZSRR.

nastąpił w grudniu 1991 r. Przez lata terminowania w strukturach aparatu Gorbaczow opanował sztukę przepychania się do przodu i eliminowania oponentów. Do żadnego innego celu nie potrafił tej władzy wykorzystać równie skutecznie. Ale kiedy opuszczał granice ZSRR, pełnię władzy i umiejętność roztawiania konkurentów po kątach zostawiał na Kremlu, przemieniając się w sympatycznego i wyrozumiałego Europejczyka. Zachodni przywódcy szybko nauczyli się podtrzymywać w nim ten wizerunek dla własnej korzyści. Na zdjęciach z tego okresu możemy ujrzyć rozpromienioną twarz Gorbaczowa, który sprawia wrażenie, jakby doznanie wyjątkowej szczęśliwości ogarniało go tylko poza granicami ZSRR. Poklask ze strony zagranicznych mediów, uśmiechy i zachwyty polityków oraz autentyczne entuzjastyczne przyjęcie ze strony zwykłych ludzi niemal na każdym kroku w każdym odwiedzanym państwie, a wreszcie Pokojowa Nagroda Nobla, wytworzyły coś w rodzaju sprzężenia zwrotnego działającego wzmacniająco na jego postawę za sprawą psychologicznego mechanizmu nagrody.

ZSRR Gorbaczowa – totalitarny Lewiatan czy źle rządzony moloch?

Mamy w Polsce skłonność do postrzegania ZSRR jako wszechmocnego totalitarnego państwa – Lewiatana,

Uwielbiany za granicą, znienawidzony w kraju

Paradoksalnie im bardziej był wielbiony na Zachodzie, tym bardziej nienawidzono go we własnym

obrad Politbiura KPZR 30 stycznia 1991 r. prostymi, inżynierskimi, ale także proroczymi słowami, Karimow powiedział: „Wtedy, w 1985 r., nie musieliście, Michaiile Siergiejewiczu, zaczynać pierestrojki. Mogliśmy nadal żyć spokojnie i reformować się powoli, jak było w czasach, które nazywają teraz okresem stagnacji. Nie trzeba było rozpalać emocji wśród szerokich rzesz ludzi. Wszystko by się potoczyło tak jak przedtem, i wy byście się rozwijali, i my byśmy się rozwijali. I nie doszłoby do żadnej katastrofy”. W tych słowach nie ma wyrafinowanej demagogii rezonerów. Są wyrazem sprowadzonego do elementarnej rzeczywistości zmysłu politycznego. Można się zżymać na nieporadność frazeologii i bijącą w uszy zachowawczość, ale trudno podważyć jego racje, zważywszy, że wkrótce adresat tych słów został prezydentem bez państwa i sekretarzem generalnym bez partii, a ich autor przetrwał rozpad ZSRR i utrzymał się u władzy w Uzbekistanie, którym rządził silną ręką przez następne ćwierć wieku, aż do naturalnej śmierci w 2016 r.

Zderzenie szlachetnej wizji z Realpolitik

Problemem Gorbaczowa, i przyczyną jego klęski, nie była tylko niechęć do przemocy, z której słynął (legendą obrosła historia, jak wzdrygał się przed dotknięciem guzika uruchamiającego broń jądrową w czasie ćwiczebnego drylu). Był on niezdolny do myślenia w kategoriach realizmu politycznego. Żywił ogromną niechęć do tego stylu uprawiania polityki. Dlatego nie potrafił trafnie postrzegać, rozumieć i oceniać otaczającego go świata, który zasad Realpolitik przestrzegał. Wyidealizowany obraz demokracji zachodniej brał za rzeczywistość, a słowne zapewnienia tamtejszych polityków za fakty. Jak przy oddaniu hołdu zmarłemu wyznał jego wieloletni współpracownik, szef protokołu prezydenta ZSRR Władimir Szewczenko, Gorbaczow nie rozumiał nawet ZSRR, którym przyszło mu rządzić.

Istotnie, Gorbaczow nie znał Rosji realnej, a tę idealną wyobrażał sobie, wspomagając się osobliwym

zlepkiem powierzchownej frazeologii demoliberalnej i czegoś bliżej nieokreślonego, co w swoim mniemaniu uważał za przewodnie zasady ideologii leninowskiej. Lenin (bardziej wyobrażony niż realny) pozostał dla niego idolem, a Stalin, w którym widział przeciwieństwo Lenina, antagonistą. Konsensus i pluralizm stały się jego ulubionymi sloganami z zachodniego importu, którymi żonglował podczas długich monologów na zebraniach partyjnych. Również w negocjacjach z Amerykanami kładł nacisk na konsensus, tyle że jednostronny.

Kiedy po raz ostatni próbował wrócić do polityki, w 1996 r., w wyborach powszechnych uzyskał 386 tys. głosów – 0,51%. Liczby te oraz upokarzający fakt, że oddano wtedy dwa razy więcej głosów nieważnych (1,1%), są bardziej miarą niechęci do jego osoby niż popularności. Z trudem znosząc osamotnienie i odrzucenie, rewanżował się społeczeństwu obraźliwym żartem, że w Rosji tylko kolejka tych, którzy chcieliby go zabić, jest dłuższa od kolejki po wódkę. Życiowy dla Gorbaczowa (ale nie dla Rosjan) biograf

po całym globie, które pochłonęły ogromną liczbę ofiar. Nagle okazało się też, że ład polityczny ukształtowany po II wojnie światowej jeszcze nigdy nie przybliżył się tak bardzo do realnego zagrożenia globalną gorącą wojną i atomowym armagedonem jak w chwili obecnej.

Pomimo wszystkich swoich wad, zaniechań i błędów Gorbaczow był najbardziej proeuropejskim przywódcą w dziejach Rosji. Tak się obawiał posądzenia o hołdowanie szowinizmowi rosyjskiemu, że podejmował niekiedy decyzje w oczywisty sposób szkodliwe dla interesów Rosji. Mówi się często, że dał Rosji i Europie Wschodniej wolność, a podzielonemu na obozy światu pokój, ale ich społeczeństwa nie bardzo wiedziały, co z tymi zdobyczami zrobić. A może to nie ludzie byli winni, lecz przywódcy, którzy wykorzystali okazję do zdobycia przewagi, nie rezygnując z logiki konfliktu. Wizja Rosji zakorzenionej i rozkwitającej w jednym europejskim domu w atmosferze pokojowej współpracy międzynarodowej była ideą przewodnią polityki zagranicznej Gorbaczowa. Może była to idea

Gorbaczow wyidealizowany obraz demokracji zachodniej brał za rzeczywistość, a słowne zapewnienia tamtejszych polityków za fakty.

William Taubman, ujawniając elitarystyczne uprzedzenia amerykańskiego establishmentu, orzekł w protekcyjnym tonie, że „tragedia Gorbaczowa” polegała na tym, że był on „zbyt przyzwoity jak na społeczeństwo, którym wypadło mu rządzić”. Przekładając na chłopski język, w peryferyjnym zakątku świata ciemnym ludem bez naśladowania rządzić nie można.

Jesienią 1990 r. komitet noblowski obwieścił swoją decyzję o przyznaniu Gorbaczowowi Pokojowej Nagrody Nobla za jego starania na rzecz ograniczenia broni nuklearnych i zakończenia zimnej wojny. Od tamtego momentu upłynęły 32 lata i pomimo samolikwidacji „imperium zła” był to czas naznaczony licznymi konfliktami militarnymi rozrzuconymi

nierealistyczna, a może nie nadzedł jeszcze jej czas. Gorbaczow jawi się dziś bardziej jako idealista niż polityk, ostatni z pokolenia XIX-wiecznych inteligentów rosyjskich. Z całą pewnością Zachód nie tylko nie pomógł mu w realizacji jego idei, ale wręcz skutecznie przeszkodził jego zamiarom, trzymając Rosję na dystans, za drzwiami Europy. Ostatecznie polityka ta doprowadziła do punktu, w którym znajdujemy się dzisiaj, bo to wtedy zasiane zostały ziarna późniejszego rozdziewięku i konfrontacji. Największą tragedią Gorbaczowa i jego kraju było przekreślenie nadziei wielu pokoleń Rosjan na zamieszkanie we wspólnym europejskim domu.

Jarosław Dobrzański



Po co lewicy wolność słowa?

**Wiara, że elity zawsze wiedzą lepiej,
to szczególnie niebezpieczny przesąd**

Jakub Dymek

Niedawne badania pluralizmu i postaw dziennikarzy przeprowadzone przez Pew Research Center przyniosły uderzający wniosek: właśnie wśród dziennikarzy przekonanie, że obowiązkiem mediów jest uczciwie i po równo przedstawiać różne strony sporów i problemów, jest rzadsze niż w całym społeczeństwie. Trzy czwarte badanych w USA mówi, że ich zdaniem media „powinny dążyć do równego przedstawienia wszystkich stron sporu”. Wśród dziennikarzy przekonanie to podzieliła połowa respondentów, a najrzadziej z takim rozumieniem wizji dziennikarstwa zgadzają się osoby związane z tytułami lewicowymi, najmłodsze i pracujące online.

Gdy podzieliłem się wynikami tego badania na Twitterze, odpowiedzią były liczne głosy krytyki. Albo odwrotnie – liczne głosy równie mocno przekonane, że zadaniem dziennikarstwa NIE JEST (podkreślenie moje) przedstawianie spraw jak najszerzej, z różnych perspektyw i z dopuszczeniem każdej strony sporu. Właściwie wszystkie te krytyczne wypowiedzi

pochodziły z kont sympatyków i sympatek lewicy, nierzadko bardzo młodych – co potwierdzało zarówno intuicję, jak i demograficzną prawidłowość pokazaną przez badania Pew Research Center. Polemika ta była na tyle żywiołowa, że warto ją pociągnąć. Bo wolność słowa i pluralizm stały się – jak widać – głęboko kontrowersyjne, choć jeszcze niedawno wydawać się mogło, że to tematy z demokratycznego elementarza: nudne, ograne i mało ożywcze.

Zdaniem moich polemistów pluralizm debaty i dopuszczanie do głosu wszystkich stron sporu są równoznaczne z organizowaniem debaty o Zagładzie z udziałem Żyda i nazisty albo dyskusji o skuteczności szczepień pomiędzy wirusologiem i kosmetyczką, która naoglądała się za dużo YouTube’a. Pisali, że omawianie przez dziennikarzy po równo wszystkich stron zagadnienia i sporu równać się musi promocji szurii – czyli internetowego oszołomstwa i spiskowego folkloru. Dodawali, że dziennikarze mają informacje weryfikować i udzielać głosu poglądom spójnym, opartym na wiedzy, empirycznie zbadanym – a nie „wszystkim po równo”.

Strach przed pluralizmem

Zacznę od tego, w czym argumenty te nie są pozbawione słuszności. Fakt, definicja dziennikarstwa, jaką zakładało pytanie, jest nadmiernie szeroka i otwarta na interpretację. Co znaczą wszystkie strony sporu i czym jest równe ich opisywanie? To słuszna krytyka – lepiej przyznać, że dziennikarze i media powinni się zajmować sprawami jak najuczciwiej i proporcjonalnie do ich społecznego znaczenia i reprezentacji. Słowem, nie możemy ignorować tego, że istnieje w każdym społeczeństwie ok. 30% osób bardziej niż reszta podatnych na teorie spiskowe. Nie możemy również – przynajmniej ja tak uważam – zrezygnować z omawiania i tłumaczenia zjawisk marginesowych, groźnych lub zwyczajnie niesmacznych czy obcych naszej wrażliwości. Ale może nie ma sensu traktować każdej sprawy „po równo”, bo jest to zwyczajnie niemożliwe. Moi polemisci pisali też, że istnieje pewien szczególny rodzaj pseudodziennikarstwa, który karmi się kontrowersją i wyspecjalizował się właśnie w głupich ustawkach i promocji skrajności. Zgoda.

Już jednak to, że moi polemisci za figurę wyobrażonego „innego”

od razu podstawili nazistę, antynaukowego oszołoma albo zbrodniarza, więcej mówi o nich samych niż o tym, jak wygląda pluralistyczne społeczeństwo. Bo pluralistyczne społeczeństwo z definicji nie dzieli się na wykształconych mieszczan o liberalno-lewicowych poglądach oraz całą resztę nazistów i płaskoziemców. Założenie, że debata, która po równo traktuje różne strony sporu, jest z automatu zapraszaniem do stołu dyskusyjnego nazistów, pokazuje, jak groźna w oczach niektórych stała się idea pluralizmu. Jak gdyby istniały tylko poglądy „słuszne” – a każdy za takie uważa swoje opinie – i rasistowski ściek. Jakby samo dopuszczenie do siebie myśli o konfrontacji z obcym poglądem było flirtem z ideologiami najbardziej zbrodniczymi ze zbrodniczych, a uwzględnienie różnych stanowisk równało się zgodzie na ich symetrię i przyznaniu każdemu z nich racji. To jednak katalog lęków i współczesnych neuroz, a nie argumentów.

Warto rozmawiać

Pewnie część moich rozmówców byłaby zaskoczona, dowiedziawszy się, że James Baldwin – wielki pisarz i polemista, czarny i gej w rasistowskiej Ameryce lat 60. – rozmawiał publicznie przed kamerami z ludźmi, którzy chcieli odebrać mu resztkę praw i godności. Monologi Baldwina z tych telewizyjnych debat do dziś należą do najbardziej imponujących tekstów XX-wiecznego humanizmu, antyrasizmu i lewicowej publicystyki. Baldwin wierzył – w co, jak sądzę, nie wierzy część współczesnej lewicy – że jego poglądy i postawa, erudycja i człowieczeństwo obronią się w otwartym starciu z najpodlejszym nawet szowinizmem.

Tak samo wielu z moich polemistów byłoby pewnie zaskoczonych opinią prof. Leszka Borysiewicza, immunologa, badacza historii szczepień i wykładowcy Cambridge. Uważa on bowiem, że obowiązkiem naukowców jest właśnie rozmowa z antyszczepionkowcami i obrona dokonań nauki w starciu z jej największymi przeciwnikami. A nie przymuszanie ludzi do zaakceptowania jej zaleceń i ustaleń

pod groźbą kary i nagany. „Musimy pamiętać, że i w historii, i teraz ruchy antyszczepionkowe i sceptycy zadawali także uzasadnione pytania: o skuteczność takich albo innych terapii. Nie można uznać, że wszystko, co ci ludzie powiedzą, to bzdury, i odmawiać z nimi dyskusji. Ja często zgadzam się na takie dyskusje, choć nie są one łatwe. Skuteczność nauki jest najlepszym argumentem w jej obronie”, mówił mi profesor, gdy rozmawialiśmy w trakcie pandemii.

To zachęta nie do promocji ekstremizmu, tylko do eksperymentu myślowego. Czy uważamy nasze poglądy za tak słabe, tak nieatrakcyjne i nudne, że ich obrona w otwartej dyskusji jest skazana na porażkę nawet z neonazizmem i płaskoziemstwem?

Kto tu jest wariatem

Ale w gruncie rzeczy sprawa jest nawet prostsza. Otóż lewica, która neguje sens istnienia pluralizmu, wolności słowa i otwartej debaty, neguje swoją własną historię i wykazuje się wprost nieprawdopodobnie krótką

Wśród dziennikarzy przekonanie, że obowiązkiem mediów jest uczciwie i po równo przedstawiać różne strony sporów i problemów, jest rzadsze niż w całym społeczeństwie.

pamięcią. Wszyscy moi polemisci byli zdania, że z debaty kategorycznie należy wykluczyć szurię i oszołomstwo. Problem oczywiście w tym, że za szurię i oszołomstwo uważano w latach 50. sprzeciw wobec rasizmu i apartheidu, w latach 60. feminizm, w latach 70. ruchy antywojenne i pacyfistyczne, w latach 80. (i długo, długo później) wszystkie poglądy gospodarcze na lewo od Reagana, Thatcher i największych (neo)liberalnych ortodoksów. Lewica, ruchy społeczne, mniejszości i osoby wykluczone były wyśmiewane i pomijane w debacie publicznej za pomocą dokładnie tego mechanizmu. Bo to ci, którzy są u władzy – czy nam się to podoba, czy nie – ustalają, co jest szurią. Staruszek Marks powiedziałby, że szurią jest to, co z jakiegoś powodu zagraża interesom klas dominujących – i miałby rację.

Poglądy na gospodarkę i państwo Karola Modzelewskiego, polskich socjalistów i demokratycznej lewicy, później zaś, w XXI w., lewicy młodszej i radykalnej, były (i poniekąd dalej są) uważane za oszołomstwo w większości najbardziej wpływowych mediów. Część lewicy wierzy naiwnie, że te same tytuły, które są w stanie opublikować największą ekonomiczną, naukową albo psychologiczną bzdurę, gdy służy to im i interesom właścicieli, będą uczciwie weryfikować, kto jest szurem, a kto zasługuje na wysłuchanie. Mamy dość przykładów z Polski, Europy i Stanów Zjednoczonych, by wiedzieć, że ani wielkie korporacje medialne w XX w., ani wielkie korporacje cyfrowe współcześnie nie powinny być ostatecznym autorytetem w sprawie wolności słowa.

A wojny kulturowe lat 90. i historia transformacji w III RP powinny być przynajmniej na naszym podwórku lekcją, co się dzieje, gdy pozwala się niewybieralnym elitom dyktować, kto jest szurem – w sprawie aborcji, Kościoła i religii w szkołach, podatków i praw mniejszości.

Wtedy wielu dziennikarzy zrobiło dokładnie to, do czego dziś zachęają ich moi polemisci – sami uznali, które głosy są racjonalne i wartościowe, a które należy wyrzucić poza nawias. Skutki znamy.

Pytanie o pluralizm i wolność słowa zostało postawione na głowie. W Orwellowskim stylu jesteśmy szantażowani groźbą, że wolność słowa będzie oznaczać triumf propagandy, a pluralizm opinii – tyranie mniejszości. Jak jednak – pytam na koniec moich krytyków – wyobrażacie sobie media i debatę publiczną, w których będzie więcej kobiet i mniejszości, będzie głos dla wykluczonych i słabszych i można będzie rozbijać dogmaty ekonomiczne i polityczne, bez wolności słowa, pluralizmu i dopuszczenia wszystkich stron do głosu?

j.dymek@tygodnikprzeglad.pl

To był rząd jedności narodowej

O gabinecie Tadeusza Mazowieckiego mało kto dziś pamięta, a jeśli już, to zwykle w kontekście negatywnym

Paweł Siergiejczyk

Sezon sierpniowo-wrześniowy to w polityce historycznej naszego państwa okres wzmożonej aktywności i patosu. Zaczyna się od rocznicy wybuchu powstania warszawskiego (1 sierpnia), potem jest rocznica bitwy warszawskiej i zarazem Święto Wojska Polskiego (15 sierpnia), następnie rocznica paktu Ribbentrop-Mołotow (23 sierpnia), która od pewnego czasu eksponowana jest nawet bardziej niż rocznica agresji niemieckiej na Polskę (1 września), ta ostatnia zaś wyraźnie błędnie przy rocznicy agresji radzieckiej (17 września).

I tak się dzieje co roku, a odkąd rządzi PiS, przesłanie władzy i jej agend (zwłaszcza IPN) jest jasne: zawsze byliśmy zagrożeni z dwóch stron – przez

przeciwnymi nawet w podręcznikach do szkoły podstawowej).

Równie łatwo znaleźć w naszej historii elementy, które uderzałyby w Niemców: od bitwy pod Cedynią (której znaczenie od dawna jest mocno przeceniane), przez Grunwald i hołd pruski (choć Krzyżacy nie reprezentowali państwa niemieckiego, był to katolicki zakon podległy papieżowi), po Bismarcka i Hitlera. Ale przecież tak samo instrumentalnie „polityka historyczna” wykorzystuje różne okazje, by pokazać naszą moralną wyższość nad Ukraińcami, Litwinami, Białorusinami, a nawet Francuzami czy Anglikami.

I rzecz najbardziej zdumiewająca: te rocznice, których nie da się wykończyć przeciw sąsiadom, wrogom zewnętrznym albo wiarołomnym sojusznikom, służą atakowaniu jakiegś

symboliczna data narodzin II Rzeczypospolitej stała się okazją do chuligańskich wybryków i nienawistnego wrzasku na ulicach Warszawy.

Bez święta III RP

Charakterystyczne jest również to, że swojego święta nie doczekała się III Rzeczpospolita, co jedynie pokazuje, jak bardzo po macoszu nasze elity traktują własne państwo. A przecież nigdy dość powtarzania: III Rzeczpospolita to trzecia polska niepodległość – po tej pierwszej, którą straciliśmy w 1795 r., i drugiej, której kres przyniosła II wojna światowa. Każdy więc, kto atakuje III Rzeczpospolitą lub domaga się jej końca (np. forsując pomysł „IV Rzeczypospolitej”), atakuje niepodległe państwo polskie, w dodatku – mimo wielu wad i słabości – państwo demokratyczne i cieszące się zewnętrznym bezpieczeństwem, co w naszych dziejach wcale nie było normą.

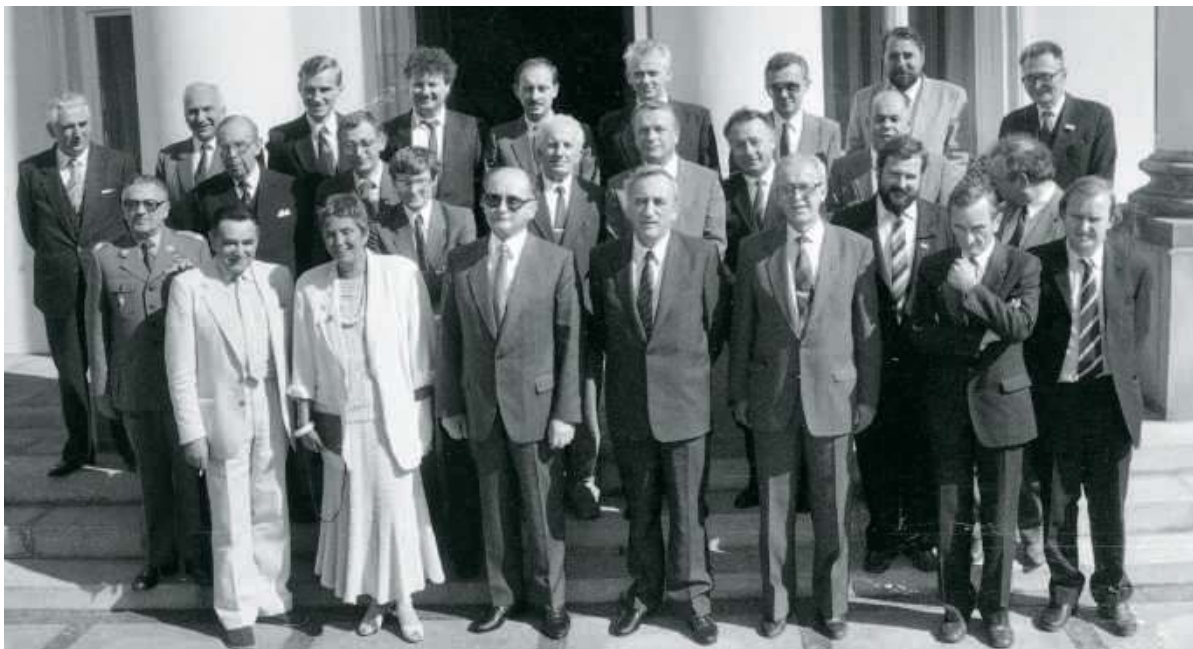
III Rzeczpospolita zasłużyła zatem na swoje święto, może nawet bardziej niż II RP, która jest już tylko wspomnieniem, a na pewno bardziej niż hurtowo potraktowani „żołnierze wyklęci”, których postaw i wyborów, jakże skomplikowanych, często tragicznych, nikt na chłodno nie analizuje. Ale jaki dzień mógłby być symboliczną rocznicą narodzin naszego obecnego państwa? Najczęściej zgłaszana propozycja to 4 czerwca – na pamiątkę wyborów określanych dziś pogardliwie jako „kontraktowe”, a wtedy uważanych za pierwszy od 1947 r. plebiscyt na temat stosunku społeczeństwa do władzy. Co więcej – plebiscyt uczciwy, niezafałszowany, co dało początek narodzinom demokratycznej i praworządnej III Rzeczypospolitej. Ale też plebiscyt, który pokazał, jak bardzo podzielona jest Polska

III Rzeczpospolita zasłużyła na swoje święto, może nawet bardziej niż II RP, która jest już tylko wspomnieniem.

Rosję i przez Niemcy, które działały przeciwko Polsce ręką w rękę. W ten sposób Jarosław Kaczyński narzucił państwu polskiemu swoją koncepcję „kondominium niemiecko-rosyjskiego”, którym rzekomo byliśmy aż do 2015 r. i którym znów będziemy, jak tylko PiS straci władzę.

Główny problem naszej polityki historycznej polega na tym, że każda rocznica, każde upamiętnienie musi być przeciw komuś. Oczywiście najłatwiej upamiętniać przeciwko Rosji: zabory, powstania, wojnę z bolszewikami, Katyń, łagry i całą PRL, a jakby tego było mało, nasi pomysłowcy „historycy” stworzyli pojęcie „hołdu ruskiego”, który miał złożyć car Wasyl Szujski z braćmi królowi polskiemu w 1611 r. (cóż z tego, że profesjonalni badacze dziejów zaprzeczają takiemu faktowi, skoro można o nim

części własnego społeczeństwa i jego elit. Po to głosami PO-PiS ustanowiono święto „żołnierzy wyklętych” (1 marca), by co roku oficjalnie delegitymizować Polskę Ludową, ludzi wywodzących się z PZPR i „resortowe dzieci”. Nie inaczej wyglądają obchody Święta Konstytucji 3 Maja: prawicowa władza bez żenady obsadza swoich przeciwników w roli współczesnych targowiczów, a siebie kreuje na niezłomnych patriotów i reformatorów państwa (choć akurat ideowo coraz bliżej PiS do konserwatywnej, antyoswieceniowej i antyzachodniej targowicy). O Święcie Niepodległości szkoda nawet wspominać, skoro rządzący odstąpili dzień 11 listopada spadkobiercom ONR (czyli „polskich faszystów”, jak ich określał ostatni wybitny ideolog endecji Jędrzej Giertych) i w ten sposób



14 września 1989 r., dwa dni po zatwierdzeniu przez Sejm, prezydent Wojciech Jaruzelski przyjął w Belwederze członków rządu Tadeusza Mazowieckiego. Nz. w pierwszym rządzie od lewej: Aleksander Paszyński, Izabella Cywińska, Wojciech Jaruzelski, Tadeusz Mazowiecki, Jan Janowski, Henryk Samsonowicz, Aleksander Hall. W drugim rządzie: Florian Siwicki, Krzysztof Skubiszewski, Jerzy Osiatyński, Leszek Balcerowicz, Czesław Janicki, Czesław Kiszczak, Bronisław Kamiński, Artur Balzas, za nim Jacek Kuroń, Andrzej Kosiniak-Kamysz. W trzecim rządzie: Józef Czyrek – minister stanu w Urzędzie Prezydenta, Michał Janiszewski – szef Kancelarii Prezydenta, Marcin Świąciecki, Marek Kucharski, Aleksander Mackiewicz, Aleksander Bentkowski, Franciszek Wielądek, Jacek Ambroziak, Tadeusz Syryjczyk, Witold Trzeciakowski.

po 45 latach władzy PZPR, skoro frekwencja w tych czerwcowych wyborach zaledwie nieznacznie przekroczyła 60%, a spośród głosujących co najmniej jedna czwarta poparła kandydatów ówczesnej władzy. Była to zapowiedź nie tylko zobojętnienia niemal połowy społeczeństwa na sprawy publiczne, lecz także głębokich podziałów, które z wyborów na wybory wzmagaly wzajemną agresję i wręcz nienawiść między Polakami.

Może więc i dobrze, że nie mamy święta 4 czerwca, gdyż bez wątpienia stałoby się ono kolejną okazją do wywyższania się jednych i poniżania drugich – według zasady sformułowanej przez lidera PiS już kilkanaście lat temu: „My jesteśmy tu, gdzie wtedy, oni tam, gdzie stało ZOMO”. Święto 4 czerwca byłoby kolejnym świętem triumfu jednych Polaków nad drugimi, a nie radości z odzyskanej niepodległości.

A jednak narodziny III Rzeczypospolitej zasługują na odpowiednie uhonorowanie. Oczywiście nie ma żadnej daty dziennej, od której można by

mówić o nowym państwie, bo nawet formalna zmiana nazwy z PRL na RP (uchwalona przez Sejm „kontraktowy” 29 grudnia 1989 r.) była tylko jednym z etapów długiego procesu przekształcania Polski Ludowej w demokratyczną i niepodległą Rzeczpospolitą. I to etapem wyłącznie symbolicznym, możliwym dlatego, że wcześniej zapadły kluczowe decyzje.

Najważniejszą z owych decyzji było powołanie rządu Tadeusza Mazowieckiego i właśnie ten fakt najlepiej się nadaje do wyznaczenia rocznicy narodzin III RP. Do wyboru są tu dwie daty: 24 sierpnia 1989 r., gdy Sejm na wniosek prezydenta Wojciecha Jaruzelskiego powołał Mazowieckiego na premiera, albo 12 września 1989 r., gdy Sejm zatwierdził skład nowego rządu. W pierwszym głosowaniu Mazowieckiego poparło 378 posłów (przy 4 przeciwnych i 41 wstrzymujących się od głosu), w drugim – za jego gabinetem głosowało 402 posłów (13 wstrzymało się od głosu).

Żaden z następnych rządów III RP nie mógł liczyć na tak wielkie zaufanie

parlamentu. Dlatego rząd Mazowieckiego można bez przesady nazwać rządem jedności narodowej. To określenie niezbyt dobrze się kojarzy – wszak gabinet stworzony podczas negocjacji w Moskwie w czerwcu 1945 r., z Edwardem Osóbką-Morawskim jako premierem oraz Stanisławem Mikołajczykiem i Władysławem Gomułką jako wicepremierami, nazwano dumnie Tymczasowym Rządem Jedności Narodowej. Ale rząd Mazowieckiego powstawał w zupełnie innej atmosferze, raczej przypominającej tę z lata 1920 r., gdy w obliczu zagrożenia Rzeczypospolitej nacelnik państwa Józef Piłsudski powołał gabinet premiera Wincentego Witosa i wicepremiera Ignacego Daszyńskiego, poparty przez wszystkie znaczące ugrupowania sejmowe.

Historyczny moment

Moment historyczny był wyjątkowy, elity polityczne zdawały sobie sprawę z ogromnych wyzwań stojących przed Polską i dlatego dużą

► nieścisłością – czy wręcz zakłamaniem – jest używanie wobec gabinetu Mazowieckiego sformułowania „pierwszy niekomunistyczny rząd po wojnie”. To prawda, że sam Tadeusz Mazowiecki był pierwszym od 1948 r. premierem, który nie należał do PZPR. Ale przymiotnik „niekomunistyczny” dla dużej części Polaków oznacza to samo, co „antykomunistyczny”. Tymczasem rząd Mazowieckiego rządem antykomunistycznym – w dzisiejszym rozumieniu antykomunizmu jako całkowitego potępienia ludzi i czasów PRL – z pewnością nie był.

Wręcz przeciwnie, był to rząd, który doprowadził do łagodnego, ewolucyjnego przejścia od Polski Ludowej do III Rzeczypospolitej, bez potępienia czy odrzucania kogokolwiek, a już na pewno nie ludzi sprawujących władzę w PRL. Bo bez tych ludzi nie byłoby go! Nie byłoby tego rządu ani jego osiągnięć bez prezydenta Jaruzelskiego, który lojalnie wspierał go od samego początku do samego końca, czyli przez całą swoją kadencję. Nie byłoby tego rządu bez generałów Czesława Kiszczaka i Floriana Siwickiego, którzy mimo że znaleźli się poza Sejmem (wskutek nieoczekiwanej porażki tzw. listy krajowej), weszli do rządu tworzonego przez ich niedawnego więźnia i przeciwnika, a potem spokojnie z niego odeszli, by zrobić miejsce dla nowych ludzi. Nie byłoby też tego rządu bez prawie 200 posłów PZPR, którzy poparli jego utworzenie i głosowali za kolejnymi ustawami reformującymi państwo. A przecież był to dla nich czas nadzwyczaj trudny, gdy ich partia zwinęła sztandar, a klub poselski rozpadł się na dwa mniejsze. Nikt nie wróżył wtedy lewicy świetlanej przyszłości, więc tym bardziej warto docenić jej propaństwową postawę.

Ale był to też gabinet, w którym poczesne miejsce znaleźli dotychczasowi sojusznicy PZPR: Zjednoczone Stronnictwo Ludowe (niebawem przekształcone w PSL) i Stronnictwo Demokratyczne. Szczególnie powinien o tym pamiętać obecny lider ludowców, którego ojciec, Andrzej Kosiniak-Kamysz, był ministrem zdrowia w rządzie Mazowieckiego. O ile zaś później ludowcy całkiem nieźle

Skład rządu Tadeusza Mazowieckiego w dniu zaprzysiężenia 12 września 1989 r.

- **Tadeusz Mazowiecki (Solidarność)** – prezes Rady Ministrów
- **Leszek Balcerowicz (Solidarność)** – wiceprezes Rady Ministrów, minister finansów
- **Czesław Janicki (ZSL)** – wiceprezes Rady Ministrów, minister rolnictwa, gospodarki żywnościowej i leśnictwa
- **Jan Janowski (SD)** – wiceprezes Rady Ministrów, minister-kierownik Urzędu Postępu Naukowo-Technicznego i Wdrożeń
- **Czesław Kiszczak (PZPR)** – wiceprezes Rady Ministrów, minister spraw wewnętrznych
- **Jacek Ambroziak (Solidarność)** – minister-szef Urzędu Rady Ministrów
- **Artur Balazs (Solidarność)** – minister-członek Rady Ministrów
- **Aleksander Bentkowski (ZSL)** – minister sprawiedliwości
- **Izabella Cywińska (Maria Cywińska-Michałowska) (Solidarność)** – minister kultury i sztuki
- **Aleksander Hall (Solidarność)** – minister-członek Rady Ministrów
- **Bronisław Kamiński (ZSL)** – minister ochrony środowiska i zasobów naturalnych
- **Andrzej Kosiniak-Kamysz (ZSL)** – minister zdrowia i opieki społecznej
- **Marek Kucharski (SD)** – minister-członek Rady Ministrów
- **Jacek Kuroń (Solidarność)** – minister pracy i polityki socjalnej
- **Aleksander Mackiewicz (SD)** – minister rynku wewnętrznego
- **Jerzy Osiatyński (Epaminondas Jerzy Osiatyński) (Solidarność)** – minister-kierownik Centralnego Urzędu Planowania
- **Aleksander Paszyński (Solidarność)** – minister gospodarki przestrzennej i budownictwa
- **Henryk Samsonowicz (Solidarność)** – minister edukacji narodowej
- **Florian Siwicki (PZPR)** – minister obrony narodowej
- **Krzysztof Skubiszewski (niezależny)** – minister spraw zagranicznych
- **Tadeusz Syryjczyk (Solidarność)** – minister przemysłu
- **Marcin Świąciecki (PZPR)** – minister współpracy gospodarczej z zagranicą
- **Witold Trzeciakowski (Solidarność)** – minister-członek Rady Ministrów
- **Franciszek Wielądek (PZPR)** – minister transportu, żeglugi i łączności

dali sobie radę w trudnych realiach politycznych III RP, o tyle dla ludzi SD gabinet Mazowieckiego był ostatnim, w którym zasiadali i na który mieli wpływ. A przecież była to partia o przedwojennym rodowodzie, stworzona przez liberalno-demokratyczne środowiska piłsudczykowski (związane głównie z masonerią), po wojnie zaś stanowiąca bezpieczną przystań dla tej części polskiej inteligencji, która nie chciała nosić legitymacji PZPR, ale też nie odrzucała ówczesnego ustroju i starała się w jego ramach robić coś pozytywnego.

Już sam fakt, że przywódcy nielegalnej do niedawna Solidarności zaledwie pół roku po rozpoczęciu rozmów Okrągłego Stołu zdecydowali się wejść do rządu z przedstawicielami PZPR, ZSL i SD, był

wydarzeniem o niestychanej wadze. Dziś trudno w to uwierzyć, ale tamta opozycja potrafiła odrzucić myślenie konfrontacyjne, wyrzec się zemsty za doznawane jeszcze niedawno krzywdy i wspólnie z dotychczasowymi przeciwnikami podjąć się ratowania gospodarki oraz budowy demokratycznego państwa.

W tym kontekście jakże symboliczną jest postać polityka, który stanął na czele tego rządu. Życiorys Tadeusza Mazowieckiego pokazuje drogę dużej części polskiej inteligencji o rodowodzie sięgającym II RP: od młodości wiary w budowę powojennego socjalizmu, którą dawało się pogodzić z postawą patriotyczną i katolicką (w przypadku Mazowieckiego była to działalność w środowisku PAX pod wodzą Bolesława Piaseckiego),

poprzez wykorzystanie październikowego przełomu 1956 r. do umacniania intelektualnej i politycznej samodzielności w czasach gomułkowskich (Mazowiecki od 1958 r. był redaktorem naczelnym katolickiego miesięcznika „Więź”, a w latach 1961-1972 posłem na Sejm PRL), po utratę złudzeń w epoce Gierka i „solidarnościowy” entuzjazm lat 1980-1981 (ważna rola Mazowieckiego jako jednego z głównych doradców Lecha Wałęsy i pierwszego redaktora naczelnego „Tygodnika Solidarność”).

Jeden z trzech

Co prawda, Mazowiecki nie był jedynym kandydatem na pierwszego premiera z ramienia opozycji, ale dwaj pozostali, których Wałęsa brał wtedy pod uwagę – Bronisław Geremek i Jacek Kuroń – nie byli ludźmi związanymi z Kościołem i mieli w życiorysach wieloletnią przynależność do PZPR. Najpewniej zatem Wałęsa wziął pod uwagę sugestie episkopatu (i oczywiście Watykanu), który odegrał przecież kluczową rolę w porozumieniach Okrągłego Stołu jako siła, z którą liczyły się obie strony. Jakie to charakterystyczne, że polski Kościół nie chce dziś pamiętać o tamtych czasach i o swojej roli, traktowanej jakby wstydliwie, a liczni duchowni tak łatwo przyjmują retorykę skrajnej prawicy, która uważa rok 1989 za przejaw „zdrady narodowej”. Tym bardziej że gabinet Mazowieckiego należał do tych, które Kościołowi potrafiły

się „odwdziżyć”, np. przywracając naukę religii do szkół.

O pierwszym rządzie III RP – który równocześnie był ostatnim rządem PRL – mało kto dziś pamięta, a jeśli już o nim się mówi, to zwykle w kontekście negatywnym. Prawica ma mu za złe tolerowanie PRL-owskich generałów i w ogóle brak rozliczeń personalnych. Z kolei dużej części lewicy ten rząd kojarzy się z planem Balcerowicza, który miliony Polaków pozbawił pracy i poczucia bezpieczeństwa socjalnego. Paradoksalnie wszystkie te zarzuty są prawdziwe – rzeczywiście gabinet Mazowieckiego zastosował „terapię szokową” w gospodarce, będącej wtedy w stanie skrajnego kryzysu, i jednocześnie prowadził bardzo ostrożną politykę „rewolucji bez rewolucji” w strukturach państwa. Tyle że z dzisiejszej

którym zależało na jak najłagodniejszych przeobrażeniach w tej części Europy (o czym wymownie świadczy mocny nacisk prezydenta Busha na wybór Wojciecha Jaruzelskiego na prezydenta Polski). W tych warunkach nie było miejsca na krzykliwy antykomunizm i antysowietyzm, który tak łatwo przychodzi dzisiejszej prawicy. Nie było też miejsca na akademickie spory o model polityki gospodarczej, jakie prowadzi się dziś na lewicy.

Większość ekipy premiera Mazowieckiego już nie żyje, a spośród tych, którzy żyją, tylko nieliczni publicznie bronią dorobku tamtego rządu (czasami robią to Leszek Balcerowicz, Waldemar Kuczyński czy Aleksander Hall). A przecież był to jedyny rząd III RP, który w parlamencie praktycznie nie miał przeciwników i jego działania właściwie cała „klasa

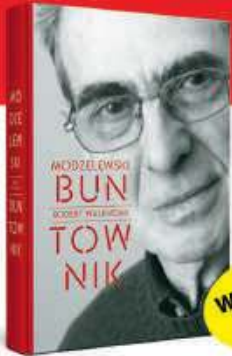
Warto pamiętać o rządzie Mazowieckiego – tym jasnym, pozytywnym i jakże konstruktywnym momencie w naszych najnowszych dziejach.

perspektywy bardzo łatwo krytykuje się rzekome błędy czy zaniechania tamtej ekipy, zapominając o tym, w jak trudnych warunkach przyszło jej tworzyć nowe państwo i nową gospodarkę.

Na szczęście budowa fundamentów III Rzeczypospolitej dokonywała się w sprzyjających warunkach międzynarodowych i nic jej nie zagrażało z zewnątrz. Ale to wiemy dzisiaj, natomiast Mazowiecki i jego ministrowie cały czas pamiętali o tym, że z jednej strony mają nadal istniejący Związek Radziecki, z drugiej – jednoczące się Niemcy, a z trzeciej – Amerykanów,

polityczna” przyjmowała ze zrozumieniem. Bo nawet populistyczne ataki konkurentów na Tadeusza Mazowieckiego podczas nieszczej kampanii prezydenckiej jesienią 1990 r. nie podważały zasadniczego kierunku, w jakim jego gabinet prowadził Polskę. Warto zatem pamiętać o rządzie Mazowieckiego – tym jasnym, pozytywnym i jakże konstruktywnym momencie w naszych najnowszych dziejach. O tym momencie, który chociaż na chwilę połączył Polaków, zanim znów – i to bardzo mocno – zostali podzieleni.

Paweł Sergiejczyk



65 zł 55 zł

**Miał rację
Ale rzadko go słuchano...**

**Jak sfabrykowano historię
i stworzono mit**

Tytuł dostępny tylko jako E-BOOK

Zamów na sklep.tygodnikprzeklad.pl
lub wpłać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7



9,90 zł 29,90 zł

Dla Niemców 1 września **nic nie znaczy**

Powojenne pokolenia Niemców nie mają żadnych skojarzeń związanych z wybuchem II wojny światowej, a zwłaszcza z najazdem hitlerowskiej Rzeszy na Polskę

Bronisław Tumiłowicz

Ciekawą perspektywę oceny wybuchu II wojny światowej przyjęli autorzy wydanej w RFN i w Polsce książki „Nigdy więcej wojny! 1 września w kulturze pamięci Polski i Niemiec w latach 1945-1989”. Profesorowie historycy Waldemar Czachur z Uniwersytetu Warszawskiego i Peter Oliver Loew z Niemieckiego Instytutu Spraw Polskich (Deutsches Polen Institut) prześledzili setki gazet z PRL, NRD i RFN, koncentrując uwagę na temacie 1 września. Chodziło o to: 1) co się pisało o tej dacie, 2) kto się zajmował tą datą, 3) jakich symboli używano do opisanie tej kwestii, 4) na ile na tej bazie można było prowadzić dialog między Polakami i Niemcami.

Ogólny wniosek jest niestety bardzo przygnębiający. Niemcy kompletnie nie rozumieją Polaków nadających dacie 1 września tak wielkie znaczenie, bo od zakończenia wojny przez prawie pół wieku skutecznie wypierali jej sens. Fakt, że właśnie wtedy „Niemcy napadły na Polskę” i kraj ten przyczynił się do ogromu nieszczęść w polskim społeczeństwie, nie istnieje w świadomości obywatelskiej. I dotyczy to zarówno landów wschodnich, które powstały z NRD, jak i landów zachodnich.

Pamiętamy o Westerplatte, o Wieluniu...

W Polsce każde dziecko wie, że 1 września nie tylko zaczyna się szkoła. Że będą uroczyste apele,

akademie, publikacje medialne itd. – wydarzenia i rytuały związane z rozpoczęciem II wojny światowej, np. z atakiem na polską placówkę na Westerplatte. Po stronie niemieckiej od kapitulacji w 1945 r., poprzez wszystkie etapy kształtowania się dwóch



Rzeźba Käthe Kollwitz „Mutter mit totem Sohn”, przedstawiająca matkę ściskającą ciało zabitego syna, stanowi w Niemczech narodowy pomnik pamięci.

państw niemieckich, do połączenia obu części mieliśmy do czynienia z różnymi sposobami wypierania wiedzy o tym, że 1 września 1939 r. Niemcy zaatakowały pierwszy kraj, czyli Polskę.

Autorzy tej publikacji piszą, jaki był obraz w mediach (gazetach) przez te 44 powojenne lata, nie wnikają natomiast zbyt głęboko w przyczyny takiego podejścia. Zresztą zwracają uwagę, że w pewnym stopniu, zwłaszcza w początkowym okresie powojennym, kształtowanie

świadomości historycznej i wschodnich Niemców, i Polaków związane było z przemożnym wpływem ZSRR na media, a po stronie zachodniej – częściowo Amerykanów. Jednak wydaje się, że zamazywanie wiedzy o tym, co spotkało Polskę, było jakimś naturalnym odruchem, chęcią wyparcia, zapomnienia, może nawet unieważnienia. Oczywiście żaden mieszkaniec Niemiec nie udawał, że kraj ten nie ponosi historycznej odpowiedzialności za wybuch wojny, ale Polska w tym wydarzeniu praktycznie nie istniała.

Mówmy i piszmy o pokoju

W zasadzie dominującą narracją stała się po obu, a właściwie po trzech stronach granicy, jeśli uwzględnić podział Niemiec, walka o pokój na świecie. Ten sposób omawiania II wojny miał różne natężenia i odmiany w zależności od państwa. Z czasem owa narracja – i wpływająca na zbiorową pamięć edukacja społeczna – nabierała cech schematu. Hasło „Nigdy więcej

wojny!” w istotny sposób wpłynęło na kształt obchodów 1 września zarówno w Polsce, jak i w NRD, a także w niewielkim stopniu w RFN. Stało się ono jednak w tych trzech krajach nośnikiem odmiennych treści.

Przebiegało to etapami. W NRD w czasach stalinizmu głos oddawano nierzadko niemieckim komunistom, którzy po przejściach w obozach koncentracyjnych lub pobycie w ZSRR reprezentowali Nationale Front i mówili w dniu 1 września o pokoju, krytykowali wojnę, ale nie wspominali

w ogóle o Polsce i jej stratach. W dalszym etapie ostro sprzeciwiali się kapitalizmowi, imperializmowi i militaryzmowi USA. Z czasem na sugestię Moskwy w NRD ustanowiono Międzynarodowy Dzień Pokoju, a związane z nim uroczystości, np. w Lipsku, trwały niekiedy kilka dni. Nie odbywały się jednak żadne centralne obchody. Jeszcze później, w latach 60. i 70.,

Franke z Europejskiej Sieci Pamięć i Solidarność, dobrze znająca język polski i nasze realia. Otóż gdy chodziła jeszcze do szkół w RFN, nigdy nie natrafiła na datę 1 września. W szkole i mediach wspominano upadek Republiki Weimarskiej w 1933 r., mówiono też o nocy kryształowej w roku 1938, wreszcie były obchody dnia 8 maja. Kiedy więc dowiedziała się,

Wojna i reparacje

Obecna sytuacja w naszej części Europy, wojna w Ukrainie oraz niechętnie komentarze polskich władz dotyczące roli Niemiec w Unii Europejskiej robią swoje. Autorzy książki twierdzą, że nawet takie hasło jak „Nigdy więcej wojny!” ma zupełnie inną konotację w Polsce, a inną w Niemczech. U nas jest to dążenie, aby Polska była silna i nikt na nią nie napadł. U zachodnich sąsiadów daje o sobie znać pragnienie, aby już nigdy Niemcy nie stały się przyczyną nowej wojny. To jest m.in. powód pewnej niechęci i opieszałości w udzielaniu przez rząd RFN pomocy militarnej walczącej Ukrainie. Początkowo transporty zawierały jedynie aparaturę, lekarstwa i materiały medyczne.

Generalnie w Niemczech kładzie się nacisk na doniesienia o cierpieniach i stratach ludności cywilnej, a jednym z najmocniejszych symboli takiego podejścia jest stojący w centralnym punkcie Berlina, przy słynnej Unter den Linden, w świątyni sanktuarium, pomnik wykonany w 1993 r. według rzeźby niemieckiej artystki Käthe Kollwitz. Jej prace uznawano w hitlerowskich Niemczech za sztukę zdegenerowaną i podlegały one urzędowej konfiskacji. Dziś powiększona na wniosek kanclerza Helmuta Kohla pieta Kollwitz, przedstawiająca matkę ścisnącą ciało zabitego syna, stanowi narodowy pomnik pamięci i jest jedynym obiektem eksponowanym w Centralnym Miejscu Pamięci Republiki Federalnej Niemiec w tzw. Nowym Odwachu.

Patrząc z tej perspektywy, akcja PiS dotycząca reperacji, jakkolwiek

nie ma prawnego uzasadnienia ani nie zyskała najmniejszej nawet przychylności ze strony niemieckich władz, może być istotnym czynnikiem historycznego uświadamiania tego, co przyniosła Polsce inwazja, która zaczęła się 1 września 1939 r.

Bronisław Tumilowicz

Niemcy kompletnie nie rozumieją Polaków nadających dacie 1 września 1939 r. tak wielkie znaczenie.

w ramach przyjacielskich stosunków ze stroną polską 1 września organizowano w miejscowościach granicznych: Słubicach, Frankfurcie nad Odrą i Zgorzelcu, wspólne spotkania. Nie było żadnych dyskusji, tylko przemówienia z obu stron, grała orkiestra, zdarzał się poczęstunek. Ówczesna opozycja w NRD w takie imprezy się nie angażowała, wszystko pozostawiano państwu. Jeśli była jakaś demonstracja, to przed ambasadą amerykańską przeciwko zbrojeniom.

W tym czasie na terenie RFN od 1957 r. zaczął działać ruch pokoju. W narracji pojawiły się, ale niekoniecznie 1 września, częściej 8 maja (Dzień Zwycięstwa), hasła walki o pokój i wolność. Oczywiście Polska nie odgrywała w tym żadnej roli. W dyskusjach medialnych zaczęto poruszać temat tego, jak doszło do zdobycia władzy przez hitlerowców i czy można było temu się przeciwstawić. W takich refleksjach odwoływano się raczej do roku 1933, a nie 1939. Nigdy nie składano wieńców, bo ani w RFN, ani w NRD nie było jeszcze miejsc upamiętnienia tej daty, natomiast w Polsce było ich bez liku. Uznanie, że Warszawa jest jedną z największych ofiar wojny, pojawiło się na satyrycznym rysunku dopiero w 1969 r. (30. rocznica wybuchu II wojny światowej) w prestiżowej gazecie „Frankfurter Allgemeine Zeitung”.

O 1 września nigdy nie słyszałam

Na promocji książki profesorów Czachura i Loewa interesujący komentarz wygłosiła dr Annemarie

że przygotowywana jest publikacja na temat 1 września w kulturze Polski i Niemiec, wyraziła duże zdziwienie.

Autorzy publikacji zauważają, że w ich badaniach cezurę stanowił rok 1989, rok obchodów 50. rocznicy września 1939 r. Do tych uroczystości Polska przygotowywała się kilka lat. Również w Niemczech, jeszcze niezjednoczonych, potraktowano tę datę szczególnie. Volkskammer w NRD i Bundestag zwołały uroczyste sesje parlamentu. Przewodnicząca Bundestagu Rita Süssmuth wygłosiła poruszające słowa, także na temat Polski. Od nas przyjechały do RFN oficjalne delegacje, było wiele imprez upamiętniających 50. rocznicę wybuchu wojny. W NRD złożono kwiaty pod pomnikiem Żołnierza Polskiego i Niemieckiego Antyfaszysty w Berlinie. Było to już po rewolucji Solidarności, po stanie wojennym i po akcji paczkowej – strumieniu niemieckiej pomocy dla ludności w Polsce. Jeszcze większe oficjalne zbliżenie nastąpiło z okazji 60. rocznicy wybuchu wojny, w 1999 r., kiedy do Gdańska na uroczystości przyjechał kanclerz zjednoczonych Niemiec Gerhard Schröder i spotkał się z prezydentem Aleksandrem Kwaśniewskim. Jednak te rocznicowe wzmocnienia i dowody niemieckiego zrozumienia polskich obyczajów związanych z 1 września nie miały i nadal nie mają większego znaczenia dla naszych zachodnich sąsiadów. Również przygraniczne spotkania z tej okazji ustały.



Życie jest poza filmem

Nic nie muszę, to jest moje credo

Rozmawia Mateusz Demski

Przylgnęło do pana kilka linijek z „Psów”, a ja ciągle mam w głowie ten jeden cytat z Kieślowskiego: „Witek, pamiętaj, nic nie musisz...”

– Tak, to jest mój cytat na życie. Takie credo, które wbiłem sobie do głowy. Bohater usłyszał te słowa od swojego umierającego ojca. To jest rzecz, której się nauczyłem po tym filmie. Potem już zawsze sobie mówiłem: „Nic nie musisz”.

A to w ogóle tak się da?

– Trzeba próbować. Tak samo jest z aktorstwem. Jeżeli bardzo chcesz coś zagrać, to stajesz się tandetny, nieciekawym.

A tak na co dzień co to „nic nie musisz” może znaczyć?

– Uważam, że to jest związane z absolutem wolności. Mam jedno życie. I tak umrę. Nie wiem, czy jutro, czy pojutrze. Nie ma to znaczenia. Jeżeli coś mi doskwiera, to mogę tylko się uśmiechnąć i powiedzieć: „Nic nie musisz”. Nagle zyskujesz ogromną przewagę w życiu.

To jak było z aktorstwem: czuł pan, że musi stanąć przed kamerą, na scenie?

– Nie, raczej tak wyszło. Podobało mi się, że będę dostawał kwiaty, że piękne kobiety będą się we mnie kochały i latały dookoła, zresztą mówiłem o tym wielokrotnie. Wydawało mi się, że nic nie będę musiał robić. Że to jest zawód, w którym nie będzie trzeba się męczyć. Nic się nie zgadzało. Trzeba było zapieprzać. Aż strach pomyśleć, jaki człowiek był głupi, naiwny.

Szybko pan się z tego otrząsnął?

– Pierwszych sześć lat szkoły dało w dupę. Podchodziłem do różnych



BOGUSŁAW LINDA

– aktor filmowy i teatralny, znany m.in. z „Przypadku” (1981) Krzysztofa Kieślowskiego, „Kobiety samotnej” (1981) Agnieszki Holland i „Psów” (1992) Władysława Pasikowskiego.

filmów, zdjęć próbnych, ale zawsze mnie wywalali. Byłem tandetny. Poszedłem do Starego Teatru w Krakowie, miałem grać główną rolę u Swinarskiego, aż jednego dnia usłyszałem, że zginął w katastrofie lotniczej. Potem była propozycja z Wrocławia zagrania Hamleta. Tadeusz Minc, z którym robiłem

„Koczwisko” w Teatrze Polskim, zaczął mnie uczyć, na czym polega ten zawód.

Aż trafił pan do filmu.

– To było zaraz po tym, jak wystawiliśmy „Koczwisko”. Sztukę napisał Tomasz Łubieński, niepokorny, wolnościowy człowiek. Był taki moment przed stanem wojennym, że cenzura nas zdejmowała. Pojechaliśmy z tym do Warszawy, dostałem jakieś nagrody. Za kulisy weszli Andrzej Wajda, Krzysztof Kieślowski, Agnieszka Holland, Janusz Zaorski. Lepiej trafić nie mogłem. Pierwsza była „Gorączka”. Tam zagrałem inaczej, niż wtedy się grało w Polsce.

A jak się grało?

– Teatralnie. Jak był gangster, to nie mógł się uśmiechać – miał być ponury i zły. Raptem pojawiło się „nic nie musisz”. Absolutna wolność, żadnego udawania.

Współczesność na ekranie, historie wywiedzione z życia. Pan się czuł do tych

swoich bohaterów choć trochę podobny? Weźmy takiego Witka z „Przypadku”...

– Absolutnie nie. Była to dla mnie postać obca w każdym sensie. To nie byłem ja, tylko jakiś anonimowy gość z osiedla na Ursynowie. Nie wiem, czy pan wie, ale proszę zauważyć, że on nie miał życiorysu. W żadnej z trzech postaci. Był znikąd, więc był żaden. Pojawia się na dworcu z walizką, ale kim jest? Jedynym, który miał tam przeszłość, był Łomnicki. Dzięki temu on wiedział, co gra. Pamiętam, jak wytwórnia robiła pierwszy pokaz i raptem Krzysztof zrozumiał, że zrobił film o komunizmie. Musiał wszystko przemontować.

Jacek z „Kobiety samotnej” ma przeszłość.

– Tak, tak. Już od tego tatuażu zaczynając.

„Nie strzelaj do mnie”. Na plecach.

– Cholera wie, o co chodzi. Nie ma wyjaśnienia, ale jest fajny. To się ciągle pamięta, bo jest tam tajemnica. Każde wyjaśnienie by to zniszczyło.

Pamiętam też zdanie: „Jak ktoś jest inny, to jest od razu wyśmiewany”.

– Tragiczna postać, wzięta z życia. Mieszkałem wtedy we Wrocławiu i przychodził do mnie taki Roman. Facet, który naprawiał telewizory. Ja się na nim wzorowałem. Był biedny, jękał się. Nieudacznik. Patrzyłem na

względem na wszystko. Byleby jak najdłużej ich oszukiwać. Żeby myśleli, że dostaną fajne, przyjemne kino.

Zabawa w kotka i myszkę. Nie obyło się chyba bez konsekwencji.

– Połowę kariery zniszczyło mi UB. Miałem jechać do Andrzeja Wajdy na „Miłość w Niemczech”, ale pewien ubek powiedział mi: „Pan pojedzie, ale pan będzie do nas dzwonił codziennie i mówił, co się dzieje na planie”. Miałem dwójkę dzieci, żadnych pieniędzy, bez mieszkania. Nie wiedziałem, co robić, ale po chwili odpowiedziałem temu facetowi: „Wie pan co, czy mogę panu powiedzieć coś tak na ty? Spierdalaj”.

Wydawało mi się, że to jest zawód, w którym nie będzie trzeba się męczyć. Aż strach pomyśleć, jaki człowiek był głupi, naiwny.

gościa i myślałem: przecież on sobie w życiu nie poradzi. A jednocześnie jemu się wydawało, że jego życie jest piękne. To jest tragedia. Poza tym to ktoś, kogo nigdy nie widzisz na ulicy. Przemknie bokiem, kulejąc. Po to jest kamera – żeby takiego człowieka zobaczyć, że on żyje i coś czuje. Tylko dla aktora to było straszne.

Trudna rola?

– Śmieję się, że miałem dwie role, które mi wyjechały psychikę. To była „Kobieta samotna” i Strzeмиński u Wajdy. Początek i koniec. Jak zacząłem w to wchodzić, to głowa się dała. Trzeba to było przerobić. Przez dwa, trzy miesiące codziennie.

„Przypadek” i „Kobieta samotna” poszły na półki.

– Byłem królem półek. 13 filmów. Jak z tym się czuł młody aktor?

– Byłem młodym bandytą. Zupełnie mi na tym nie zależało. Powiedziałem sobie: no dobra, chcecie ze mną walczyć, to będziemy walczyć. I będę robił tylko takie filmy.

Nie bał się pan?

– Bałem się, bo miałem już dzieci.

Powiedział pan kiedyś, że „Psy” powstały z rozczarowania. A takie filmy jak właśnie „Przypadek” czy „Kobieta samotna” – z czego się brały?

– Szliśmy na ryzyko. Na wojnę. Powiedzieliśmy, że robimy film bez

Ale była szansa wyjechać.

– Jak robiliśmy „Dantona” w Paryżu, dostałem propozycję zagrania w Australii. Grała tam moja studentka Gosia Dobrowolska. Serial był słaby, ale to było jakieś 100 tys. dol. Chciałem kupić za te wszystkie pieniądze maleńką wysepkę na Morzu Śródziemnym. Nie dostałem wtedy wizy. W „Kobiecie samotnej” pada takie zdanie: „A co to jest takiego specjalnego ta Polska? Tu nic nie ma. Gdzie indziej też można żyć”.

Pan nie chciał gdzie indziej?

– Byłem w Paryżu, tam siedziałem w stanie wojennym. Miałem agentkę, dobre warunki. Mieszkałem w 300-metrowym mieszkaniu milionera, z dwoma kotami, służącą. Pięknie mi się tam mieszkało, ale musiałem to sobie wywalczyć. Wcześniej wsadzili mnie do małej kłitki nad chińską restauracją. Miałem tam siedzieć ponad pół roku. Bez pieniędzy. Diety mieliśmy najniższe. Na nic nie starczało. Potem była ta willa, ale wiedziałem, że jak się skończy film, to mnie wykopią i znowu wyląduję w tym pokoju, co mi proponowali na początku.

I wrócił pan.

– Nie interesowało mnie bycie w tym zawodzie na warunkach francuskich, niemieckich czy australijskich. Trzeba by latać po agencjach,

ustawiać się w kolejkach, robić zdjęcia próbne. Nawet jakby się udało, nigdy nie byłbym w tych filmach prawdziwy. Wróciłem. Pierwszym samolotem po zakończeniu zdjęć. Na lotnisku czekali na mnie Przemek Gintrowski i Krzysiu Zalewski. Pierwszą rzeczą, jaką mi podali, była flaszka ciepłej wódki i długie carmeny. Niepodzielone. Poobcinaliśmy, zapaliliśmy, napiliśmy się z flaszki. I się spłakałem.

Bo?

– Bo wróciłem. Było, jak było, ale przynajmniej u siebie.

Z czasem wiele tu się zmieniło.

Na tej zmianie wypłynęły „Psy”.

– Wie pan, znaleźliśmy się w Europie. Komuna odeszła, odzyskaliśmy wolność. Od tej pory wszyscy mieli być uczciwi, na górze mieli nami dobrze rządzić. Czułem, że zrobiłem słusznie z tym powrotem. Moi kumple, którzy pozostawali, zaczęli z powrotem przyjeżdżać. Od Jacka Kaczmarskiego zaczynając. A potem się okazało, że my wszystko potrafimy spieprzyć.

To jest to rozczarowanie, z którego wzięły się „Psy”. Nowa Polska, nowy pan.

– Niektórzy dziennikarze rozdzielali to obrazowo. Pierwsze filmy, te 13 na półkach, działały w bloku na Ursynowie. Grałem samotnego inżyniera, była bieda itd. Potem „Psy” – grałem ubeka i piłem szampana. Niby przeskok, ale treść niczym się nie różni. Dla mnie to nie był film gangsterski. Miałem poczucie, że dalej jestem w kinie moralnego niepokoju.

Byłem królem półek. 13 filmów.

To już nie było oczywiście to kino, które robiliśmy z Krzysiem i Agnieszką. Było to kino w nowej wolności, które nie mówiło o instytucjach, o politykach, ale dokładnie tak samo jak kiedyś – o ludziach. Robiliśmy film o tym, że ludzie są zawsze tacy sami. Nieszczęśliwi, biedni, nieudani. Nie zmieniło się jeszcze jedno – nie mogliście pokazać tego filmu.

– Ze względu na to, że ubek w głównej roli. Że „Janek Wiśniewski padł”.



► Ale potem tak się rozkręciło, że trudno było tę karuzelę zatrzymać.

– Raptem to się otworzyło. Pełne sale w kinach. Ludzie autobusami trzęśli, przewracali. Krzyczeli: „Franz, wychodź!”. Dużo przygód.

A pan lubi w ogóle tego Franza? Pytam, bo przypomina mi się taka scena z „Kobiety samotnej”, w której pana bohater pyta syna tytułowej bohaterki: „Co, Boguś, będziesz malarzem?”. Na co



„Psy” to był film o tym, że ludzie są zawsze tacy sami. Nieszczęśliwi, biedni, nieudani.

dzieciak odpowiada: „Nie, będę ubekiem”.

– Ludzie są ludźmi. W każdym zawodzie są dobrzy i źli. Tyle. Nie można skreślać kogoś tylko dlatego, że jest w jakimś zespole: milicji, policji. Ta służba ma coś takiego, że część ludzi idzie tam, żeby chronić i pomagać. Reszta po to, żeby zrobić karierę. Tak jest świat skonstruowany.

W tym roku mija 30 lat od premiery „Psów”, filmu, który, jak już usta-

liliśmy, powstał z rozczarowania. Ta gorycz została?

– Tak.

Ma pan pomysł na to, jak w tym się odnaleźć?

– Nie mam pomysłu. Dorosłem i wiem, że nie można zmienić tego narodu. „A to Polska właśnie” – Wyspiański, jakby ktoś nie wiedział.

Nie można, mimo to zabiera pan głos na temat Kościoła, mówi o sytuacji osób LGBT+. To jest repre-

zentowanie pewnej sprawy. Jak to się ma do „nic nie musisz”?

– Bo tak uważam, ale nie mam potrzeby się angażować. Zachowuję dystans, na ile można. Tak naprawdę jestem samotnikiem. Lubię uciec od ludzi. Powinienem być teraz na łódce i płynąć do knajpy w Chorwacji, w której podają trufle. Sam też uwielbiam kucharzyć. Jeździć konno, postrzelać. To jest moje życie. Nie interesuje mnie polityka. Nie obchodzi mnie aktorstwo, kariera, przeglądanie się w lustrze. Życie jest poza filmem.

A jednak ponad 100 tytułów na koncie. Grał pan na pełnym gazie, jakby w gorączce.

– Byłem bezzwzględny. Jeżeli w coś wchodzisz, to idziesz do końca. Poza tym trzeba być lekko pojebanym. To jest zawód, który nie wybacza.

Było warto?

– Myślę sobie, że gdybym tego nie miał, to teraz, w wieku 70 lat, bym tu siedział i co miałbym wspominać? Z życia zostaje tylko to, co przeżyjesz. Na końcu się o tym dowiadujesz.

A ten rozgłos, który przyszedł z siłą uderzenia? Prosił się pan o to?

– Mówiłem, jak jest z kobietami i miłością?

Nie.

– To jest tak – poznajesz kobietę. Zakochujesz się. Ona widzi te twoje czerwone policzki, że nie wiesz, co powiedzieć. Albo jak ci ręce latają. A teraz odwrotnie – poznajesz kobietę. Zakochujesz się, ale postanawiasz być zdystansowany. Wtedy ona się w tobie zakochuje. Tak samo jest z kinem. Nie możesz kochać roli aktora. Musisz mieć to w dupie.

Nic nie muszę.

– Nic nie muszę, mogę wszystko.

Mateusz Demski

Bogusław Linda był gościem 22. Międzynarodowego Festiwalu Filmowego Nowe Horyzonty we Wrocławiu, gdzie wziął udział w retrospektywie twórczości Agnieszki Holland.

NA EKRANACH

Iluzja

reż. Marta Minorowicz, prod. Polska, już w kinach

Nie jest jasne, co tak naprawdę z nią się stało. Pewnego dnia wyszła z domu i już nie wróciła. Hanna i Adam od lat szukają zaginionej córki. Bezskutecznie. Trop się urwał, policyjne śledztwo utknęło w martwym punkcie, pozostaje liczyć na cud. Marta Minorowicz w „Iluzji” pokazuje, z czym muszą się mierzyć osoby, których bliscy zaginęli w niewyjaśnionych okolicznościach. Kiedy poszukiwania trwają latami i racjonalne metody się kończą, ludzie zaczynają doszukiwać się wszędzie podpowiedzi, znaków, poszlak. Niekiedy irracjonalnych. Reżyserka wytwarza wokół bohaterów nastrój zawieszenia, bezcelowości podejmowanych prób, ale daje im też szansę na przekucie cierpienia w coś budującego. Kiedy Hanna zdaje się wyczerpana, pojawia się okazja, by pomóc nie tyle sobie, ile komuś innemu, a przy tym pogodzić się



z własną stratą. Agata Buzek i Marcin Czarnik stworzyli świetny duet na ekranie. A Marta Minorowicz – fabularny debiut pełen niedopowiedzeń i pytań, na które nie ma łatwych odpowiedzi.

Mateusz Demski

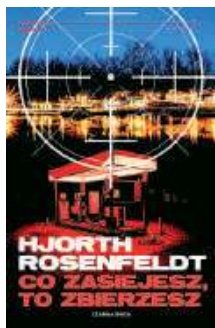
MIĘDZY OKŁADKAMI

Michael Hjorth,
Hans Rosenfeldt**Co zasiejesz, to zbierzesz**

tłum. Maciej Muszański

Czarna Owca, Warszawa 2022

Oto jest: Hjorth i Rosenfeldt tom siódmy. Co porabia Sebastian Berg-



man, najbardziej nieznosny profiler, jakiego stworzyła pisarska wyobraźnia? Wyludza spotkania z wnuczką i – chcąc nie chcąc, z naciskiem na nie chcąc – przyjmuje pacjentów jako psycholog. Ustatkował się,

jak na niego; flirtuje... z myślą o byciu szczęśliwym, ale śledztwo też go czeka – poważne, wewnętrzne. Takie, na które zanosilo się mniej więcej od „Niemowy”. Wprawdzie Krajowa Policja Kryminalna, kierowana teraz przez jego córkę, wyruszyła bez niego łapać snajpera, który na własną rękę wymierza sprawiedliwość, lecz to dopiero przygrywka. Spokojne dziadkowanie nie było Sebastianowi pisane. Autorzy zaś piszą mu następne tarapaty; będziemy czekać na tom ósmy.

Aleksandra Pańko

BYLIŚMY

56. Festiwal Pianistyki Polskiej w Słupsku

Od 3 do 8 września w Słupsku trwały koncerty i recitale 56. FPP. Podczas inauguracji melomani wysłuchali „Fantazji na tematy polskie” Chopina i „IV Symfonii koncertującej na fortepian i orkiestrę” Szymanowskiego. W obu utworach solistą był Mateusz Krzyżowski, 23-letni półfinalista ostatniego konkursu chopinowskiego. Atrakcją wieczoru otwierającego była „Fantazja na fortepian i orkiestrę” Debussy’ego, którą brawurowo wykonał Artur Jaroń. W ramach 48. Estrady Młodych odbyło się sześć półrecitali. Jan Popis, dyrektor artystyczny FPP, podkreśla, że nie ma w kraju drugiej imprezy, która z równą konsekwencją promowałaby pianistyczne talenty. Na zakończenie festiwalu występowali solo laureaci Estrady Młodych. Podczas wieczoru finałowego utwory Tadeusza Szeligowskiego oraz Johanna Sebastiana Bacha zagrali pianiści Bogdan Czapiewski, Natalia Zaleska, Joanna Kaczmarek-Bieżyńska i Piotr Sałajczyk. Towarzyszyła im Orkiestra Polskiej Filharmonii Symfonia Baltica im. W. Kilara. Dyrygowali Mirosław Jacek Błaszczak i Szymon Morus.



Andrzej Maślankiewicz

Gwiazdy opery z Lublina

Lublin nie ma własnej opery, ale w Centrum Spotkania Kultur jest spora sala operowa. Tutaj odbywał się III Międzynarodowy Konkurs Wokalny im. Antoniny Campi z Miklaszewiczów. Patronką konkursu była w XVIII w. operową gwiazdą światowego formatu, natomiast jury konkursowemu przewodniczyła lublinianka Ewa Vesin, jedna z najlepszych współczesnych sopranistek. Zwycięzczyni konkursu Justyna Khil z pewnością też będzie gwiazdą.

Bronisław Tumiłowicz

Kolumnę przygotowała
Agata Gogółkiewicz

Przełomowe pomysły i kłopotliwa cisza

Duet sarmat-awangard, kindżały i cirkon

Wojciech Łuczak

To wiadomość z pierwszej ręki. Prosto z Moskwy. Wielu doświadczonym pracownikom rosyjskiej zbrojeniówki zaproponowano dość szczególne putiówki, czyli długie delegacje. Oficjalnie na tereny „oswobodzone” w efekcie tzw. operacji specjalnej w Ukrainie. Delegacje znakomicie płatne. Za kilka tygodni pracy można zarobić tyle, ile za pół roku w fabryce. Wszystko po to, by w rejon wojny zwabić doskonałych fachowców z Uralu. Niezbędnych do serwisowania i utrzymania w jakiejś kondycji technicznej sprzętu bojowego zużywającego się błyskawicznie na froncie.

Tak w Rosji werbuje się do pracy – w warunkach coraz bardziej niebezpiecznych ze względu na możliwy ostrzał amerykańskimi pociskami z wyrzutni systemu HIMARS – fachowców niezbędnych na drugiej czy trzeciej linii wsparcia działań. Bez nich stanie każda machina wojenna. A serwis i dostawy części zamiennych to ogromna bolączka rosyjskiego przemysłu zbrojeniowego. Wiedzą o tym zwłaszcza jego zagraniczni klienci. Teraz od tego zależy sprawność rosyjskiego walca, który coraz bardziej ospale przetacza się przez wschodnią Ukrainę. Stąd rozpaczliwe poszukiwania doświadczonych serwisantów. Zwłaszcza z terenów, gdzie płace nie są najwyższe.

W rosyjskiej zbrojeniówce, jak wszędzie na świecie, średnia wieku doświadczonych inżynierów i techników jest coraz wyższa. Z informacji moskiewskich wynika, że z putiówek do Ukrainy może skorzystać część starszych pracowników z Uralu, aby w ten sposób podreperować domowe budżety czy wreszcie zarobić na

własne mieszkanie. I o to chodziło tym, którzy to wszystko wymyślili.

Uważne spojrzenie na pewne niedyskrety w oceanie hurraoptymistycznych wiadomości zapętlających rosyjskie serwisy pozwala na właściwą ocenę tego, co się dzieje w rosyjskiej zbrojeniówce.

Deal na wczoraj

„Washington Post” doniósł jako pierwszy piórem swojego publicysty Davida Ignatiusa o dostawie do Rosji drogą lotniczą 19 sierpnia pierwszej partii irańskich dronów rozpoznawczych i uderzeniowych Mohadžir-6 oraz Szahid-129 i 191. Deal obejmujący natychmiastowy transfer bezzałogowców w zamian za rosyjskie myśliwce Su-35SM obgadano w trybie błyskawicznym w attachacie wojskowym ambasady Federacji Rosyjskiej w Teheranie. Rosja już teraz, mimo szumnych zapowiedzi i deklaracji o rozwoju własnych bojowych bezzałogowych statków latających, potrzebuje setek dronów dużego zasięgu, aby zneutralizować kilka rodzajów broni paraliżującej jej drugą i trzecią linię. Amerykańscy analitycy konkludują, że Moskwa nie może sobie poradzić z dostawami coraz bardziej deficytowych na świecie podzespołów elektronicznych. Ale jest to także ewidentny sygnał, że mimo budowy co najmniej kilkunastu demonstratorów technologii obiecujących modeli bojowych bezzałogowców Moskwa nie może wyjść z fazy ich rozwoju i przystąpić do masowej produkcji. To nowa odłona kolejnej dobrze znanej słabości.

Nie ma wątpliwości, że rosyjscy konstruktorzy i rosyjska zbrojeniówka mogą się poszczycić wieloma przełomowymi pomysłami, które – czasami kosztem życia i zdrowia zespołów

projektowych, vide wstrząsające promieniotwórczością czy podwodnym całopaleniem wypadki na poligonach – doprowadzane są do fazy badanych coraz dłużej prototypów. Te są reklamowane, czasami przez samego Putina podczas spektakularnych, szokujących glob wystąpień, jako coś, co nie ma odpowiednika w świecie zachodnim. Potem jednak, mimo kolejnych podawanych publicznie terminów uruchomienia ich seryjnej produkcji i wprowadzenia do służby – następuje kłopotliwa cisza.

Testy i obietnice

Praktycznie każdy nowy, fetowany publicznie rodzaj uzbrojenia przebywa taką drogę. Wypada przypomnieć los superczołgu T-14 Armata, który był testowany w Syrii i miał być produkowany już w 2020, 2021 i 2022 r. w setkach, a nawet tysiącach egzemplarzy. Nie wszedł jednak szeroko do elitarnych jednostek 1. Gwardyjskiej Armii Pancernej. A teraz od lata, od moskiewskiego salonu Armia 2022, oferowany jest agresywnie potencjalnym zagranicznym klientom (Indie, Algieria). Dla Rosjan T-14 jest za drogi, a na eksporcie można zarobić na uruchomienie w miarę masowej produkcji. Tak samo jest z projektem nowego myśliwca frontowego Su-75 Szach-mat. To na razie tylko wizja samolotu, ale podczas Armii 2022 podano, że Rosja mogłaby uruchomić jego produkcję na miejscu u klienta, który zdecydowałby się wyłożyć swoje pieniądze na jego rozwój. Moskwa uczy się w przyspieszonym tempie od Amerykanów, którzy kiedyś sprzedawali potencjalnym partnerom projekt swojego F-35. Bo dziś nikt samodzielnie, może z wyjątkiem Chin, nie jest w stanie wyprodukować



Rakieta Sarmat razem z pociskiem Awangard stanowić ma nową atomową pięść Rosji.

Superczołg T-14
Armata oferowany
jest Indiom i Algierii.
Dla Rosjan jest
za drogi.

najnowszego samolotu bojowego. Dotyczy to także Koreańczyków i ich maszyn, które pewnie zobaczymy na naszym niebie.

W marcu 2018 r. Putin oznajmił, że hipersoniczny, szybujący pocisk międzykontynentalny Awangard, wynoszony przez rakiety balistyczne, manewrujący w ostatniej fazie ataku, a więc teoretycznie wymykający się systemom obrony, jest już w produkcji (rozwój opóźnił się znacznie z uwagi na konieczność zastąpienia jego ukraińskiego układu sterowania). W 2019 r. dyżur operacyjny miała rozpocząć pierwsza jednostka raketowa (31 wyrzutni) wyposażona w duorakiety Jars na mobilnych stanowiskach startowych, z awangardami w roli główki bojowych. Tymczasem oficjalny kanał telewizyjny Wiedza pokazał w... styczniu 2022 r. załadunek (pod koniec 2021 r.) kontenera z pociskiem międzykontynentalnym 15A35-71, przenoszącym awangarda, do podziemnego silosu startowego w obwodzie orenburskim. Od wielu lat wiadomo, że pierwszą formacją Strategicznych Sił Rakietowych wyekwipowaną w system Awangard miał być 621. pułk 31. Dywizji Rakietowej stacjonujący w okolicach wsi Jasnyj. W grudniu 2019 r. dostał pierwsze dwa pociski, następne dwa w grudniu 2020 r., a kolejne dwa w grudniu 2021 r. Co oznacza pełną obsadę sześciu stanowisk startowych jednostki. Czyli gotowość operacyjną uzyskał on dopiero w 2022 r.?



Wedle zapowiedzi Putina Strategiczne Wojska Rakietowe miały otrzymać już teraz nową superrakię międzykontynentalną – Sarmat. Pocisk o masie startowej ponad 200 ton i zasięgu operacyjnym 18 tys. km, który mógłby zaatakować zachodnią półkulę lotem nad biegunem południowym. Sarmaty w roli nosicieli awangardów miały zastąpić poprzednie rakiety, w tym wojewody, opatrzone w NATO efektywnym mianem satanów. Pierwotna data operacyjnej gotowości sarmatów – pocisków, w których konstrukcji starano się wyeliminować wszelkie zagraniczne komponenty, a zwłaszcza silniki manewrowe wytwarzane w ukraińskim Dnipro – to rok 2020.

Potem wyznaczono następną – 2021 r. A jednak rosyjska telewizja – od 20 kwietnia 2022 r. – przez cały tydzień na czołówkach wiadomości po tysiącokrotnie powtarzała sekwencję pierwszego udanego startu sarmata z podziemnego silosu kosmodromu Plesieck, symulacji odpalenia tej broni w warunkach bojowych. Według planu przedstawionego Putinowi w 2021 r. miały się zakończyć wszelkie próby, a pod koniec roku 2022 nowe cudowne strategiczne duo sarmat-awangard miało wejść do uzbrojenia. Tymczasem dykcja Roskosmosu poinformowała, że w roku bieżącym należy się spodziewać co najmniej trzech dalszych testów samego sarmata. O próbach ▶

► z awangardem na pokładzie na razie cicho. A trzeba przypomnieć, że każda taka próba musi być notyfikowana i znana także Amerykanom, aby nikt nie wziął jej za początek ataku jądrowego i końca świata. Jest więc śledzona bardzo pilnie.

Para w ruch, kofa – stop

W epoce Putina świat jest straszony kolejnymi projektami rosyjskiej *Wunderwaffe*. A szukające sensacji media ochoczo rozdmuchują te strachy. Kiedy jednak według założeń Moskwy trzeba przejść do fazy produkcji, wymagającej precyzyjnego planowania, wyśmienitego zarządzania i sprawnej organizacji, a przede wszystkim ogromnych, rozsądnie wydawanych pieniędzy – propaganda para gdzieś ulatuje. Czymże innym było kilkukrotne uroczyste wodowanie atomowych okrętów

o niezadowoleniu Rosjan z pozyskanego w panicznym tempie sprzętu, dementował osobiście rzecznik prasowy Kremla Dmitrij Pieskow. Ale... niemal natychmiast dziennik „Izwestia”, uważany w Rosji za tubę resortu obrony i medium najlepiej poinformowane w kwestiach obronności, opublikował ciekawą analizę walorów bojowych irańskich dronów Mohadżir i Szahid. Użyto głosu eksperta – Jurija Liamina, który ocenił cechy tych bezałogowców z punktu widzenia przyszłego użytkownika, a dyrektor generalny koncernu zbrojeniowego Kałasznikow Władimir Liepin poinformował agencję Nowosti, że tak potrzebny w Ukrainie do zwalczania wyrzutni HIMARS dron kamikadze KUB-BLA przeszedł już próby państwowe i jest gotów do przyjęcia do uzbrojenia. Newsa zilustrowano filmem dowodzącym udanego ataku na obsługiwane przez Ukraińców

amerykańskie lotniskowce i krążowniki. Okręty to nie wielohektarowe składy amunicji. Szojgu bawiącemu w Pietropawłowsku Kamczackim wyrwało się, że przy uruchamianej produkcji seryjnej kindżałów zostaną wzięte pod uwagę doświadczenia z operacji ukraińskiej. Wniosek z tego taki, że mamy chyba do czynienia z prototypową partią tego systemu broni. Skutecznej, wynoszonej na dużą wysokość i rozpędzanej przez niezwykle szybkie samoloty, manewrującej, trafiającej w ostatniej fazie ataku z szaloną, wykluczającą obronę prędkością 10 machów, ale nadal testowanej operacyjnie. I dopiero doskonałej, bo to przecież nic innego jak rozwój znanego pocisku balistycznego Iskander.

Rewolucyjny pocisk morski Cirkon, o zasięgu 1000 km, który może być rozpędzony do dziewięciokrotnej prędkości dźwięku, miał się znaleźć na pokładach rosyjskich okrętów już w 2020 i 2021 r. 28 maja 2022 r. rosyjskie ministerstwo przekazało film prezentujący trafienie hiperdźwiękowego cirkona w ćwiczebny cel na Morzu Białym. Jednak dopiero w lipcu, podczas parady morskiej w Petersburgu, Putin zapowiedział, że jako pierwsza w cirkony zostanie uzbrojona Flota Czarnomorska. „W okresie najbliższych miesięcy”. Nie miejmy złudzeń, to było ostrzeżenie pod adresem i Kijowa, i Waszyngtonu. Cios nie do odparcia może zostać wyprowadzony z rejonu Morza Czarnego. Ale czy te „najbliższe miesiące” to rok czy dwa? A może więcej?

Moskwa triumfalnie oznajmiła, że letni salon zbrojeniowy Armia 2021 odwiedziło ponad 700 przedstawicieli zagranicznych resortów obrony (liczono z pewnością także attaché wojskowych akredytowanych w Moskwie), 85 państw wysłało swoje delegacje wojskowe, w tym 18 bardzo wysokiego szczebla. Rosoboronexport podpisał jednak tylko dwa duże kontrakty eksportowe o łącznej wartości 390 mln dol. Rosjanie twierdzą, że ogromnym zainteresowaniem cieszył się sprzęt zaangażowany w wojnę w Ukrainie. I to jest najlepszą jego rekomendacją. Cóż...

Dziś nikt samodzielnie, może z wyjątkiem Chin, nie jest w stanie wyprodukować najnowszego samolotu bojowego.

podwodnych, które potem trzeba było szybko wstawiać do stoczni? Albo niemal utopienie w stoczni jedyne rosyjskiego lotniskowca, „Kuzniecowa”, przechodzącego gruntowny remont po wyprawie śródziemnomorskiej? Przy czym skończyło się to utratą największego pływającego doku w północnej Rosji. Zwolniono dyrektora zakładu, skazano dopiero w ubiegłym roku, w wyniku dziwnego procesu, operatora doku, a ten tłumaczył się, że w krytycznym momencie zabrakło prądu. Przy okazji na skutek śledztwa dziennikarskiego wyszło na jaw, że dwa myśliwce operujące z pokładu „Kuzniecowa”, Su-33 i MiG-29K, utracono nad Morzem Śródziemnym na skutek wad fabrycznych systemu pokładowych lin hamujących, wyprodukowanych przez petersburski Proletarskij Zawod. Sfałszowano testy wytrzymałości podrobionej stali...

Coś w tym wszystkim nie gra. Informację „Washington Post” o alarmowych dostawach irańskich dronów bojowych dla wojsk rosyjskich, okraszoną potem przeciekami

stanowisko amerykańskiej haubicy M777 w okolicach wsi Podgornoje. Prototyp więc wypróbowano w boju, ale seryjna produkcja podobno ma się rozpocząć pod koniec tego roku. Podobno.

Co jest z tymi kindżałami?

Czy coś jest nie tak z moskiewską deklaracją o przerzuceniu do bazy w Czałtowsku w obwodzie kaliningradzkim, tuż za naszą granicą, innego rosyjskiego cudownego duetu – trzech myśliwców MiG-31K z rakietami hiperdźwiękowymi Kindżał? Ukraiński wywiad przypuszcza, że Moskwa dysponuje nie więcej niż 20-30 kindżałami. Trzy pociski odpalono spod kadłubów migów przeciwko magazynom amunicji w Ukrainie. Potwierdził to oficjalnie minister obrony Rosji Siergiej Szojgu. Były również pogłoski o wypuszczeniu dwóch lub trzech kindżałów z bombowców Tu-95 przeciwko Odessie. Trafiono na pewno w duże cele, a nie w małe obiekty. A przecież team mig-kindżał powołano do życia, aby topić

Wojciech Łuczak



Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Kociarz pod prysznicem

Mam tak przeraźliwą alergię na koty, że nawet podczas kontaktu z kociażkami w neutralnej przestrzeni zaczynam kichać, no bo oni noszą na sobie alergeny, wszak w domach miętoszą te zwierzęta, pieszczą się z nimi, sypiają, dają się lizać na pożegnanie, więc wszystko, co na siebie włożą, jest przesiąknięte kociością, w dodatku mają kota na punkcie kota (jak pisała babcia Osiecka) i mnie to się udziela nader drażniaco. Jak kibice się dzielą na fanów Barcelony lub Realu, miłośnicy kontratenorów na wyznawców talentu Jaroussky'ego lub Scholla, tak zwierzoluby są psiarzami lub kociażkami – to są podziały radykalne i nie ma w nich miejsca na kompromis. Kto twierdzi, że jedno nie wyklucza drugiego, niech gada zdrów, ja tam uważam, że kociaż i psiaż w jednym to jak wyznawca PO-PiS (młodszym przypomnę, że przed 17 laty powszechnie w Polsce wierzono w taką właśnie koalicję rządzącą) – osobnik dziś cokolwiek podejrzany i niewiarygodny. Tolerować się trzeba, szanować można, ale głosować na dwie ręce nie ma możliwości – jeśli masz w genach miłość do psów, koty cię drażnią – i odwrotnie, kogo miauczenie koi, temu szczekanie doskwiera. I niech mi tu żaden św. Franciszek nie wychyla się z protestem, niech mi weterynarze i właściciele azylów nie wciskają kitu; owszem, wszystkie zwierzęta mnie wzruszają bardziej niż ludzie, nie czynię tu różnicy między padalcem i szympansem, muchę wolę wygonić przez okno, niż potraktować packą, ale jedno jest dla mnie pewne: pies albo kot, żona albo kochanka, Rosja albo Europa, koniec, kropka, nie wszystko w życiu da się pogodzić.

Kociarz nie może odwiedzać w domach, nawet tych bytów, którzy są jeszcze w żalobie po zwierzątku, co to wybrało wolność – alergeny pozostają w mieszkaniu aż do gruntownego remontu, przemalowania ścian i wymiany parkietów. Ba, nie mogą wsiadać do auta, w którym choć raz wieziono kota do weterynarza, to już kwestia nie natychmiastowego kataru, ostatecznie do zniesienia, ale zaatakowanych spojówek, o ich zapalenie nietrudno, a świerzbiąca ślepotą poważnie ogranicza funkcjonowanie. Wiem zatem, że przenigdy nie ugości mnie Jarosław Kaczyński, albowiem, gdybym nawet oszalał na stare lata i nie marzył o niczym innym niż kolacja z emerytowanym zbawcą narodu, gdybym nawet w patriotycznej loterii Poczty Polskiej wykupił wszystkie losy i wygrał uścisk dłoni Prezesa, nie dane mi będzie, organizm nie pozwoli. Natychmiast zalałbym się łzami, smarakać na naczelnika także nie przystoi, och, do końca życia będę musiał tęsknie wzdychać do okien żoliborskiej willi przy Mickiewicza zza płotu.

Jakoś z tym trzeba żyć; na zamachowca też się nie nadam, bo albo niczym Kordian u drzwi sypialni cara sam padłbym zemdlony

pod naporem objawów alergicznych, albo zdradziłbym się wcześniej głośnym kichnięciem i został powalony przez ochronę. Jeśli zatem w najpilniej strzeżonym w naszym kraju albumie pamiątkowych fotografii znajduje się ta, na której zatrzymano na wieki chwilę wspólnej kąpieli przyszłego wodza i jego wojaka, nie mnie dane będzie ją wydobyć na światło dzienne w jakowejś *mission impossible*. Skądinąd, jeśli Kaczyńskiego nie skompromitowało dotąd nic, co napłócił przez dekady, jeśli nie dyskwalifikuje go w oczach wyborców nawet to, że jawnie już zmierza do wywrwania ojczyzny ze szponów brukselskich drapieżców, a nawet wyjeżdża z potępieniem „zgnitego Zachodu” językiem swoich peerelowskich protoplastów – domniemany homoseksualizm też by mu nie zaszkodził. Taką przynajmniej mam nadzieję, bo jeśli naród odwróciłby się od swego przywódcy wyłącznie ze względu na jego seksualne preferencje, marną wystawiałoby to narodowi ocenę. PiS jest stanem umysłu, tu żadnej kontrrewolucji ani tym bardziej konwersji nie będzie – jeśli wierni wciąż tłoczą się w kruchcie pomimo pedofilskiej zarazy w kościele,

Pies albo kot, żona albo kochanka, Rosja albo Europa, koniec, kropka, nie wszystko w życiu da się pogodzić.

jeśli nie palą świątyń mimo powszechnej wiedzy, że księża są raczej homo- niż asekualni, cóż może zmienić jedna pamiątka spod prysznica Jarosława Kaczyńskiego? A niechby i paradował nago po Warszawie z całą kompanią honorową Wojska Polskiego, a potem urządził sobie z jej członkami seksparty przerywane degustacją potraw upichconych przez szefową Trybunału Konstytucyjnego! Zyskałby na tym tylko, bo betonowy elektorat – jak sama nazwa wskazuje – łatwo się nie wykrusza, a tak niespodziewane dowody bujnego życia prywatnego mogłyby skłonić do głosowania antyliberalną część środowiska LGBT.

Problemem Kaczyńskiego nie jest życie, lecz jego brak – to istota wydrążona, w której wszystkie cechy człowiecze zastąpił ucieleśniony fantazmat autokraty. Dlatego jest tak szalenie niebezpieczny, że nie ma nic do ukrycia, a tym bardziej do stracenia – bez stałego podsycania wojny domowej, w kraju uśpionych upiorów i rozbudzonego rozumu, wyładowałby na śmietniku historii. Gdyby znalazł się choć jeden ślad jego życia prywatnego, który nie byłby wytworem propagandy na podobieństwo pelerynkowych wycieczek w góry lub sweterkowych przepływek jachtem, gdyby znalazła się choć jedna klisza z frywolnym Kaczorem, który folguje pokątnym pragnieniom – odechnąłbym z ulgą. Nie miałbym wtedy wrażenia, że rządzi Polską socjopata, który, gdy zacznie tonąć, bez wahania pociągnie ze sobą nas wszystkich. ■



Iluzja pokoju

Wojna to konflikt, skutek którego ginie co najmniej tysiąc osób rocznie.
Świat jest pełen takich wojen

Marcin Ogdowski

Do lata 2008 r. wojna była dla większości Europejczyków bardzo abstrakcyjnym pojęciem. Owszem, ich armie brały udział w odległych konfliktach, lecz dotyczyło to niewielkich odsetków populacji. Jednak rosyjski atak na Gruzję – mimo że na chwilę wywołał ferment w opiniach publicznych – szybko przestał być powodem do zmartwień. Wojnę stoczono daleko, gdzieś na pograniczu z Azją, a jej skutki ekonomiczne i demograficzne miały symboliczny wymiar. Sześć lat później to samo myślenie zwyciężyło w postrzeganiu krwawych zmagania w Donbasie – nawet środkowo-wschodni Europejczycy w większości uznali je za coś, co ich nie dotyczy. Aż nastał 24 lutego br. i armia Putina dokonała pełnoskalowej inwazji na Ukrainę. Dziś za naszą wschodnią granicą toczy się

konflikt zbrojny o intensywności, której kontynent nie doświadczył po 1945 r. Jego konsekwencje nie rozkładają się równomiernie, te ekonomiczne właściwie dopiero przed nami, ale jasne jest, że wojna ponownie zakotwiczyła się w codzienności mieszkańców Europy. Nie trzeba spadających na głowę bomb, by wiedzieć, że trwa.

Kiedy to już wojna?

Tyle że to nasza europocentryczna perspektywa, fałszywe z gruntu przekonanie o świecie, w którym niemal bez wyjątku panuje pokój. Nieistniejący już niemiecki Instytut Badania Przyczyn Wojny (AKUF) podawał, że w 2010 r. toczyły się 32 konflikty zbrojne, z czego 90% miało miejsce w państwach Trzeciego Świata; w 2011 r. ich liczba wzrosła do 36, rok później wynosiła 34.

16 mln Jemeńczyków żyło na granicy głodu. 10-letni Hassan Razem z północno-wschodniej prowincji Hajjah. 22 lipca 2022 r.

W 2013 r. AKUF zarejestrował 30 wojen o różnej intensywności. Przeglądając europejskie gazety z tamtych lat, znaleźć można jedynie ślad tych dramatów – stosunkowo nieliczne doniesienia z Iraku i Afganistanu, których zapewne byłoby jeszcze mniej, gdyby nie udział zachodnich wojsk. 2014 okazał się rokiem 31 konfliktów. Najkrwawszy rozgrywał się w Syrii, przy niewielkim zainteresowaniu europejskiej opinii publicznej. Ta przecknęła się w kolejnym roku. Wtedy ponad milion Syryjczyków ruszyło na bezpieczny kontynent w poszukiwaniu lepszego życia. W takich okolicznościach powstała presja na rządy, „żeby wreszcie zrobiły coś z Syrią”. W przypadku krajów skupionych w NATO skończyło się na ograniczonej misji wojсковej, powołanej do zniszczenia Państwa Islamskiego (ISIS).

W zeszłym roku liczba ofiar śmiertelnych starć zbrojnych i zamachów terrorystycznych wskazywała na stan wojny w 20 krajach świata. Według naukowców ze szwedzkiego Uniwersytetu w Uppsali – gromadzących dane związane z przemocą zorganizowaną – za wojnę należy uznać konflikt, na skutek którego w roku kalendarzowym ginie ponad tysiąc osób. W przypadku Afganistanu „limit” ów w 2021 r. przekroczono 41 razy – tyle kosztowała przede wszystkim droga talibów do ponownego objęcia władzy, rozpoczęta wiosną, a zakończona wejściem do Kabulu w połowie sierpnia ub.r. W tamtym czasie walczone też w Jemenie, gdzie od 2014 r. (aż do dziś) trwa wojna domowa wzniecona przez powstańców z szyickiego ruchu Huti. Według ONZ tylko w minionym roku kosztowała ona życie 22 tys. osób, sprawiając jednocześnie, że aż 16 mln Jemeńczyków żyło na granicy głodu. Tragiczna sytuacja humanitarna to okrutny paradoks, bo Jemen sąsiaduje z niezwykle zasobną Arabią Saudyjską (która przy wsparciu logistycznym USA jest stroną konfliktu,

przeciwną powstańcom). Podobnie można określić sytuację w Nigerii – jednym z najbogatszych w zasoby naturalne krajów świata – gdzie w 2021 r. aż 9,3 tys. osób zginęło na skutek wojny z terrorystyczną organizacją Boko Haram.

Odwrócony rozwój

Ale po drugiej stronie nie zawsze stoją żołnierze, partyzanci czy terroryści – wojna może mieć również postać zmagania z pospolitymi

żadnego wsparcia, które zapobiegłoby powrotowi terrorystów.

Jest więc Somalia nadal na liście państw objętych działaniami zbrojnymi – i to wysoko. Wymienia się ją w najnowszej „Mapie wojny” Grupy Banku Światowego (WBG), zaprezentowanej w marcu br. podczas Fragility Forum 2022. Prezes grupy David Malpass wyliczył wówczas konflikty o wysokiej lub średniej intensywności, toczące się w 23 państwach, w których łącznie mieszka 850 mln ludzi (czyli jedna dziewią-

Konflikty o wysokiej lub średniej intensywności toczą się w 23 państwach, w których łącznie mieszka 850 mln ludzi.

przestępcami. Z taką sytuacją mamy do czynienia w Meksyku, którego władze od dekad borykają się z kartelami narkotykowymi, a od 2006 r. prowadzą z nimi regularną wojnę. W zeszłym roku pochłonęła ona 7,7 tys. ofiar, a multimedialne zapisy potyczek budzą skojarzenia z partyzanckimi walkami miejskimi. Bojówki narkotykowych baronów są świetnie wyposażone, także w broń przeciwlotniczą, odkąd policja i armia używają wobec nich śmigłowców. Niektóre maszyny spadają, a kadry niczym z „Black Hawk Down” (pol. „Helikopter w ogniu”) – fabularnej opowieści Ridleya Scotta o amerykańskiej akcji w somalijskim Mogadiszu – regularnie trafiają do meksykańskich mediów i sieci.

A skoro jesteśmy przy Somalii – w 2021 r. doszło tam do 1,6 tys. potyczek i 500 eksplozji, w których zginęło niemal 3,2 tys. osób. Od wielu lat radykalni islamiści z Asz-Szabab dokonują w kraju zamachów terrorystycznych. W najnowszej odsłonie tego dramatu, zaledwie sprzed kilkunastu dni, zginęło 19 osób, gdy bojownicy ostrzelali pojazdy na drodze w regionie Hiran. Zabici to pasażerowie i kierowcy cywilnego mikrobusa oraz ciężarówek przewożących pomoc humanitarną. Członek miejscowej starszyny przekazał Agencji Reutera, że stworzonym przez mieszkańców grupom samoobrony udało się pozbyć bojowników z tego terenu, siły rządowe nie przysłały jednak

ta ziemskiej populacji). Malpass zaznaczył, że od ostatniego forum w 2020 r. dramatycznie wzrosła liczba ofiar śmiertelnych konfliktów i niepokojów społecznych. Według przytaczanych przez niego danych w 2021 r. 300 mln mieszkańców krajów dotkniętych konfliktami doświadczyło „poważnego braku zabezpieczenia żywnościowego”. „Miliony rodzin mierzą się

Wojna domowa w Jemenie w minionym roku kosztowała życie 22 tys. osób.

z odwróceniem rozwoju i największym kryzysem gospodarczym od prawie stulecia”, alarmował szef WBG.

Krwawiąca Syria

O tym, że wojna poza śmiercią i zniszczeniami oznacza dotkliwe skutki ekonomiczne, przekonują się właśnie Ukraińcy. Na prowadzenie działań zbrojnych przeznaczane jest obecnie aż 75% budżetu państwa. W czasach pokoju utrzymanie armii oscyluje na poziomie 10% wpływów budżetowych, mamy więc do czynienia z kilkukrotnym wzrostem (nie siedmio- ośmiokrotnym, bo po 2014 r. Kijów wydawał na wojsko więcej z uwagi na wojnę w Donbasie) – oczywiście kosztem usług oferowanych obywatelom.

Chociaż obiektywnie trudne, warunki życia większości Ukraińców są dużo lepsze niż Syryjczyków, o czym Europejczykom łatwo zapomnieć, bo po rozbiciu ISIS uznaliśmy wojnę w Syrii za zakończoną. Ona tymczasem trwa, choć nie jest już tak intensywna. W czerwcu br. lotnictwo USA dokonało nalotu, w którym zginął Abu Hamzah al-Jemini, jeden z przywódców Al-Kaidy. Pod koniec sierpnia samoloty F-35 zaatakowały pozycje wspieranych przez Iran bojówek w północno-wschodniej Syrii. Był to odwet za wcześniejszy atak na amerykańskie instalacje. W tym samym czasie agencje donosiły o intensywnym wymianie ognia między Kurdami a turecką armią w okolicy Kobane, na pograniczu z Turcją. Ta garść informacji dobrze ilustruje skomplikowaną sytuację Syrii. Baszar al-Asad kontroluje dziś ponad 80% terytorium kraju, reszta znajduje się w rękach islamskich radykałów i Kurdów. Skrawek państwa zajmują Amerykanie, wzdłuż własnej granicy kordon bezpieczeństwa zbudowała Turcja. Na terenach pod kontrolą Asada goszczą zaś Rosjanie (którzy w ostatnich tygodniach wycofują część sprzętu, kompensując

straty poniesione w Ukrainie). A ponieważ interesy wszystkich tych podmiotów są sprzeczne, nie da się wykluczyć eskalacji walk. Zresztą nawet bez tego jest źle – w wyniku zorganizowanej przemocy w Syrii zginęło w 2021 r. 5,5 tys. osób. Obecny rok nie zapowiada się lepiej.

A na koniec ciekawostka (cytuje za Wojciechem Orlińskim, publicystą „Gazety Wyborczej”, nauczycielem): z powodu braku traktatu pokojowego II wojnę światową zakończyły akt bezwarunkowej kapitulacji Niemiec oraz jednostronne deklaracje państw walczących z Niemcami, że już z nimi nie walczą. Polska przyjęła stosowny dokument późno – 18 lutego 1955 r. – ale do tej pory nie zrobiło tego aż 14 krajów. Formalnie zatem pozostają one w stanie wojny z Berlinem.

m.ogdowski@tygodnikprzeglad.pl

Testowanie to podstawa

Jesienią będziemy mieli mieszankę koronawirusa, grypy i mnóstwa wirusów przeziębieniowych. Będzie problem, jak to wszystko zdiagnozować

Rozmawia Anna Stachowiak

Od początku epidemii koronawirusa wykorzystano w Polsce łącznie 56,2 mln dawek szczepionek. 5 września wykonano w kraju dokładnie 156 szczepień. Mało.

– W wypadku covidu, żeby mówić o odporności zbiorowej, powinniśmy być zaszczepieni na poziomie 80%. Ale teraz, przy tej fali, która dominuje, przy nowych, bardziej zaraźliwych wariantach, poprzeczka idzie w górę. Obecnie, żeby mieć odporność zbiorową, zaszczepionych powinno być ponad 90%.

Kiedy okazało się, że omikron jest bardziej zaraźliwy, ale mniej zjadliwy, przebieg choroby jest łagodniejszy – przestaliśmy się szczepić.

– To wszystkich uspokoiło, ale to jest przyjmowanie do wiadomości tylko tego, co nam pasuje. Ktoś, kto rozważał, czy się zaszczepić, czy nie, wysłał argument, żeby się nie szczepić. Nas, lekarzy, to zadziwia. My tak naprawdę nie wiemy, jaki będzie przebieg choroby u danego pacjenta, często jesteśmy zaskakiwani. Mówi się sporo o niedoborach odporności, ale wiele z nich jest niezdiagnozowanych. Niedobór odporności to nie tylko zakażenie HIV czy ciężka choroba nowotworowa. Mamy wiele pacjentów z chorobami autoimmunologicznymi, przewlekłymi nieswoistymi zapaleniami jelit, pacjentów na terapiach biologicznych. One mają leczyć daną chorobę, ale czasami to broń obosieczna. Są dowody, że odporność spada tak bardzo, iż dochodzi do reaktywacji utajonych zakażeń HBV, czyli wirusowego



PROF. KRZYSZTOF TOMASIEWICZ

– kierownik Katedry i Kliniki Chorób Zakaźnych Uniwersytetu Medycznego w Lublinie, były członek Rady Medycznej ds. COVID-19

zapalenia wątroby typu B. Może być tak, że ktoś chodzi z wirusem całe życie, a po jakiejś terapii zakażenie się uaktywnia. Wszystko to musimy brać pod uwagę. Jeśli na jednej szali mamy kwestię zaszczepienia, a na drugiej własne widzimisię, bo uważam, że już nabyłem/nabyłam odporność – to jest słabe, egoistyczne myślenie.

Siedzimy w maseczkach. Najczęściej jednak w pociągu czy autobusie jestem jedyną osobą – albo jedną z bardzo niewielu – w maseczce.

Reakcje są zwykle prześmiewcze, zdarzają się komentarze. Nosić?

– Nosić. Dla siebie i przede wszystkim dla innych, bo nawet jeśli uważamy, że mamy znakomite zdrowie, to myślę, że nikt nie chciałby być zagrożeniem np. dla pacjenta onkologicznego. Te teorie o grzybicy płuc i inne o szkodliwości maseczek można włożyć między bajki, natomiast mamy coraz więcej dowodów, że maseczki działają. Skuteczność nie jest stuprocentowa, zdajemy sobie z tego sprawę – generalnie nie ma metod profilaktycznych o takiej skuteczności – ale nawet 70% to dużo. Są więc dowody na skuteczność i liczne badania, które wykluczyły ryzyko infekcji związanej z noszeniem maseczek.

Ale obostrzenia zostały zniesione, obowiązek noszenia maseczek też.

– Musimy rozróżnić dwie rzeczy: zasady, które powinniśmy stosować jako zalecenia, i obostrzenia. Od obostrzeń odeszło się prawie na całym świecie, ale zalecenia są realizowane. I słusznie. Miałem nadzieję, że pewne postawy w trakcie pandemii się wypromują. To, co się działo w roku 2020, napałało optymizmem. Ludzie sami, nieprzymuszani, stosowali się do zasad. Bardzo prostych, typu nie dotykanie butek w sklepie gołymi rękami. W ciągu kilku miesięcy doszliśmy do poziomu higienicznego krajów Europy Zachodniej, nikt nie protestował, nie zastanawiał się, chroniliśmy się nawzajem. To było na początku, kiedy liczba zakażeń i zgonów nie była duża.

Ale strach był duży.

– Tak, ale to powinno wynikać nie ze strachu, tylko ze zdrowego

rozsądku i ogólnych zasad. Chyba nie trzeba nikomu tłumaczyć, dlaczego nie należy dotykać gołymi rękami pieczywa w sklepie. Wszedłem ostatnio do sklepu w masce i sprzedawca od progu krzyczał: „U nas maseczki nie obowiązują”. Zapytałem, czy mimo wszystko można w masce.

Dzisiaj mamy 480 zakażeń, miesiąc temu było 6 tys. Niewiele.

– Jeśli porównamy to z dziesiątkami tysięcy, które notowano wcześniej, to niewiele, ale tych zakażeń jest w rzeczywistości dużo, dużo więcej. Długo można dyskutować, czy mnożyć te wyniki

niedostatecznego testowania czy może optymizmu rządu?

– Wszystkiego po trochu. Testowanie na pewno ma znaczenie. Od kolegów z innych krajów słyszę, że testują się kilka razy w tygodniu w zakładach pracy. Dostępność testów jest powszechna, w Polsce przestaliśmy testować. Można pójść do apteki i kupić test, wiele osób tak robi, tyle że nawet jeśli wynik jest dodatni, nigdzie nie figuruje. Myślę, że pomnożenie wyników przez dziesięć nie będzie przesadą. Do tego dochodzą osoby, które się nie testują. Testowanie w tej chwili odbywa

Żeby mieć odporność zbiorową przy nowych, bardziej zaraźliwych wariantach koronawirusa, zaszczepionych powinno być ponad 90%.

przez pięć, czy może przez dziesięć. Wchodzimy w inny etap pandemii, teraz wirus będzie stanowił zagrożenie dla osób wrażliwych, z upośledzoną odpornością, pacjentów hematoonkologicznych, onkologicznych. My wciąż ich widzimy, choćby pacjentów z ciężkim zapaleniem płuc po covidzie. Dlaczego swoim zachowaniem mamy ich skazywać na zakażenie, na ciężki przebieg choroby? I druga kwestia: pandemia będzie stanowiła problem logistyczno-organizacyjny.

Wyciągnięto za mało wniosków?

– Tak. Widzimy, że szczepienie działa. Większość osób z ciężkim covidem to osoby niezaszczepione. Nawet u osób, które mają gorszą odpowiedź na szczepienie, pozwala ono uniknąć ciężkiego przebiegu choroby. Zdaję sobie sprawę, że pewnym rozczarowaniem jest fakt, że szczepionka nie chroni przed zakażeniem – wszyscy byśmy chcieli, żeby chroniła, ale ochrona przed ciężkim przebiegiem też jest czymś bezcennym. Po pierwsze, pacjent przeżyje, po drugie, lżejszy przebieg to także krótszy okres wydalania wirusa, o czym się nie mówi.

W czerwcu, gdy we Francji i w innych krajach notowano 50-procentowy wzrost liczby zakażeń, w Polsce – oficjalnie – było kilkaset przypadków. To kwestia

się głównie przy przyjmowaniu pacjentów do szpitali i wierzę w to, że lekarze rodzinni zlecają testy w gabinetach, choć mamy różne sygnały.

Kolejne mutacje wirusa są coraz łagodniejsze. Czy może jednak się zdarzyć, że znów będzie jak te pierwsze warianty?

– Ewolucja tego wirusa idzie w kierunku większej zaraźliwości, ale mniejszej patogenności, czyli powodowania mniejszych objawów. Teraz pojawiają się głosy, że BA.4-5, który w tej chwili dominuje, nie wygląda lepiej niż BA.1. Widzimy osoby, które

Teorie o grzybicy płuc i inne o szkodliwości maseczek można włożyć między bajki, natomiast mamy coraz więcej dowodów, że maseczki działają.

przechodzą zakażenie bardzo ciężko, może nie zawsze prowadzi to do hospitalizacji, lecz są podstawy do ostrożności. Poza tym – po pierwsze – za chwilę będziemy mieli efekt skali, czyli wiadomo, że jeśli zachoruje milion osób, to wśród nich będą takie, które będą chorowały bardzo ciężko, a po drugie – musimy z pewną rezerwą podchodzić do tego trendu. My staramy się wytyczyć wirusowi drogę ewolucji, natomiast nie sądzę, by wirus nas słuchał. Jeszcze nie wiemy, jaka to ewolucja będzie ostatecznie.

Czego możemy się spodziewać jesienią?

– Na pewno będziemy mieli mnóstwo ludzi z objawami infekcji. I będzie to mieszanka koronawirusa, grypy i mnóstwa wirusów przeziębieniowych. Będzie problem, jak to wszystko od siebie oddzielić i zdiagnozować. Możemy go rozwiązać wyłącznie dzięki testowaniu, czyli wracamy do punktu wyjścia.

Strachu napędziła nam małpia oспа, lecz jej skala nie jest duża. Pojawiły się jednak obawy, że wybuchnie kolejna pandemia.

– Nikt nie jest w stanie przewidzieć, czy i kiedy wybuchnie następna pandemia. Ani co ją wywoła. Była małpia oспа, kolejne koronawirusy, gorączka krwotoczna. Od dawna znamy bardzo zjadliwe wirusy, więc to nie jest zaskoczenie. Koronawirus jeszcze nie jest najgorszy. Możemy sobie podstawić dowolny wirus i zastanawiać się, czy wywoła pandemię, ale ja traktuję to jako płynięcie na fali pandemicznej. Co chwila ktoś chce zaistnieć i zaczyna wróżyć z fusów.

Jakie badania robić po covidzie?

– Pierwsza rzecz: trzeba ocenić, czy jest problem zdrowotny. Bo wiemy, że zespół pocovidowy nie występuje u wszystkich. Jeśli ktoś czuje się świetnie, nie ma dolegliwości, nie widzę wskazań do robienia badań i szukania na siłę konsekwencji covidu. Natomiast jeśli czujemy

się źle – mamy uczucie duszności, zadyszkę, mniejszą wydolność fizyczną – przede wszystkim trzeba sprawdzić układ krążenia, czyli robimy EKG i idziemy do kardiologa. Główna grupa objawów pocovidowych to te związane z układem krążenia i/lub układem oddechowym. Pojawiają się także problemy natury psychicznej. Wtedy potrzebna jest konsultacja psychiatryczna. Nie można jednak odnosić wszystkiego, co się dzieje z organizmem, do covidu. ■



Psychologiczna rola jedzenia

Warto przyrzeć się bliżej naszej relacji z jedzeniem, bo w niej możemy zobaczyć nasz stosunek do samych siebie

Elżbieta Lange

Wbrew pozorom zaspokajanie głodu to najmniej istotna funkcja jedzenia. Za tą biologiczną potrzebą często kryje się cała masa znaczeń, które wpływają na nasze życie. Tak jak z osobami, również z jedzeniem można mieć określoną relację opartą na złożonej formie komunikacji. Ta relacja nierzadko bywa bardzo skomplikowana. Dlatego często tracimy nad nią kontrolę, złościśmy się, że nie potrafimy jej przerwać, i mimo że jest dla nas destrukcyjna, kochamy ją i nie potrafimy bez niej żyć. Ambiwalentne podejście do jedzenia, w którym uczucie przyjemności łączy się z poczuciem winy, sprawia, że trudno jest zobaczyć, czym ono jest naprawdę i jaką rolę odgrywa w naszym życiu.

Dla niektórych osób jedzenie jest naturalną funkcją organizmu, jak oddychanie. Te osoby jedzą, po prostu żeby żyć. Ich relację z jedzeniem często można scharakteryzować jako neutralną. „Jem, bo muszę, ale niespecjalnie mnie to zajmuje”. Znamie kogoś takiego? Z mojego doświadczenia wiem, że to niewielki procent ludzi, większość z nas znaczną część swojego życia spędza na myśleniu o pożywieniu i na pochłanianiu go. Napełnianie żołądka i utrzymywanie poczucia nasycenia staje się integralną częścią naszego życia z różnych powodów. Często pozwala zapanować nad uczuciami i potrzebami.

Jedzenie może zmieniać nasz stan emocjonalny, ponieważ pokarm jest źródłem przyjemności. Po dobrym posiłku czy zjedzeniu czegoś słodkiego zwiększa się poczucie

szczęścia. Niestety, tylko na chwilę. Paradoksalnie może w konsekwencji potęgować nieprzyjemne uczucia i pogłębiać złe samopoczucie. Może utwierdzać nas w przekonaniu o braku silnej woli. I ponownie jesteśmy w trudnej relacji z jedzeniem na linii przyjemność-poczucie winy. Tym samym niezbędny element naszego życia staje się przekleństwem i wrogiem numer jeden. Aktualne samopoczucie zaczyna decydować o tym, co jemy. Częściej spożywamy cukier i tłuszcz zamiast jeść regularnie podstawowe posiłki. Z czasem waga rośnie, a my zaczynamy się obwiniać za nieidealną sylwetkę. Stajemy się wrogo nastawieni do pożywienia i swojego ciała. W efekcie przechodzimy na restrykcyjną dietę, mając przy tym nierealistyczne oczekiwania, złudne poczucie kontroli i władzy nad jedzeniem. Mimo że jest to

dla nas destrukcyjne, brniemy dalej w ten proces w przekonaniu, że schudniemy w krótkim czasie, a obniżenie wagi rozwiąże nasze życiowe problemy. Surowo wyliczamy sobie posiłki, aż w końcu się głodzimy. To wszystko sprawia, że czujemy się coraz gorzej. Kiedy napięcie sięga zenitu, ponownie sięgamy po jedzenie, aby odwrócić uwagę od przykrych doznań, i tak odchudzanie staje się przyczyną objadania się. Osoby, które stosują restrykcyjne diety, mają

tylko objawem tak naprawdę zupełnego innego cierpienia. Ale z jakiegoś powodu łatwiej się zajmować obsesją jedzenia, niż dokonać zmiany w swoim życiu i odważnie spojrzeć prawdzie w oczy. Być może odwracasz wzrok od nieudanego związku, przytłaczających problemów, braku sukcesów, wewnętrznych konfliktów, przeszłości, braku pieniędzy, poczucia bezpieczeństwa, straty kogoś bliskiego, nieudanych relacji, niesatysfakcjonującej pracy, niskiego

Bardzo często decydują o tym nasze doświadczenia z dzieciństwa. Być może gdzieś głęboko w środku nadal jesteś małym przestraszonym dzieckiem, które doświadczało agresji lub było jej świadkiem. Mały człowiek nie potrafi krytycznie odnieść się do sytuacji, dlatego podejmuje nie-dobre dla siebie decyzje. Być może twoją było postanowienie, że nigdy nie będziesz się złościć. Dlatego teraz unikasz konfliktów i wycofujesz się, zamiast odważnie wyrazić niezadowolenie. Nie jesteś świadomy, że nadal reagujesz z poziomu tego małego, przestraszonego dziecka, mimo że już dawno stałeś się dorosły. Prawdopodobnie żeby zyskać akceptację, musiałeś zawsze być grzecznym dzieckiem, więc teraz zamiast stawiać czoło sytuacji uśmiechasz się miło, a potem wieczorem nie możesz przestać jeść.

Nadmierna potrzeba jedzenia może również tłumić silny lęk przed bliskością, który jest następstwem pewnych doświadczeń życiowych. Jeśli w dzieciństwie doświadczyłeś wykorzystywania seksualnego bądź zaniedbań emocjonalnych, lęk przed bliskością może się rozwinąć jako mechanizm obronny. Następstwem tego będzie kolejny lęk przed negatywnymi skutkami bycia atrakcyjnym i pożądanym. Jedzenie jako narzędzie, a w konsekwencji nad-

Większość z nas znaczną część swojego życia spędza na myśleniu o pożywieniu i na pochłanianiu go.

większą tendencję do jedzenia pod wpływem emocji, wyższe nasilenie lęku i gniewu. Odchudzanie sprzyja nadmiernej koncentracji na jedzeniu i w konsekwencji doprowadza do przejadania się.

Nie tylko silne i nieprzyjemne emocje sprzyjają sięganiu po jedzenie w nadmiarze. Może to być również nuda i brak urozmaichenia w życiu codziennym. W chwilach znudzenia czy zmęczenia jedzenie może być środkiem przywracającym wewnętrzną równowagę. Ponieważ sam akt przyrządzania i spożywania pokarmu jest działaniem, przez to staje się świetnym wypełnieniem wewnętrznej pustki, nudy i braku przyjemnych akcentów w życiu. Dobrze jest „podkreślić” nudny dzień dobrym jedzeniem. Dzięki temu odwracamy uwagę od nieprzyjemnych doznań i braku kontaktu ze sobą, które dają o sobie znać właśnie podczas znudzenia. Czy mamy wtedy odwagę wsłuchać się w siebie i swoje emocje? Czego one naprawdę pragną? Kiedy następnym razem usiądziesz z pełnym talerzem przed komputerem, żeby odpalić Netflixa, spróbuj wsłuchać się w siebie i odczytać e-mail prosto ze swojego serca.

Nadmierne jedzenie może być również maskowaniem problemów życiowych. Wtedy to jedzenie, a nie rzeczywistość, staje się źródłem stresu. Wiele osób, z którymi pracuję, przychodzi na terapię z „jakimś” problemem żywieniowym, który jest

poczucia własnej wartości, traumy. Pamiętaj, że porażka pochłaniania tyle samo energii, ile dokonanie zmiany. Jeśli myślisz wyłącznie o jedzeniu, a twój świat kręci się wokół talerza, kalorii, odchudzania, zakupów, to teraz pomyśl, o czym myśleć nie chcesz. I jak wyglądałoby twoje życie, gdybyś przestał się tym zajmować. Jedzenie nie pozwala przeżyć ci go w pełni.

Zaznacz procentowo na kole, ile czasu zajmuje ci myślenie o jedzeniu, zakupach, odchudzaniu, dietach, figurze i wadze. A teraz przyjrzyj się, jak wygląda twoje życie. Na co przeznaczasz najwięcej czasu i energii?

Bardzo często używamy jedzenia do tłumienia złości.

Nie spotkałam jeszcze osoby, która je emocjonalnie, a wewnątrz wprost nie kipi z wściekłości. Bardzo często używamy jedzenia do tłumienia złości. Z różnych powodów. Po pierwsze dlatego, że sam akt jedzenia jest bardzo agresywny. Fizycznie musimy zębami zmiążdżyć pokarm. W naszej szczęce kumuluje się bardzo dużo stresu. Dlatego lubimy chrupać i podjadać. Rozgryzanie działa kojąco na spiętą głowę. Wzmoczona aktywność żuchwy, która pomaga nam rozdrobnić pokarm, powoduje rozluźnienie najbardziej zaciśniętych mięśni. Chrupanie relaksuje i uspokaja. Używamy jedzenia do tłumienia złości, ponieważ uważamy to uczucie za coś złego.

waga, staną się naszym pancerzem ochronnym w różnych sytuacjach. Tkanka tłuszczowa może nas chronić, bo bycie szczupłym wyzwala lęk przed bliską relacją i seksualnością. Pancerz może również odsuwać od nas pokusę zdrady, kiedy czujemy, że nasze małżeństwo to fikcja. Jeśli natura wyposażała nas w dużą wrażliwość smakową, istnieje duże prawdopodobieństwo, że w trudnych sytuacjach będziemy szukać pocieszenia w jedzeniu. Po latach trudno jest już uzmysłwić sobie, jaka rzeczywista potrzeba lub lęk tkwi w niepoahamowanym jedzeniu.

Relacja z jedzeniem często obnaża nasze wewnętrzne konflikty między przyjemnością a poczuciem ▶

► winy, między pragnieniem a odmową jedzenia. Może być również sposobem manifestacji samokontroli, a także rozładowywać napięcie seksualne. Źródło tych konfliktów najczęściej tkwi w niezaspokojonej potrzebie i w sprzeczności przekonania, które w nas są. Możemy się kierować dwoma zupełnie różnymi przekonaniami. Jakaś część nas lubi słodczy, a inna wie, że nie warto ich jeść. Jedząc słodczy, możemy mieć przyjemność, a odmawiając ich sobie – szczupłą sylwetkę. Ten wewnętrzny konflikt budzi w nas masę wątpliwości, kiedy chcemy np. zjeść kawałek ciasta. Często słyszę od klientów, z którymi pracuję: „Ciągłe mam poczucie winy, że pozwalam, żeby to mną rządziło”.

objadania się jest to próba zdobycia kontroli, która często kończy się porażką i kolejnym postanowieniem. Najczęściej jest to zasłona dymna dla innych, rzeczywistych problemów. Przyjemność z jedzenia bywa czasem kompensacją przyjemności z seksu. Wtedy jedzenie staje się substytutem niezaspokojonych potrzeb seksualnych, a więc formą pocieszenia przy braku satysfakcjonującej relacji.

Jedzenie może być wyrazem naszej tożsamości, indywidualności, statusu lub stylu życia. To, co spożywamy, często kreuje nasz wizerunek w oczach innych. Aby się dowiedzieć, kim jesteś, wystarczy popatrzeć na to, co i jak jesz. Może spożywasz wytworny posiłek przy

narodowej czy nawet religijnej. Posiłki mogą być odzwierciedleniem tradycji, symboli, rytuałów lub czczonych świętości. To, co jemy, oddziela nas od innych. Nie ma jednego uniwersalnego pokarmu, który byłby symbolem jedzenia na całym świecie. Chleb, który jest podstawą w Polsce, w ogóle nie pojawia się na stole w Azji. Podkreśleniem tożsamości kulturowej w naszym kraju są kolacja wigilijna i śniadanie wielkanocne. Istotnym aspektem tradycji rodzinnych jest wspólne celebrowanie uroczystości i ważnych wydarzeń, biesiadowanie przy stole. Wystawne bankiety i przyjęcia, spożywanie potraw egzotycznych mogą być sposobem manifestowania statusu społecznego. Jedzenie staje się wyrazem określonego stylu życia. W ostatnim czasie popularne stało się również dzielenie się pożywieniem z innymi dzięki komunikatorom lub akcjom na portalach społecznościowych.

Warto przyjrzeć się bliżej naszej relacji z jedzeniem, bo w niej możemy zobaczyć nasz stosunek do samych siebie. Na ile się kochamy i szanujemy, dbamy o swoje ciała i zdrowie. Czy dostarczamy naszemu organizmowi odpowiedniego paliwa, czyli odżywczych składników. Bo jeśli nie potrafimy o siebie zadbać na podstawowym poziomie, to jak będziemy realizować nasze wyższe potrzeby? Idąc za popularną radą, powinno się jeść, by żyć, a nie żyć, by jeść. Należy uczciwie się zastanowić, jaką rolę w naszym życiu odgrywa pokarm, do czego używamy jedzenia i czego zobaczyć nie chcemy. Jeżeli jesz emocjonalnie, spróbuj choć przez chwilę tego nie robić i odważyć się zobaczyć, co z tego wyniknie. Przy odrobinie wysiłku z zamętu wyłoni się twoje prawdziwe życie. Wszystko, co było stłumione, automatycznie wypłynie na powierzchnię.



Fragment książki Elżbiety Lange *Emocja na talerzu. Jak odbudować zdrową relację z jedzeniem*, Wydawnictwo Słowne, Warszawa 2021

W naszej szczęście kumuluje się bardzo dużo stresu. Dlatego lubimy chrupać i podjadać.

Wewnętrzne konflikty utrudniają podejmowanie nawet najprostszych decyzji i często prowadzą do niekończących się wewnętrznych dialogów. Jedna nasza część mówi: „Mmm, ale mam ochotę na ten kawałek ciasta, tak apetycznie wygląda”, a druga: „Nie, to nie jest dobry pomysł, znowu przytyję”. W tej sytuacji warto się zastanowić, jaką korzyść chce odnieść każda z tych części. Rozwiązaniem tej sytuacji jest odnalezienie katalizatora. Na przykład jedzenie słodczych od czasu do czasu być może zaspokoi obie nasze wewnętrzne części.

Jedzenie lub niejedzenie może również stanowić sposób na zdobycie kontroli, której brakuje nam w codziennym życiu. Wiele osób zamiast się skupić na odzyskaniu poczucia bezpieczeństwa w swoim życiu, zaczyna kontrolować jedzenie. Z czasem staje się ono jedyną sferą, na którą, w ich mniemaniu, mają wpływ. Błędne koło między całkowitą kontrolą a jej utratą może trwać latami. Dlatego u osób cierpiących na zaburzenia odżywiania, takie jak anoreksja bądź bulimia, kontrola prowadzi do reżimu dietetycznego, natomiast w przypadku otyłości czy kompulsywnego

stole nakrytym pięknym obrusem? A może jesz w zaśmieconym samochodzie, pełnym papierków, słomek i okruszków? Może jesz w biegu jak automat albo zdarza ci się spontaniczne obżarstwo przy kuchennym zlewie? A może w ogóle nie zawracasz sobie głowy jedzeniem i wrzucasz do żołądka co popadnie? Czy lubisz dojadać po dzieciach? Czy jesteś na wiecznej diecie, nieustająco eksperymentując na swoim organizmie? Relacja z jedzeniem bardzo dużo mówi o nas samych. Może być wyrazem indywidualizmu (na przykład przejście na vegetarianizm czy weganizm) lub buntu wobec stylu życia naszej rodziny. Zdarza się, że nie wiedząc kim jesteśmy, szukamy w jedzeniu swojej tożsamości. Nie zawsze jest to zgodne z wewnętrzną prawdą o nas. Określenie „jestem weganą” jest dużo lepsze niż pustka, którą być może odczuwamy. Oczywiście nie ma nic złego w byciu weganinem, pytanie tylko, czy to naprawdę jesteś TY, czy jedynie obraz, który chcesz stworzyć.

Spożywane pokarmy stanowią niekiedy formę komunikatu odnoszącego się do tożsamości kulturowej,



Wpiątek pożegnaliśmy Adama Kułacha, byłego ambasadora RP w Arabii Saudyjskiej, wybitnego dyplomaty, zmarłego 1 września.

Słowo wybitny jest w jego przypadku jak najbardziej na miejscu. Że to dyplomata nietuzinkowy, potrafiący realizować najtrudniejsze zadania, wiedziało pół MSZ, wiedziała cała Europejska Służba Działań Zewnętrznych, wiedzano o tym w Departamencie Stanu.

Ale dla ludzi kierujących MSZ nie miało to znaczenia. Kułach był absolwentem MGIMO, czyli z definicji do odstrzału. I pisowskie MSZ, zamiast próbować wykorzystać człowieka o wielkich umiejętnościach, zajmowało się jego niszczeniem.

Rzecz ciekawa – otóż polska dyplomacja, ta jeszcze sięgająca czasów PRL, dorobiła się sporej grupy znakomitych arabistów, świetnie radzących sobie w tamtym regionie. Tu nie wystarczyła perfekcyjna znajomość języka czy głęboka znajomość kultury, do tego trzeba było mieć ten naturalny dryg. Polacy go mieli.

W tej grupie był właśnie Kułach. Jego kariera rozwijała się (do czasów PiS) modelowo. W latach 2004-2010 był ambasadorem w Arabii Saudyjskiej, gdzie zastąpił Krzysztofa Płomińskiego, też jednego z najwybitniejszych polskich znawców świata arabskiego.

Po powrocie do centrali kierował Departamentem Afryki i Bliskiego Wschodu. Potem znalazł się w wąskiej grupie polskich dyplomatów, którzy kontynuowali karierę w strukturach dyplomacji unijnej. W 2012 r. został ambasadorem Unii Europejskiej w Arabii Saudyjskiej, z dodatkową akredytacją w Kuwejcie, Bahrajnie i Katarze. Doceńmy to, bo w strukturach unijnej dyplomacji pracuje bardzo mało Polaków, parytet

narodowy jest tu mocno przesunięty na naszą niekorzyść. Podobnie zresztą jak w strukturach dyplomacji NATO. Szaleństwo PiS, które firmował Witold Waszczykowski, polegało na tym, że po objęciu władzy przez tę partię MSZ zaczęło ich zwalczać. Tak było np. z Tomaszem Chłoniem, któremu przez wiele miesięcy blokowało wyjazd do Moskwy na stanowisko ambasadora NATO w Rosji. W sprawie Kułacha zaś skierowana została na ręce ówczesnej szefowej unijnej dyplomacji Federiki Mogherini prośba, by Unia odwołała go jak najszybciej z zajmowanego stanowiska.

W Brukseli taka propozycja wywołała szok. Bo państwa lobbują na rzecz swoich przedstawicieli, walczą o placówki dla nich. Tymczasem zdarzyła się rzecz z innego świata – państwo walczyło ze swoim dyplomata.

Ta walka okazała się częściowo skuteczna – Kułachowi nie przedłużono ambasadorowania w Rijadzie. Na następne lata został skierowany do Dżibuti. To mała placówka, bez porównania z Rijadem. Ale ambasada! Jego nominacja świadczyła więc tylko o pozycji, jaką osiągnął w unijnych strukturach, bo został szefem placówki wbrew zabiegom swojego państwa.

Kułach wrócił do Polski w roku 2019. Zameldował się na Szucha i złożył wypowiedzenie. Zupełnie słusznie. W centrali mógł liczyć co najwyżej na pracę w archiwum. Pewnie przy nadarzającej się okazji też by go zwolniono.

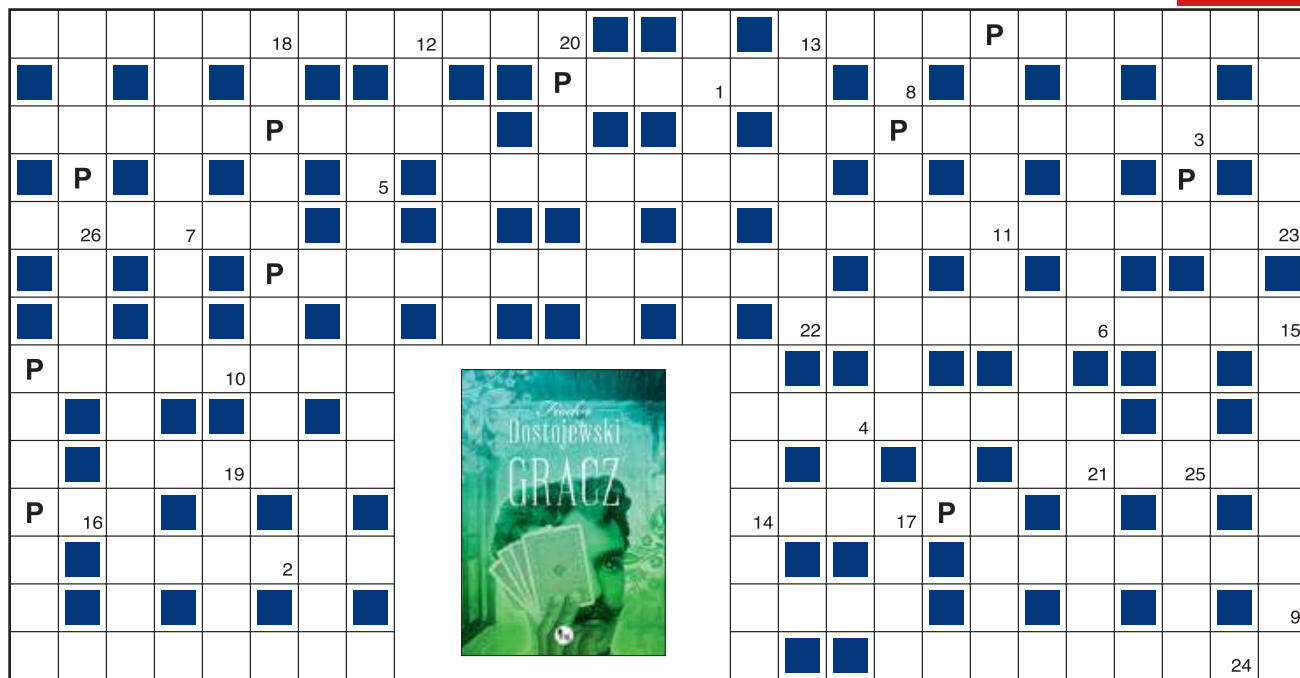
Tak oto paranoja PiS wypchnęła z MSZ sporą grupę znakomitych fachowców, którym obecni wiceministrowie mogliby co najwyżej nosić teczkę. Ale to już temat na inną opowieść.

Adamie, żegnaj! Byłeś świetnym dyplomata.

Attaché

Abdalla Abu Dawl, były nauczyciel uniwersytetu Al-Azhar w Egipcie, zebrał ok. 15 tys. książek. Teraz bezpłatnie udostępnia je mieszkańcom swojej wioski.





1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23	24	25	26
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery P ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 26 utworzą końcowe hasło.

- alfabet, co się strasznie potłukł
- wyjący, by ostrzec
- akt prawny darowania lub złagodzenia kar
- imię reżysera „Gdzie jest Anne Frank”
- jego jest największa egipska piramida

- miasto na prawym brzegu Olzy
- o księdzu
- choroba zwyrodnieniowa krążka międzykręgowego
- „Przez cały biały... czekam” w wierszu Iwaszkiewicza

- z niego wyjście Izraelitów
- prorok, jego następcą Elizeusz
- ...o Gilgameszu
- pilność i zapal, np. neofity
- podporządkowująca polityka państw mocarstwowych
- na skraju jego delty Karaczi
- imię pisarki Murdoch
- zawód serialowego Jana Serce
- „Oblakany...” Bogusława Meca
- piosenkarka Bush, modelka Moss
- hamulcowe albo Lego
- w kuźni lub kształt burzowej chmury

- ździebko, odrobina
- utrzymywanie i rozwijanie tradycji, wartości
- ...na muchy
- listwa do wykreślenia prostych
- czule o szczeniściu leśnego rudzielca
- biegowe po płaskim lub zjazdowe
- ojciec Sema, Chama i Jafeta
- książkę ruski, następca Ruryka
- i rumieniec, i jasna, intensywna czerwień
- potwór, szkarada, pokraka
- to, co podtrzymuje, ostoja, oparcie
- dawniej nazywany szwajcarem
- postronek
- przesyłanie serdeczności z wakacji

- szpitalna izolotka
- jogurt typu islandzkiego
- rosyjski kurort nad Morzem Czarnym
- przyprawa z krokusów
- potocznie o kierowcy z postoju
- była nią Arachne
- Kozakiewicz, Bubka lub Duplantis
- rumowisko, kopiec
- do niego baba wsadziła indora
- ...z okupantem to kolaboracja
- miasto, aktor Michael lub pies
- panuje w niewietrzo- nym pomieszczeniu
- złożoność, skomplikowanie
- chłód, ziąb
- resztki płynów w jednym naczyniu

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło:

.....

imię i nazwisko:

.....

adres:

.....

data, miejscowość

.....

czytelny podpis

.....

.....

.....

.....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1082”. Do rozlosowania książki „Gracz” ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 18 września 2022 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1079” z nr. 35: Kto się bawi, o złym nie myśli.
Nagrody otrzymują: Beata Kordon z Tychów, Elżbieta Lewandowska z Warszawy, Jerzy Swoboda z Zelowa.

PENETRACJE

STYL

**PROF. MAGDALENA
ŻERNICKA-GOETZ,**
UNIwersytety CAMBRIDGE
I PASADENA

Jesteśmy na świecie tak długo, a nie wiemy, jaki jest początek życia. Oczywiście rozumiemy, że komórka jajowa łączy się z plemnikiem i powstaje zarodek, który zaczyna się rozwijać. Jednak kiedy zaczynamy się zastanawiać, jak jedna mała komórka, niewidzialna dla nieuzbrojonego oka, może podejmować decyzje, w których efekcie tworzy następne skomplikowane komórki ciała, nawet te w mózgu, dzięki którym możemy tworzyć literaturę, sztukę, naukę – okazuje się, że zaledwie zbliżamy się do zrozumienia tego cudownego początku.

Press

ANNA ÅBERG,
SZEFOWA REDAKCJI
„DAGENS NYHETER”

Średnia zarobków obejmująca szefów to 52 tys. koron (ok. 5 tys. euro). Mamy program bonusowy, jeśli wypracujemy w danym roku zysk, możemy liczyć na dodatek. Oprócz tego istnieje umowa zbiorowa z pracodawcą, w której jest określone, jak mogą wyglądać podwyżki płac każdego roku. Muszą być one wypłacane, nawet jeśli gazeta ponosi straty. Dodatkowo w tym roku za dobry zeszły rok 60 mln koron zostanie podzielone na wszystkich zatrudnionych w grupie Bonnier News, w której skład wchodzi „Dagens Nyheter”. Oprócz tego każdy otrzymuje od pracodawcy 5 tys. koron (ok. 500 euro), które można wykorzystać na siłownię, masaż lub inną rekreację.

VIVA!

**MAREK
DUTKIEWICZ,**
POETA, AUTOR PRZEBÓJÓW

Kultura w PRL miała się znacznie lepiej niż w tej chwili, brzmi to może osobliwie, ale taka jest prawda. Gdyby „Jolka, Jolka, pamiętasz” powstała dzisiaj, nie przygaręłaby jej żadna stacja radiowa, ponieważ jest za długa. Maksymalny czas nagrania teraz to 3 minuty 15 sekund, „Jolka” trwa 7 minut! Zresztą urodziła się pod szczęśliwą gwiazdą. Felicjan Andrzejczak zaśpiewał ten utwór dwa razy – nie jestem do końca pewny, czy w ogóle wiedział, o czym śpiewa – i każde nagranie było dobre, nie musieliśmy długo męczyć się w studiu.

zwierciadło

JOANNA KULIG,
AKTORKA

Dopiero niedawno na planach filmowych pojawili się koordynatorzy intymności. Miałam więc koordynatorkę na planie serialu w Londynie. Czuwała nad tym, żebym podczas kręcenia sceny erotycznej miała komfort i poczucie bezpieczeństwa. Koordynatorka cały czas jest z tobą. Najpierw sama ustalasz z nią, jak chcesz, żeby ta scena była nakręcona, gdzie stawiasz granice co do pokazywania swojego ciała. Potem ona rozmawia o tym z reżyserem, nie ty. To ona jest pośrednikiem, a czasem katalizatorem emocji. Bo kiedy wizja reżysera jest zupełnie inna, jest ogromny stres, bo przecież to ty się rozbierasz. Relacja reżysera z aktorką na planie powinna być czysto zawodowa – nie ma prawa traktować ciebie jako narzędzia do realizacji swoich wizji.

Aby język giętki...

**ADAM MICHNIK
O MICHAILE GORBACZOWIE**

Zawsze będzie dla mnie człowiekiem, który otworzył łagry i więzienia i sam nie zamknął już nikogo.

DANUTA WAŁĘSA O SOLIDARNOŚCI

Obecna Solidarność to złodzieje, którzy ukradli nam naszą Solidarność.

**PROF. ANDRZEJ WERBLAN
O LWIE RYWINIE**

Do Polski wrócił w 1979 r. i rychno zrobił zdumiewającą karierę. Bez poparcia policji politycznej taka kariera przybysza z USA w tamtych czasach była niemożliwa.

**GRZEGORZ JARZYNA
O TR WARSZAWA**

Ktoś, kto doprowadził ten teatr niemal do zniszczenia, do skłócenia mnie z zespołem, to bardzo wyrachowany przeciwnik.

**NIKOLA GRBIĆ
O ATMOSFERZE W DRUŻYNIE**

Jest ważna, ale nie wygramy meczu dzięki temu, że będziemy się uśmiechać do siebie, bo rywal też może być grupą przyjaciół.

**AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA
O WŁODZIMIERZU CZARZASTYM**

Warunkiem zakończenia bratobójczej wojny w SLD jest pozbycie się Czarzastego, który naprawdę wyczerpał swoją użyteczność.

**GRAŻYNA BARSZCZEWSKA
O ALFREDZIE ANDRYSIE**

Mój mąż mawia, że gdybym tylko nie jadła, tobyśmy czegoś w życiu się dorobili.

**MARCIN MOŹDŻONEK O WALCE
MAI STAŚKO W TZW. FREAK FIGHT**

To nie jest sport, to jest cyrk. W takich zawodach często biorą udział degeneraci moralni.

PAULINA PRZYBYSZ O SILE PRZEKAZU

Bardziej pamięta się słowa piosenek niż najważniejsze przemowy polityków. Więcej osób zaśpiewa Lennona, niż zacytuje Martina Luthera Kinga.



Komandosi z oddziałów specjalnych lankijskiej policji podczas 156. obchodów Dnia Policji w Kolombo, 3 września 2022 r.



Gdzie się podziały tamte podatki?

Dzięki algorytmom analizującym zdjęcia wykonane z lotu ptaka francuska skarbowka wykryła już ponad 20 tys. niezarejestrowanych basenów. Rzecz w tym, że wszelkie ulepszenia nieruchomości zwiększają ich wartość, a to od niej zależy wysokość podatku. Na przykład sprawienie sobie basenu o powierzchni 30 m kw. oznacza konieczność zapłaty dodatkowych 200 euro rocznie. Urzędnicy zapowiadają, że wspomniana technologia może zostać użyta m.in. do wyszukiwania niezgłoszonych werand i altanek. Wielki Fiskus patrzy!

Skandal jak malowany

W USA kontrowersje wywołał finał konkursu artystycznego, w którym w kategorii sztuka cyfrowa pierwsze miejsce i 300 dol. nagrody zdobyło dzieło stworzone przez komputer. Jason Allen zgłosił do Colorado State Fair Fine Arts Competition obraz, który wykonał z wykorzystaniem sztucznej inteligencji Midjourney, generującej szczegółowe grafiki na podstawie przedstawionych jej opisów. Wśród krytycznych komentarzy pojawiła się opinia, że „to tak, jakbyśmy pozwolili robotom rywalizować w igrzyskach olimpijskich”. Allen broni się, że siłą sprawczą zwycięskiej pracy była ludzka wyobraźnia, która wyznaczyła zadania maszynie. Tak czy inaczej wypadałoby odpalić cyfrowemu podwykonawcy chociaż stówę...

Reklamowy post

Władze holenderskiego Haarlemu uchwaliły całkowity zakaz reklamowania mięsa w przestrzeni publicznej. Nowe przepisy, pierwsze tego typu na świecie, wejdą w życie w 2024 r., po wygaśnięciu umów z operatorami wiat przystankowych i ekranów. Ich wprowadzenie zainicjowali lokalni politycy Zielonej Lewicy, którzy tłumaczą, że nie powinno się zachęcać do konsumpcji mięsa, gdyż jego produkcja wiąże się z dużą emisją gazów cieplarnianych. Warto wspomnieć, że ograniczenia dotyczące promowania określonych produktów i usług nieprzyjaznych środowisku przyjęły wcześniej m.in. Amsterdam i Haga. Taki mają klimat!

Nie pytaj, komu bije gong

Czy Lew Tołstoj miałby szanse w walce na pięści z Ernestem Hemingwayem? Czy William Szekspir dałby radę znokautować Antoine'a de Saint-Exupéry'ego? Na te i podobne pytania każdy może spróbować sobie odpowiedzieć, grając w grę komputerową „Write 'n' Fight”. Jest to klasyczna dwuwymiarowa bijatyka „jeden na jednego”, przypominająca dawne hity z salonów gier. Pojedynki odbywają się w sceneriach inspirowanych dokonaniem pisarzy, a każdy z nich poza standardowymi ciosami ma do dyspozycji atrybuty związane ze swoją biografią lub twórczością. Jeśli ta nietypowa produkcja skłoni choć kilka osób do wizyty w bibliotece, będzie można powiedzieć, że gdzie dwóch się bije, tam literatura korzysta.

Problem z głową

Światowa Federacja Pływacka (FINA) wycofała się z wcześniejszej decyzji i dopuściła do użytku czepki Soul Cape, zaprojektowane w celu ochrony fryzur afro, warkoczy i dredów. W zeszłym roku przed igrzyskami olimpijskimi w Tokio nie zostały one zaakceptowane, co tłumaczono tym, że „nie mają naturalnego kształtu”. Wspomniane rozstrzygnięcie było konsekwentnie krytykowane jako zniechęcające czarnych pływaków do udziału w zawodach, aż



W Białym Domu odsłonięto portrety Michelle i Baracka Obamów.
Waszyngton, 7 września 2022 r.

w końcu FINA zliberalizowała politykę. Za umiejętność przyznania się do błędu – czepki z głów!

Zrobieni na biało

Start-up z Doliny Krzemowej opracował technologię, która w czasie rzeczywistym zmienia akcent pracowników centrów obsługi telefonicznej na amerykański. Firma Sanas opisuje swój wynalazek jako ułatwiające komunikację „narzędzie do tłumaczenia akcentów”, które ponadto umożliwia zadbanie o komfort psychiczny personelu z Indii czy Filipin, padającego ofiarą rasistowskich komentarzy. Krytycy rozwiązania argumentują, że „wybiela” się w ten sposób ludzi różnego pochodzenia, niszczy różnorodność językową i problem widzi w osobach zatrudnionych w call centers zamiast w tych, którzy je obrażają. I tym mało optymistycznym akcentem...



ADRES REDAKCJI

03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeglad.pl

Pierwszy zastępca redaktora naczelnego:

Paweł Dybicz e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl

Zastępcy redaktora naczelnego:

Roman Kurkiewicz e-mail: r.kurkiewicz@tygodnikprzeglad.pl

Robert Walenciak e-mail: r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

Zastępca redaktora naczelnego – sekretarz redakcji:

Joanna Wielgat e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeglad.pl

Sekretarz redakcji: Agata Gogotkiewicz

e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl

Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko

e-mail: a.panko@tygodnikprzeglad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:

Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Borejza (Kraków),

Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra),

Paweł Drąg, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ozimek,

Jakub Katulski, Leszek Konarski (Kraków),

Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork),

Maja Markłowska-Dzierżak, Mateusz Mazzini,

Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Marcin Ogdowski,

Jan Ordyński, Rafał Piłkuła, Maciej Polkowski,

Eliza Sarnaacka-Mahoney, Michał Sobczyk,

Małgorzata Szczepańska-Piszc (Bydgoszcz),

Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz,

Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan,

Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski,

Beata Znamirska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczkowski,

Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski,

Andrzej Szahaj, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało

Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May

Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbełka,

Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner

Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska

Fotodzyktory: Magdalena Głuska, Rafał Pyszner

Fotoreporter: Krzysztof Zuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl

Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl

Koordinator ds. innowacji i mediów społecznościowych:

Sandra Zawadzka e-mail: s.zawadzka@tygodnikprzeglad.pl

Sekretariat fundacji i redakcji:

Izabela Strupiechowska

Dział Kolportażu:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 120

e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl

Wydawnictwa książkowe:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 111

e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGŁADZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.

07-200 Wyszaków, ul. Pułtуска 120

WYDAWCA:

Fundacja Oratio Recta

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7

NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090

KOD SWIFT: WBPPLPP, IBAN: PL

Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821





Mieczysław Porębski na tle obrazów Jerzego Nowosielskiego w Palais Galliera w Paryżu, 1969 r.

Różne oblicza Mieczysława Porębskiego: krytyka, pisarza i muzealnika, a na dalszym planie: aktora, rysownika, logika oraz charyzmatycznego dyrektora Instytutu Historii Sztuki Uniwersytetu Jagiellońskiego, przypomina Biblioteka MOCAK w 10. rocznicę jego śmierci. Zdjęcia rodzinne, fotografie z czasów okupacji, dokumentacje zagranicznych podróży, ale i portrety wykonane przez zaprzyjaźnionych z nim artystów: Janinę Kraupe-Świderską, Jerzego Panka i Ryszarda Winiarskiego, pokazują go także w prywatnym kontekście. Są tu również mało znane rysunkowe autoportrety z czasów studiów w krakowskiej Kunstgewerbeschule, a prezentację dopełniają żartobliwa analiza psychologiczna charakteru pisma profesora i jego horoskop, sporządzone przez Janinę Kraupe-Świderską.

Biblioteka MOCAK w Krakowie
ul. Lipowa 4, budynek B
do 18 listopada

MIECZYSŁAW PORĘBSKI

Portret mistrza

Patronat PRZEGLĄDU



Mieczysław Porębski, Autoportret, lata 40. XX w., ołówek/papier.



Mieczysław Porębski, Autoportret, lata 40. XX w., ołówek/papier.



Adam Hoffmann, Portret Mieczysława Porębskiego, 1942 r., ołówek/papier.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE MOCAK



Jesienne Targi Książki

15-18 września 2022

Arkady Kubickiego oraz Ogrody
Zamku Królewskiego
Warszawa



Organizator



Mecenas wydarzenia



Patronat honorowy



PREZYDENT
MIASTA STOLECZNEGO
WARSZAWY



Współpraca redakcyjna



Patronat medialny



eprasa.pl 8c792d5552

**JULIETTE VINCENT
BINOCHÉ LINDON**

Srebrny Niedźwiedź
72^a Internationaler
Filmfestspiele
Berlin
Najlepszy Reżyser

NIEWIERNIA

W FILMIE CLAIRE DENIS

NA PODSTAWIE KSIĄZKI **CHRISTINE ANGOT** POD TYTUŁEM *UN TOURNANT DE LA VIE* ÉDITIONS FLAMMARION SCENARYSZ **CHRISTINE ANGOT, CLAIRE DENIS**

GRÉGOIRE COLIN AVEC BULLE OGIER ISSA PERICA ALICE HOURI MATI DIOP BRUNO PODALYDES LOLA CRETON RICHARD COURCET

[illegible]

W KINACH